

Z MIASTA I ZE WSI

OBRAZKI Z ŻYCIA

ZEBRAŁ

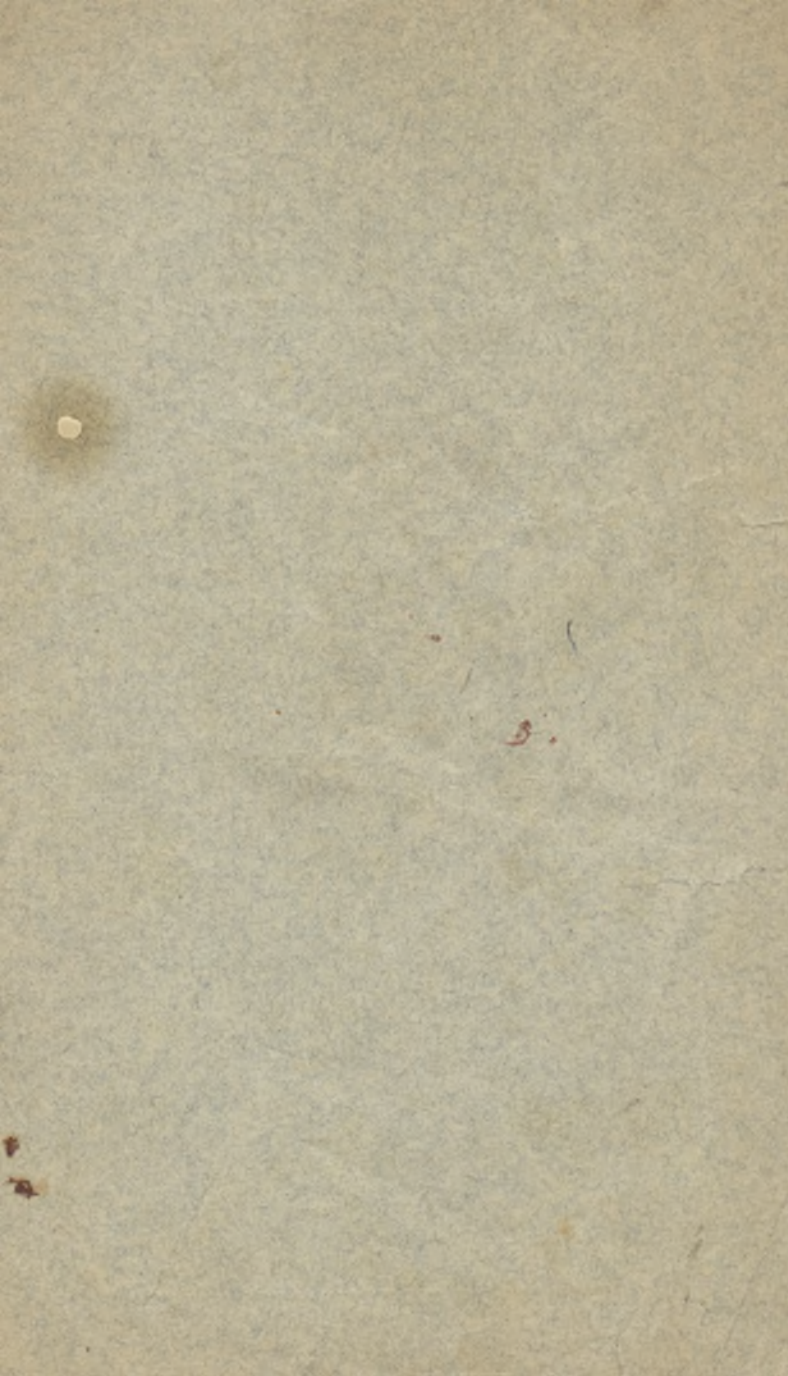
ALBERT WILCZYŃSKI

L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1891.



Z MIASTA I ZE WSI

Cielmasell.

W BIBLIOTECIE POWIEŚCI

podróży, pamiętników i opowiadań historycznych

wydanej nakładem

KSIEGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

wyszły następujące dzieła:

- Ainsworth W., *Crichton*, 2 tom.
 Bersezio W., *Rina*, romans włoski.
 Berthoud, *Poświęcenie kobiety*.
 Brackel F., *Nora*.
 Bulwer L., *Rienzi*, ostatni trybun rzymski.
 Bronikowski A., Powieści historyczne: *Kazimierz Wielki i Estera Moina*.
 — *Jan III. Sobieski i dwór jego*, 2 tomy.
 Caballero, *Klemencya*, powieść hiszpańska.
 Carcano J., *Angiola Marya*.
 Carlen F., *Rok zamęścia*.
 — *Kapryśna Kobieta*, 3 t.
 — *Bracia mleczni*, 2 t.
 — *Róża z Tistelenau*, 2 t.
 Collins W., *O zmroku*.
 — *Panna czy pani?*
 Conscience H., *Talizman*.
 Cooper J. F., *Ostatni Mohikanin*, 2 tomy.
 — *Pionierowie nad źródłami Suskehany*, 2 tomy.
 Dickens, *Klub Pickwicka*.
 Ebers G. Dr., *Córka króla egipskiego*.
 — *Serapis*. Romans hist. 2 t.
 Edwards A. B., *Tysiąc mil na falach Nilu*, 2 tomy.
 Enault K., *Przeznaczenie*.
 Feuillel O., *Historja Paryżanki*.
 — *Hr. de Camors*.
 Gerstäcker F., *Regulatorzy z Arkanzas*.
 Goeranyons K., *Synowie Barona*.
 Hacklaender F., *Burzyk*, pow.
 Z hr. Łosiów baronowa M. Hagen., *Z życia*. Nowelle.
 Horain. *Z życia poety*. Wspomnienia o Władysławie Syrokomli.
 J. Antoni Dr., *Opowiadania historyczne*, Ser. I, II., VI., VII.
 — *Gawędy z przeszłości*.
 James H., *Amerykanin*, 2 t.
 Jokaj M., *Złoty człowiek*, 3 t.
 — *Nowy dziedzic*, 2 t.
 — *Serce kamienne*, 3 t.
 — *Powieści pomniejsze*.
 — *Bielica lwoczańska*, 2 t.
 — *Biedni bogacze*, 2 t.
 Kitowicz X., *Pamiętniki*, 3 t.
 — *Opis obyczajów i zwyczajów*, 2 tomy.
 Kraszewski J. I., *Na cmentarzu, na wulkanie*.
 — *Pan, z Panów*.
 — *Złoto i Błoto*, powieść, 3 t.
 Kubala, *Jerzy Ossoliński*, 2 t.
Księżniczka z Minsterbergu, powieść hist. z XIV wieku.
Listy Jana III. króla polskiego do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń r. 1683.
 Łoziński W., *Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wita Narwoja*.
 Niemcewicz J. N., *Jan z Tęczyna*.
Pamiętniki Paska.
 Pieńkowski K., *Powieści*.
 — *Pomyłka serca*.
 Przyborowski W., *Rubin Węzyński*.
 Reade K., *Kto chce kochać, cierpieć musi*.
 Reade C. i Boucicault D., *Skażaniec*.
 Ridderstadt C. F., *Czarna ręka*.
 Sarnecki Z., *Złote serce*, pow. 3 t.
 Yonge, *Dziedzic z Redclyffe*, 2 t.
 Zacharyasiewicz J., *Teoryja pana Filipa*.
 — *Jedna krew*

Z MIASTA I ZE WSI

OBRAZKI Z ŻYCIA

ZEBRAŁ

ALBERT WILCZYŃSKI.

L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1891.



106375

Z drukarni Wł. Łozińskiego. (Zarządca W. J. Weber).

Ach mój Boże, żebym ja też mogła jakim sposobem wydać tę Zunię za męża, Odetchnęlibyśmy z Józefem oboje jakby nam kto ciężki kamień zdjął z serca. Sześć lat bywamy po różnych balach, wieczorach i koncertach; przyjmujemy i u siebie, staramy się, a tu żeby choć jeden się trafił. Dziewczyna nie brzydka, wykształcona, ślicznie mówi po francusku, gra na fortepianie, jak artystka, głosik ma przyjemny, w domu do każdej roboty i do krawiecczyny zręczna.... tylko nie ma szczęścia. A jednakże, musi tam coś być, co temu szczęściu przeszkadza. Oh jest, ja wiem; pierwsze, że nie ma posagu.... Eh i to nie może służyć za prawidło. W kółku naszych znajomych kilka panien i nieładnych i biednych i bez edukacyi, a dobrze wyszło za męża. Niedaleko szukając, na przykład Minia Strońska, poszła za adjunkta sądowego, człowieka ma-

jącego przyszłość przed sobą, a co mu się w niej mogło podobać — to dalibóg nie wiem. Mała, pękata, ocieężała, z wypukłemi plecami, bez żadnego ruchu, małowowna, a jednak podobała mu się i podobno jest tak w niej zakochany, że tylko patrzy jej w oczy, co ona może chcieć i pomyśleć. Matka się chwali, że on jej sam buciki wkłada na nogi, ale ja temu nie wierzę, nóżki jej bowiem jak żelazka do prasowania. Albo ta Kolajówna! Cała pomalowana, na pierwsze spojrzenie każdy to widzi, poprostu śmieszna, ubiera się cudacko, plecie jak papuga bez sensu i myśli, trzpiocze się i kłamie, a swoją drogą znalazła porządnego człowieka, uczonego, który ma być zdolnym historykiem.

Co do naszej Zuni, to rzeczywiście brak jej tego, jakby tu się wyrazić, nie wdzięku, bo go ma i wszyscy ją chwala, ale tego specjalnego sprytu kobiecego, aby zainteresować mężczyznę. Za nadto jest seryo i dlatego wydaje się szablonową; coś mało w niej indywidualności, a przytem nieoględna w wyrażaniu swych opinij. Tyle razy jej mówię: Zuniu, drogie dziecko, nie sprzeczasz się tak bardzo z tymi, którzy wiele o sobie sądzą, bo tego mężczyźni nie lubią i ostrym języckiem się zrażają, ale ona na

to : moja mamó, nie umiem się powstrzymać, gdy kto prawi niedorzeczności. Prawda, że i ja byłam taka sama za młodu i lubiłam ciętą rozmowę, jednak wówczas, nie było to źle uważanem jak dzisiaj, w epoce samochwalstwa. Owszem, cisnęła się do mnie młodzież i sprzeczałyśmy się nieraz całemi godzinami, że potem dostawałam gorączki. Mój stary jeszcze dziś powiada, że właśnie, z tego mu się jedynie podobałam, bo widział że tam jest duch, jakaś samodzielność. Zazwyczaj siadał przy mnie obok samowara, gdy nalewalam gościom herbatę i miał satysfakcyę przekomarzać się ze mną do ostatka, a ja też nie ustępowałam na krok. Nieboszczyk ojciec gdy byliśmy sami powiada : Co wy się tam z tym Józefem kłóćcie zawsze, że aż inni zwracają uwagę. A ja na to : na cóż się drażni i dokucza.

— Szkoda — mówi tatko — porządny chłopiec i widzę kręci się koło ciebie.

— Bo ja go o to proszę; niech się nie kręci.

— No, no — wtrącała matka — zostaw te sprawy młodszym, już oni widzisz, mają różne sposoby dla spełnienia swych życzeń.

-- Ja żadnych życzeń nie mam względem Józefa -- rzekłam obrażona. -- Co mi po takim nudziarzu.... niech mi da pokój i jak jeszcze raz siądzie mi koło samowara i będzie przeszkadzał, to mu tak powiem....

— Nie zrobisz tego Maryniu — przerwa matka — bobyś dała dowód złego wychowania.

— Otóż zrobię, niech mię nie nudzi! Przez niego wczoraj stłukłam filiżankę, a trzy nalałam bez cukru. Niech sobie idzie dokuczać Jadwisi, do której tak słodkie oczy robi w mazurze.... zarozumialec....

O ile sobie przypominam, to go nie odpędziłam od samowara i sprzeczał się ze mną jeszcze coś przez dwa miesiące, a potem nagle zaczął przeproszać, ukląkł i oświadczył się. Kiedy się to stało i mama powiedziała tatce, on wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— Kto? Józef ci się oświadczył?

— No, Józef.

— W imię Ojca i Syna.... — zawołał żegnając się lewą ręką — ten, co się z nim tak kłóciłaś?

— No, ten....

— A to głupiec! Jabym miał brać żonę, która w niczem się ze mną nie zgadza....

Ho, ho, co to u was za polityka ! Wiesz, prędzejbym myślał, że tu na dłoni włosy mi wyrosną, nim wy się pokochacie. I ty Maryniu kochasz go ?

— Bardzo, proszę tatka.

— Dzieją się różne rzeczy na świecie. Przeciw jego osobie nic nie mam ; człowiek porządny i zdolny, a że się będziecie potem za łby wodzić, nie moja rzecz, bo że tak będzie, daję słowo.

Omylił się kochany tatko, albowiem żyjemy z sobą lat trzydzieści i dzięki Bogu zgodnie. Sprzeczamy się czasem, bo to rzecz ludzka, a zresztą i w naturze kobiecej leży już trochę usposobienia do swarów, bo czasem przychodzą na nią takie chwile że musi się nieco wygadać, ja sama wiem to po sobie ; a z kimże się tu posprzeczać jak nie z mężem, albo ze służącą. Moja Katarzyna kucharka opowiadała mi, że raz służyła u jednej bardzo porządnej i dobrej wdowy, którą jej zapewniała, że nie rozstaną się z sobą aż do śmierci. Tymczasem jak ją coś ni ztąd ni zowąd podleciało, to jej całe pół dnia klekotała nad głową w sposób doku- czliwy, dlaczego naprzykład kupiła kwaszo- nej kapusty w mieście za trzy centy kiedy za dwa byłoby dosyć. Na drugi dzień, jak

ją już złość ominęła przychodzi przeproszać. Moja Kasiu widzisz jestem nieszczęśliwa wdowa, nie mam męża, dziecko dopiero ma dwa lata, z kimże ja się wykłóczę jak nie z tobą.... no no, nie pamiętaj tego.

Ale wracam do mojej Zuni. Mówiąc o moich młodych czasach, zapomniałam, że wówczas inni byli mężczyźni niż dzisiaj. Mój Józef miał lat 26 i był urzędnikiem, a z całej postawy jego biła młodość, siła, energia, słowem życie. A dziś w tym wieku młodzieniec to jeszcze dzieciuch zdatny na fikalskiego w salonie a nie na męża. Do lat dwudziestu trzymają go w gimnazjum, potem odsłuży rok w wojsku, potem pięć w uniwersytecie i dopiero zaczyna bezpłatną praktykę, z której jak mu coś kapnie, żeby mógł chociaż połowę żony utrzymać, już ma lat trzydzieści kilka, łysinę na głowie jeżeli nie siwiznę i najczęściej z piwa brzuszek w połączeniu z katarem żołądka.— Nie mówię już o tem, że lubi wygodki, że jest wykochany, że nie lubi sobie w niczem zadawać subiekty, a w końcu ma kilka tysięcy długów, które żona powinna spłacić. I gdzież tu takiemu w miniaturze sybarycie gadać o miłości, o jakichś szaleństwach,

za któremi panny przepadają. Żeni się bo jużciż chce mieć swój dom, swoje wygodę, swoją kuchnię w której smarzyłyby się kotle-ty nie na fryturze, ale na czystem maśle, a żonę uważa za dziecko, którem powinien kiero-wać jak mu wygodnie. Ubiegają się tedy owi podtatusiali kawalerowie za naiwnemi, a ideałem ich są aktorki grające rolę gą-sek, co to głaskają ojczyłków pod brodę i mizdrzą się jak pensyonarki nieumiejące nibyto rozróżnić chłopca od dziewczyny.... Oj śmiać mi się chce serdecznie jak oni się na tych naiwnych zawodzą. Pan Kle-mens właśnie ożenił się z taką naiwną, ale czuje też dobrze, te naiwne pazurki na swo-jej skórze. Słyszę historye mu wyprawia w domu tak, że wszyscy sąsiedzi śmieją się z niego. Ma być taka zła i kapryśnica, że sługi co kilka dni się zmieniają, a jak się zadąsa, to mu nie da obiadu i nie wpuszcza do mieszkania jeżeli późno powróci. Dobrze mu tak, nie go nie żałuję, bo taki chłop stary powinien był wiedzieć, że dziś nai-wnych panienek niema na świecie, a ta, która potrafi udawać gapiątko, potrafi grać i inne role.

A propos tych aktorek, to od czasu, kiedy gazety zrobiły z nich bohaterki, ja-

kieś gwiazdy, geniusze, diwy i t. p. młodzież uważa za obowiązek kręcić się koło nich nawet na balach publicznych. Otaczają ich podtatusiali kawalerowie i wszelkie młokosy, wyrywają sobie z rąk do rąk przy tańcu, a skromne dziewczyny nasze siedzą i połykają upokorzenie niewiadomo dla kogo? Oj, cieleś ta te nasze panny, cieleś ta! w obec tych panów świata spokorniały i uważają sobie za wielką łaskę, gdy który z nich raczy się zbliżyć i parę słów banalnych przemówić. Eh, żebym ja tak miała dwadzieścia lat mniej niż mam, pokazałabym jak to się tych nadymających się pawłów z wąsikami bierze na fis. Na to nie trzeba nawet wielkich zachodów; trochę sprytu, trochę kokieteryi, a nie żałować zachwyków nad ich wielkimi rozumami i pójść na plewy, boć to nie wróble.

* * *

Zaczęłam wczoraj rozmowę z moim Józefem co robić z Zunią, ale on również stał się takim wygodnisiem, że o żadnych kłopotach słyszeć nie chce.

— No cóż mamy robić — powiada — nic.

— O tak najlepiej — rzeknę rozdrażniona. — Tobie się zdaje, że jak dasz te kilkanaście guldenów na sukienki i pozwolisz się wyciągnąć z nami gdzie na wizytę lub na wieczorek, toś już wszystko zrobił.

— Więc cóż? Mam stanąć na ulicy i brać za kark młodych ludzi: przyjdź, żen się z moją córką!

— Powoli, tylko się nie unoś. Widzę, że ci pilno iść do kasyna, bo tam partnerzy czekają na wista i dlatego się niecierpliwisz.

— Co mnie tam kasyno....

— Mój drogi, znam cię lepiej niż ty sam. Odzwyczaiłeś się od domu i nie chcesz wiedzieć nic o jego sprawach. Naprawdę, to my cię widujemy jako gościa. Rano wypijesz kawę i do biura. Po obiedzie kładziesz się spać a wstawszy, do cukierni na gazety, a potem na wista i przychodzisz nocować do domu.

— No, przecież chodzę z wami i przyjmuję gości....

— Jak za pańszczyznę.... Nie gniewaj się, mój drogi, ale to jest prawda.... Widzę po twojej minie, jakbyś tych gości chciał pozbyć się jak najprędzej, jak ci to wszystko idzie niezdarnie, a przyznasz sam, że

też coś i nam się należy od ciebie jako męża i ojca. Zunia ma lat dwadzieścia trzy, chociaż wszystkim mówię, że tylko dwadzieścia...

— Myślisz, że ludzie nie potrafią jej obliczyć jak się należy.

— Zawsze to taki zwyczaj. Ale koniec końców karnawał się skończył, i jakoś nie, trzeba pomyśleć o tem.

Usiadł, kapelusz odłożył z rezygnacją na bok i widziałam ile go kosztuje ta małżeńska rozmowa. W duszy to mi go i żal było, bo wiem, co to dla starszych ludzi przyzwyczajenie. Przyjdzie jego godzina, to już coś go pcha do owej cukierni, czy do kasyna.... Gazety i wist przede wszystkim. Co to za przyjemność wertować ową bibułę i grać z temi samemi osobami dzień po dniu tego samego wista.... Nasi kochani małżonkowie rozpróżniaczyli się po biurach i jak tych kilka godzin niby to odpracują, to im się zdaje, że potrzebują potem odpoczynku i rozrywki. A ty biedna żono siedź w domu od świtu do nocy i ubijaj się ze służącemi, kłopot z dziećmi, pilnuj żeby ten pan domu miał wszystko w porządku. Pamiętaj, żeby miał czystą i całą bieliznę, żeby obiad był odpowiedni do jego dzisiej-

szego zdrowia. To go coś gniece w żołądku, tego nie może, tamtego nie może; a ciągle dajesz rosół i sztukę mięsa, a masło czuć łożem, kawa jakoś mi nie smakuje, lampa kopci, drzewo już wyszło — słowem uważa sobie za obowiązek kapryścić, na obiad się spóźniać i słowa mu nie powiedz, bo zaraz się obruszy, że on ma obowiązki, on pracuje, on pan i królik domowy.... Mój Boże, tym mężczyznom to tylko żyć i nie umierać. Więc też i teraz choć mi go żal było, ale myślę sobie siedź i rozmawiaj i zadaj sobie choć raz przymus taki, jaki my kobiety mamy całe życie.

— Więc cóż będziemy radzić? — pyta z przymuszonym spokojem, chociaż ukradkiem spogląda na zegarek i wstrzymuje ziewanie. — Nie idzie za mąż, widocznie szczęścia nie ma i basta! Moja droga, małżeństwo to jest przeznaczenie i czysty przypadek. Jak jej nie sądzono, to mimo forso-wnych starań nie pójdzie, a jak ma iść, to i po trzydziestu latach trafi się ten, co dla niej przeznaczony. Gdyby jeszcze miała posagu ze sześć tysięcy, możeby się jaki obdłużony facet trafił, z czego byłby rezultat, że zamiast jednej córki do utrzymania mielibyśmy dwoje, a zapewne i więcej.

— Jesteś pesymistą, przecież żenią się ludzie i dobrze im jest...

— Ale niekoniecznie trzeba mężów dla córek szukać.

— A Wysięski, który sobie już zawczasu upatrzył męża i promował... aż się ożenił.

— Na to ci dam znów drugi przykład ; wiesz, tego studenta z uniwersytetu, który oświadczył się o córkę Faberów. Chodził tam na obiady, przez cały rok wyciągał rodzicom pieniądze na utrzymanie, a dawał prezenta drugiej, z którą jednocześnie prowadził romans. Moja droga, głowy sobie nie psuj, szczęścia nie sforsujesz, jak Bóg da to i będzie.

— Bo widzisz Józefie — mówię trochę przekonana, — ułożyłyśmy się z Emilką, żeby zaprowadzić tygodniowe zebrania. Znasz tutejszy zwyczaj, iż mężczyźni przychodzą z wizytą wtedy gdy są zaproszeni, a jak się prosi, trzeba wystąpić. Tymczasem jak się ma stałe dni przyjęcia, kto chce idzie, a dla gospodyni ta korzyść, że za jednym zamachem przyjmuje wszystkich znajomych i ci się nie nudzą w liczniejszym zebraniu. Nie obawiaj się i min takich nie rób, będzie wist dla starszych....

— Nie o wista mi idzie, ale, moja droga, to kosztuje.

— Cóż na świecie nie kosztuje.

— Dobrze, ale my nie mamy.

— Bagatela, dasz 10 reńskich na każde przyjęcie i wino bierzesz na siebie.

— Bagatela u ciebie 40 złr. na miesiąc, wino, cygara!... to ruina.

— Mój kochany, kto ma córkę na wydaniu, musi coś dla niej zrobić. Nie wydajesz na teatr, koncerta, wycieczki, bo kiedyż my gdzie chodzimy; nie kosztuje cię doktor i apteka, bo dzięki Bogu jesteśmy zdrowe, w ubraniu zbytków nie robimy, więc zróbże coś żeby dziewczyna się czasem rozerwała, a może ktoś się trafi....

— Eh co tam może....

— Emilka mi obiecała, że przyprowadzi suplenta gimnazyalnego, który ma już wszystkie egzamina, bardzo porządny człowiek, wykształcony, coś tam pisze do gazet....

— Wielka karyera *suplement* — odrzekł mój pan odymając wargi. — Przyznam ci się, że do tych pedagogów nie mam przekonania. Grywamy w wista z jednym, to taka sztuka nudna a zarozumiała. Wy-

staw sobie, do każdej karty przemawia metodycznie, a gra jak ostatni szewc...

— Ja sędzę, że i ty postarasz się o świeżą młodzież. Między sądowymi urzędnikami masz tyle znajomych...

Zerwał się z krzesła oburzony.

— Przepraszam cię, tego się nie podejmuję. Ja miałbym ciągnąć kogoś dlatego, że mam córkę na wydaniu.

— Ach, jakież z ciebie gorączka, pozwól niech skończę. Emilka również zaprowadza tygodniowe przyjęcia...

— No, dostali zkaąd pieniędzy! — przerwa — lepiej żeby weksel zapłacili w towarzystwie zaliczkowem i mnie uwolnili z obligu, a nie wydawali balów...

— Nie bój się zapłacać... Otóż ułożyliśmy się, że my będziemy wprowadzać młodych do nich, to przecież możemy zrobić, a oni znów do nas; a co się potem zrobi i jak się ich kawalerowie do nas dostaną i vice versa, to już nie twoja rzecz.

Targowaliśmy się jak żydzi jeszcze długo o te przyjęcia i ja musiałam ustąpić z tygodniowych na dwutygodniowe, chociaż to zła rachuba. Potem spuściłam z dziesięciu reńskich na ośm, ale najciężej mi szło z owem winem. Stary jak mur stanął tyl-

ko przy piwie, że wino to zbytki nie na dzisiejsze czasy, ale ja także się uparłam. Zgodził się na wino wreszcie, ale po 30 centów butelka, tam gdzieś z menażu wojskowego. Wylałam go na seryo i skończyło się, że będzie kupował cztery butelki po 60 centow. Jaki mój Józef jest skąpy, to trudno sobie wyobrazić; zastrzegł jeszcze żeby na kolacyę były tylko dwa dania, a co do papierosów, to kazał żeby robiła je Zunia, bo nie wypadnie jedna sztuka po cencie.

Zgodziłam się na wszystko, znam bowiem jego upór, że nie da się niczem przekonać, ale zaraz pomyślałam sobie, ty mów swoje, a ja zrobię swoje. Trudno, na wstyd i obmowę się nie narażę; jak inni przyjmują tak i my musimy, jest taki zwyczaj na świecie a my innego porządku nie będziemy zaprowadzać. Zresztą Boże drogi, czemże się to dzisiaj kaptuje ludzi bardziej, jak nie ową papką! Na dziesięciu mężczyzn dziś siedmiu jest smakoszów i czego nie zrobisz, protekcyą, ukłonem, o pracy nie mówię, bo kto dziś pracę i zdolności ceni, — to zrobisz smaczną polędwicą z sardelowem masłem, albo dobrą sarniną z ostrym sosem.... Tak było na świecie jest i będzie!

Przyznaję, że z Józefem nie byłabym tak łatwo skończyła, gdyby nie owa partya wista w kasynie, na którą koledzy jego czekali. Wiem o jego słabości do gry i dlatego wybrałam ową chwilę do małżeńskiej pogadanki. Śmiech mię porywa na wspomnienie, jak on się to kręcił, na zegarek spoglądał, jak wzdychał czekając nim go wypuszczę. — Okazałam się też wspaniałomyślną po skończonej konferencyi i dałam pozwolenie do powrotu z kasyna o 12tej w nocy, nie jak zwykle o 10tej, za co mnie uściśkał z niezmierną czułością. Oj ci mężczyźni jacy wy faryzeusze i egoiści!

* * *

Była u mnie Emilka, naradziłyśmy się i nagadały dosyć. Poczciwa, dobra i miła kobieta, ale ubiera się haniebnie. Dziwna rzecz, mąż jej nie żałuje na ubranie, sama ciągle coś sobie kupuje a na ulicy wygląda krzycząco, jak coś, jak ktoś.... czego nie śmiem napisać. Oni, to dobrali się ze swoim mężem jak dwa ziarnka w korcu maku. Co jedno chce i drugie chce i nie ma tam takich korowodów o pieniądze, jakie ja mam z Józefem. Przeciwnie, jej Jaś gwałtem ją

namawia na wydatki, sam kupuje najdroższe rzeczy w najpierwszych magazynach, cóż, kiedy na niej to wszystko się nie wydaje. Emilka jest siostrzenicą stryjecną mojego męża, młodsza odemnie może o dwa lata, ale wszystkim powiada, że nie ma lat 40. Kłamie, bo znajoma moja Sobierajska najwyraźniej pamięta, że były razem na pensyi, ona w pierwszej klasie, a Emilka już w piątej. Sobierajska ma dziś czterdzieści pięć, ona zaś powinna mieć pięćdziesiąt, no ale niech będzie że nie ma czterdziestu, co mi to szkodzi. Kobiecina mała, fertyczna i żywa, troszkę sobie pomaga pewną wodą ołowianą dla utrzymania białej, matowej cery, widać to na pierwszy rzut oka, szczególnie na skórze szyi za uszami, gdzie działalność owej wody nie dochodzi; pocziwina w lustrze tego sama nie widzi, ale ja widzę. — Włosy tak samo czerni, bo ani jednego włoska nie ma siwego, tymczasem powinna mieć, cóż to ja nie znam się na tem. Jej Jaś, zaraz to widać, jest młodszym od niej, mężczyzna jeszcze bardzo przystojny, elegancki i nadzwyczaj miły. Nie ma on żadnego stałego zajęcia, trudni się jakiemiś dostawami i przedsiębiorstwami, — jest energiczny, pełen życia i lubi komfort we wszy-

stkiem. Mój mąż powiada, że to blagier, ale dla żony jest bardzo dobry. Co mi z tego że mój Józef używa powszechnego szacunku, że go ludzie poważają, kiedy w domu trzeba się o wszystko targować, bo powiada: nie mamy majątku.... Jaś Emilki zawsze ma co ona chce. Mieszkają porządnie, drobnostek eleganckich, nadających ton komfortu jest tam mnóstwo, przyjmują zbyt ko-wnie nawet, a tacy oboje gościnni, serdeczni, że ztamtąd wyjść się nie chce, tak u nich miło. Prawda, że nie mają dzieci, jednak przekonana jestem, że choćby je mieli, byłoby tak samo w domu. Człowiek obrotny zawsze sobie da radę, przyjaciół ma, więc kredyt znajdzie i interes jakiś przeprowadzi. Ot i teraz organizuje spółkę do hodowli pijawek. Powiada, że ma zapewnione trzydzieści tysięcy kapitału, ale to jeszcze mało, bo potrzeba sto. I ręczę że znajdzie, ma także dar ujmowania sobie ludzi. Mój Józef zżyma się, słysząc podobne wieści i dziwi się, gdzie on głupców wyszuka, bo ja centa bym mu nie dał — a on znajdzie i dyrektorem spółki pijawek zostanie i będą żyli jak żyją, gdy my bez blaginybyto, wegetujemy. Przed rokiem podpisał mu Józef weksel na jakąś sumę, a od tego

czasu, męczy go żeby spłacił.... Mówiłam mu tyle razy, że to niedelikatnie, że dla rodziny trzeba mieć pewne względy, lecz co tu gadać takiemu pedantowi... blagier i blagier. Przyznam się, że z tego powodu i stosunki nasze są dosyć naprężone, a ja Emilkę prawdziwie lubię i Zunia ją lubi, jest bowiem dla nas życzliwą i uprzejmą, a teraz z okazji owego suplenta nawet na wdzięczność naszą zasługuje. — Lecz gdzież na świecie są róże bez kolców i kto nie ma swojego móła! Otóż takim mółem dla Emilki jest panna Zofia, kuzynka Jana, zostająca na jego opiece i przy nich zamieszkała. Żal mi serdecznie Emilki, że z nią żyć i przestawać musi, bo życie to jest jak psa z kotem. Dziwna rzecz, z kąd dziewczyna dziewiętnastoletnia mogła nabyć tyle przewrotności, fałszu, perfidy i wielu innych wad, zwykle temu wiekowi nieznanych. A jednak tak jest i Zosia z całą bezczelnością naigrawa się, szydząc z uwag swej gospodyni. Mężczyźni wszyscy, nie wyłączając mojego starego są za nią, ale co ci krótkowidze znają się na kobietach. Niech się zapytają Emilki, albo mnie, to im powiemy, że ta słodziutka, z powłóczystem spojrzeniem, to niewiniątko, jest z gruntu zepsu-

tem stworzeniem, kokietką i bez serca. Że tak jest, to najlepszy dowód, iż gdy Janowie byli w chwilowych kłopotach, a ona przecie ma dziesięć tysięcy leżących pieniędzy, udała że nic tego nie widzi i że nie zna się na żadnych interesach. — Gdyby nie opór Józefa, który dba o pozory świata i stosunki familijne, nie puściłabym ją za próg naszego mieszkania, pomimo że dla nas jest zawsze wylana, czuła, całująca i kochająca, a jeżeli przychodzi często, to zawsze z interesem. Wie że mamy dobry gust w ubraniu i że za to chwalą nas znajomi, więc szpieguje nas gdzie kupujemy, gdzie każemy robić, aby tylko jota w jotę mieć taką samą suknię czy kapelusz. — Darujecie państwo, że dla Zuni nie może być przyjemną rzeczą co krok spotykać własnego sobowtora, dlatego kryjemy się przed nią. ale to nic nie pomaga, bo znajdzie czas gdy nas nie ma w domu, przyjdzie, zrewiduje szafy, a potem niby dziwi się, że przypadkiem kupiła ten sam materyał, a krawcowa wybrała ten sam żurnal.

Rozpisałam się obszerniej o tej dziewczynie, bo ona wiele nam sadła załalała za skórę, a to mię tylko gniewa, że ma szczęście u mężczyzn, że znajdują ją przyjemną,

prawdziwie kobietą łagodną, cierpliwą, bez cienia złości.

Pierwszy wieczorek będzie u Emilki. Szczęśliwa kobieta, mąż sam zajmuje się przyjęciem, a że zna się na tem i pieniędzy nie żałuje, więc drzę o to, jak ja się przy nich wydam. Ułożyliśmy się, jak kto będzie ubrany, z zachowaniem sekretu przed Zosią. Ja muszę sobie sprawić jakieś ubranko na głowę, kobieta starsza już nie może tak bez niczego paradować, zwłaszcza komu włosy siwieć zaczynają. Suplent będzie i bierzemy go we dwa ognie. Strasznie jestem ciekawa, jak mi się wyda, bo przyznaję, jestem dosyć wybredną, a zwłaszcza gdy idzie o zięcia, z którym i Zunia i ja mamy perspektywę żyć długie lata. Radzi Emilka, żeby nic o tem córce nie mówić, tylko w danym razie, gdyby na niego małą zwracała uwagę, szepnąć jej parę słów, aby była grzeczniejszą. I ja też ciekawą jestem owego swatania; z mojami pojęciami ono się nie zgadza, ale czasy się zmieniają i słyszę że w ten sposób skojarzone małżeństwa kochają się więcej, niż owe z przypadku.

Emilka chce mu dać poznać, że za Zunią dajemy sześć tysięcy, ja się temu

sprzeciwiam, bo na co ludzi zwodzić. Wiem, że Józef przeznaczą dla niej już z wyprawą trzy tysiące, no bo więcej nie możemy, na cóż tedy ta komedia.

— Moja droga — rzecze Emilcia — czy was to obowiązuje co ja mu powiem, a tak jakoś trzy tysiące, to strasznie mało nawet dla suplenta. Zostaw to mnie, a ja tę rzecz przeprowadzę w sposób nieokreślony: „tak sądzę, o ile wiem, około“ — rozumiesz, z czego potem wycofać się łatwo.

— Mimo to ja sobie nie życzę, Józef by się żżymał.

— Co Józef zna się na takich rzeczach, a niech mu się panna spodoba, niech się trochę zakocha, to redukcya z sześciu tysięcy na trzy pójdzie łatwo.

Potem przyszła rozmowa na przyjęcie u nas i gdym jej powiedziała, że mam na to ośm reńskich w oczy mi się roześmiała.

— Coż ty sądzisz, że za owe kilka guldenów ugościsz dwadzieścia kilka osób z wybredną buzią, ależ to żarty.

— Może dodam jeszcze ze dwa reńskie i podług mej kalkulacyi powinno wystarczyć. Dam szynkę, potem zrazy z kaszą,

albo kotlety, albo polędwicę, a w końcu kompoty....

— Wiesz, jak to znać, że jesteś córką szlachecką ze wsi.... Mój Boże zrazy z kaszą, kotlety, szkoda jeszcze, żeś zapomniała o bigosie. Ależ to dobre było za Reja, a nie dzisiaj. Uważaj, że będzie suplent pierwszy raz, że trzeba wystąpić aby was nie wziął za biedaków. Co najmniej dwa mięsa, sarnę czy zającą i coś z drobiu, indyka czy kapłona, a legominę zamówić w cukierni, trzy albo cztery reńskie wielka rzecz. Przytem trochę owoców i winogrona na deser, kilka gatunków sera....

— Nie mogę, bo nie mam na to.

— Jednak trzeba sobie poradzić.

— Ciekawam jak. Z pustego i sam król Salomon nie należy, a z moim Józefem o dodatku niema co mówić. Wczoraj dał 25 reńskich na nową suknię dla Zuni i tak się krzywił.

— Dał na suknię, to dobrze. Otóż z tej sukni wziąć dziesięć reńskich na przyjęcie.

— A suknia co?

— I suknia może być....

— Za piętnaście reńskich, to nie sposób.

— Czy ja mówię, że za piętnaście....

— Ciekawam jak myślisz, no....

— Materyał na suknię wziąć w sklepie na kredyt.

Czułam, że fala krwi uderzyła mi do głowy na tę propozycję. Brać coś bądź w sklepie na kredyt, to rzecz dla nas nieznaną. Jakby się dowiedział o tem mąż, dali-bóg nie wiem co by z nami zrobił. Horrendum, zbrodnia, coś mało mniej strasznego od morderstwa. U niego na ustach pełno sentencyi i przysłów odnoszących się do oszczędności jak n. p. tak krawiec kraje, jak materyj staje, podług stawu grobla, ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim, że gotów wszystkich umorzyć głodem, niżby miał o coś prosić kogobądź. Dług, mówi, to jest niewola, a jeżeli kto pożycza nie mając pewności oddania, to dopuszcza się kradzieży.

Gdym wszystko to wypowiedziała Emilce, ona wzruszyła tylko ramionami.

— Twój Józef spóźnił się o lat kilkadziesiąt ze swoim urodzeniem, albo ma bzika. Coż on to nie wie, że teraz na kredycie cały świat stoi i że nie tacy jak on i nie takie jak my biorą w sklepach wiele rzeczy na rachunek. Kto wie czy między

kobietami naszej sfery, ty nie jesteś unikatem w mieście... Nie wierzysz, co? Pójdź ze mną choćby do sklepu Manasowej i proś żeby ci pokazała książkę, a znajdziesz całą litanie najbliższych twoich znajomych i wielkie panie i hrabiny i żony dygnitarzy, które tam stale figurują. Żydówka co prawda trzyma to w sekrecie, ale raz gdy zaszła jakaś kwestya w moim koncie, przerzucałam z buchalterem rachunki, to trafiłam na Alfredową z trzystu kilkudziesięciu renskiemi, Sołtysińska stoi tam coś przeszło dwieście, panny Bureczyńskie także sporą porcyę, no i ja tam zawsze wiszę z czemś. Mam pieniądze — to upłacam coś, a nie mam, to czekają; żydom trzeba to przyznać, że są cierpliwi i względni.

Nie mogło to wszystko trafić do mego przekonania i powiedziałam — nie, ale swoją drogą całutętką noc spać nie mogłam i martwiłam się, jak to nasze przyjęcie w niedzielę wypadnie. Emilka ma racyę, zrazów ani kotletów podawać nie można, a dać coś lepszego, wymaga wydatków, na co nie mam. I nie dziwnego, że przy tych rozmyślaniach pewna gorycz zakradała się do serca, dlaczego to inni, mniej warci od mojego Józefa i mniej pracujący mają, a my ni-

gdy nie mamy i liczyć musimy każdy cent. Czy szczęścia brak, czy zapobiegliwości, czy ta jego surowość w pojęciu o stosunkach ludzkich, brak nagięcia się do dzisiejszych prądów, nie są tego przyczyną. Myślałam następnie, zkądby tu nadsztukować brakujące owe dziesięć guldenów, aż wreszcie trafiłam na dobry pomysł. Wszak jeżeli z tym suplentem przyjdzie co do czego, trzeba będzie zająć się wyprawą, a wtedy te kilkanaście reńskich u Manasowej, jeżeli teraz dług zaciągnę, da się zapłacić. Słuszną rzecz, wszak to robi się dla Elżuni, więc niech ona część tych kosztów ponosi.

Uspokoiliam się i zasnęłam, a naza jutrz poszłyśmy z Emilką do sklepu i sprawa z kredytem załatwiła się daleko gładziej niż sądziłam. Manasowa śmiała się, że taką bagatelkę biorę bez pieniędzy. — U godnej pani tysiące byłyby bezpieczniejsze niż w mojej żelaznej kasie, niech tylko idzie córce na zdrowie.

Przyznaję, że przy tej pertraktacyi, którą się Emilka zajmowała i za mnie mówiła, trochę mi serce drżało, ale w końcu musiałam sobie powiedzieć, że przecie nie jestem dzieckiem i mogę mieć swoją wolę. Dowie się Józef, to niech się dowie; naj-

gorzej jak żona z początku da wodzić rej mężowi, to potem całe życie ma ją za nieletnią. Ho, ho, nie pozwolę, aby w ten sposób Zunią kierował suplent!

* *

Jeszcze nie mogę zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie na mnie uczynił pan Krótkiewicz, ów suplent. Odprowadził nas do samej bramy naszego mieszkania, widocznie grzeczny człowiek i zna się na zwyczajach towarzyskich. Żegnając go tedy i dziękując musiałam powiedzieć, że jeżeli znajdzie kiedy chwilkę czasu, przyjemnie nam będzie widzieć go u siebie, a Józef znów dodał, że co drugą niedzielę przyjmujemy stale naszych łaskawych znajomych. Co mu się stało, że się zdobył na podobne oświadczenie?

Ale wracam do tego, jak było u Emilki. Przyjechaliśmy około dziewiątej, umyślnie tak późno, aby już zastać wszystkich. Było dwadzieścia kilka osób, a między niemi kilku tuzów mieszczańskich, Jan bowiem, który umie łączyć użyteczne z nadobnem, zaprasza tych, co mu dla jego interesów mogą być kiedy potrzebni. Są to zwykłe figu-

ry nadęte i lekceważące innych, zdaje się im bowiem, że rubasność i arogancya są najlepszym objawem ich wyższości. Do Jana, choć nie zajmuje żadnego stanowiska, przychodzą właśnie po to, aby tu cześć odbierać i spożyć smaczną kolacyę.

Wieczór ten nie był dla mnie szczęśliwym. Już w przedpokoju zirytowałyśmy się z Elżunią spotkawszy pannę Zofię ubraną w takusienką suknię jak Zunia. Niedosć tego, ale ta przebrzydła dziewczyna mizdrząc się do nas i obsypując czułościami, powiedziała, że materyał na suknię kupiła taniej od nas, bo Manasowa pokazała jej książkę, że płaciłyśmy po 1 zł. 80 ct. za metr, a jej oddała po 1 zł. 60. Szczęściem że Józef jak zwykle roztargniony, nie słuchał jej paplaniny, inaczej tajemnica kredytu, byłaby pękła jak bomba dynamitowa.

Po tej nieprzyjemności, która mi już humor nadpsuła, nastąpiła druga, gdy Emilka zaprezentowała nam owego suplenta, — nazywa się on Krótkiewicz. Kandydat na profesora, myślałam, będzie zapewne człowiek młody, szczupły, z interesującą fizyonomią jako oddający się naukom, a tu wystawcie sobie, ten którego nam przedstawiono, jest przysadkowatym tłuściochem,

kształtu słoika francuskiej musztardy, zapiętym w czarny tużurek z taką forszą, że guziki trzeszczą z naprężenia. Głowa duża, z przebijającą się łysiną, twarz czerwona świecąca, oczki małe, wysadzone na wierzch niby cebule, wargi duże, a nos wyraźnie przeświecający fioletem. Poprostu jest śmieszoną baryłą w latach pewno czterdziestu, dobry może na dyrektora gimnazjum, a nie na starającego się o pannę. Jakie to szczęście, że nie mówiłam nic Zuni o jego aspiracyach, bo teraz wypadłoby się za mój gust wstydzić. Musiałam użyć całej mocy nad sobą, żeby nie powiedzieć jakiej niegrzeczności Emilce, zwłaszcza gdy ten o fałdowanym karku basałyk, zatytułowawszy mnie panią dziką, tłustą łapą swoją chwycił moją rękę do ucałowania. Proszę ja, z kądem taka od razu konfidencya.

Posadzono mię na kanapie między dwoma matronami, których synowie zrezygnowawszy z małżeństwa, uciekają od kobiet jak od zarazy i oglądają się tylko, czy tam już przyrządzono stoliki do grania. Jan powiada, że to są grubsze ryby urzędowe, ludzie wysoko uzdolnieni i wpływowi, chociaż zdziwaczeli i pokwaśniali. Bliżej ich nie znam, słyszałam tylko różne dykteryjki o

ich dziwaectwach na punkcie utrzymania zdrowia. Jeden mężczyzna jak lew, jest znacznym urzędnikiem na kolei i znany z tego, że przeprowadza się co miesiąc, nie mogąc znaleźć odpowiedniego dla jego nerwów mieszkania. Siedząca obok mnie staruszka, matka jego, tak już przejęta dziwaectwami syna, że o niczem innem nie mówi tylko o jego zwyczajach i z całym przejęciem się ważnością sprawy opowiada, że ona i Adaś tylko do północy śpiąją w jednym pokoju, a na drugą połowę nocy przenoszą się do innych pokoi.

— Już proszę pani Adaś obliczył, że zdrowe powietrze najdalej w pięć godzin się wyczerpuje.

Synaczek drugiej babci jest wdowcem i jakimś dyrektorem banku. Człowiek ten nosi w sobie wszystkie choroby rodu ludzkiego, a jego córeczka sześciolatnia żyje tylko w skutek jego własnej metody wychowania, którą do niej zastosował. — Biedactwo to widuję często latem w publicznym ogrodzie, w towarzystwie służącej i babci. Wygląda jak zasuszony szkielecik, bez krwi, bez siły, niby staruszka, którą też odpowiednio ubierają. Ojciec najczęściej z termometrem w kieszeni przychodzi do ogrodu,



a wtedy rozpoczyna się pocieszna akcja karmienia Rózi. Babcia na maszynie grzeje kotlecik, a sam ojciec i służąca usiłują namówić dziecko, aby kawałeczek do ust wzięło. Nareszcie wpakowali jej cząsteczkę — lecz nową nieszczęście... ona połknąć nie chce. Zaczyna się tedy biegania; niania ciągnąc za rączkę zagaduje dziecko, koziołki wywraca, a gdy na chudej twarzyczce zniknie z boku stercząca gulka, następuje jednogłośny okrzyk: Rózia połknęła! połknęła, już połknęła!... a potem zaraz druga dawka i taż sama historia.

Do rozmowy tych pań weszłam jak Piłat w credo. Przez moje uszy, grubym tubalnym głosem podają sobie różne spostrzeżenia gastronomiczne, co Adaś lubi, co Staś lubi. Ten przepada za kalafiorami, a ten spożywa je bardzo rzadko i tylko z cukrem. — Jedna jest przerażona dowiedziawszy się, iż Adaś jada mięso na pół z krwią, bo u nas wszystko musi być drobniutko siekane.

— Mój Staś nie wziąłby do ust....

— Mój Adaś widzi pani musi, a nachyliwszy się za moimi plecami komunikuje sąsiadce wiadomość, że prawie niema zębów.

— Niech wprowi....

— Widzi pani wprowił, ale dostał takiego rozdrażnienia nerwów, że w parę godzin wyrzucił.... Dwadzieścia pięć reńskich poszło w błoto.

Na boku pod oknem usadowiła się młodzież. Jest tam coś cztery panny, dwóch młodych facetów, których się jako konkurentów w rachunek nie bierze, no i mój suplent Krótkiewicz. — Słyszę rozmowa idzie żywo i wesoło, dziewczęta chichoczą a nawet moja Zunia z natury dość poważna, zwraca się ciągle do suplenta i tak żywo błyska oczami, że mnie to aż dziwi. Cóż, kiedy ani sposób podchwycić coś z ich rozmowy, bo moje panie tak mi gadają koło uszu, że ani się ruszyć, ani podsłuchać niepodobna.

Tymczasem w sąsiednim pokoju gdzie panowie grali w karty, po dość monotonicznych: dwa pik, pas, pas, trzy karo — pas i znowu pas, nagle słyszę podniesiony głos Józefa, który zarzuca komuś, że go umyślnie wpędził. Znam go z tej strony, bo jak w codziennych stosunkach jest flegmatykiem, że słowa z niego nie dobędziesz, tak znów przy kartach — awanturnik. Na to jedynem lekarstwem jest moja osoba; nie boi się

mnie, ale wstydzi, że wyszedł z równowagi.

Korzystam tedy z tej okazji i wysuwam się z kleszczy moich matron.

— Darują panie, ale ja muszę tam iść do męża, bo coś zanadto głos podnosi.

— Jakto i pani ma wpływ na niego?

— Trochę mam jako żona....

— Mój Boże ja dla mojego Adasia jestem więcej niż żona, a nie mię nie słucha i dlatego zawsze mu powtarzam: ty moje drogie dziecko nigdy nie powinienes się żenić.

Zjawienie się moje przy kartach od razu skutkowało. Zasapany małżonek popatrzył na mnie, wargi odął, coś pomruczał i dalej grał spokojnie. Wkrótce też podano kolację, a widząc uprzejmość Jana, który o najdrobniejszych życzeniach gości pamięta i każdemu stara się usłużyć, pomyślałam zaraz: czemu to mój Józef nie przypatrzy się, jakto grzeczny gospodarz zachować się powinien.

Przy stole, młodzi usadowili się z jednej strony, my starsi z drugiej, a ja dostałam za sąsiada pana Adama, owego zwolennika sypiania w dwóch pokojach.

— Pani czuje, że tu coś wieje.... Aj, aj, okno gdzieś w przedpokoju otwarte.

— Czuję, ale to bardzo przyjemny powiew świeżego powietrza ... W salonie było gorąco

— Przyjemność ta może drogo kosztować — rzecze, szukając niespokojnym wzrokiem kogoś, któryby drzwi zamknął. — Paraliż gotowy, a zapalenie płuc więcej niż pewne. Pani dobrodziejka się śmieje, a ile to ludzi już marnie zginęło z przeciągów.

— I takby zginęli z tego czy z owego, wszystko to jedno.... Umierają starzy i młodzi, jak się komu trafi. Ja, chociaż mam obowiązki, a nigdy się nie lękam, a cóż dopiero mówić o ludziach, którym życie widocznie ciąży, bo wiecznie na brak zdrowia narzekają.

Spojrzał na mnie wzrokiem bazyliuszka, a ja umyślnie tak mówiłam, wiedząc jaki to tchórz. Słyszałam, że u niego w domu nie wolno nikomu słowa wymówić o śmierci, że jak zobaczy pogrzeb, to zmyka w przeciwną stronę — wstrętem mię przejmują tego rodzaju egoiści.

Z drugiej strony siedział jakiś pan dyrektor, także dla Jana gruba ryba. Ten nie i nikogo nie widział, tylko jedzenie.

— Wiesz Janie, twój koniak coś czuć stęchlizną... Kanapki byłyby dobre, żebyś był kazał obetrzeć na tarce skórę z bułki. Majonez wyśmienity, ale uważasz oliwa za stara i nie prowianka.... To winko znać że francuskie, oddaję mu tę sprawiedliwość, ale darujesz, nie umywało się do mego; już to kupno na butelki dyabła warte — słowem, pan dyrektor krytykował, a jadł aż mu się uszy trzęsły i kazał sobie dokładać pasztetu, wołał o ser holenderski. Lecz nie dosyć że sam się zajadał, ale pilnował jeszcze żony, osoby potwornie otyłej, która siedziała naprzeciwno.

— Anetko, weź kawałeczek pasztetu, jak cię kocham nie zły... Czekaj, sam ci wybiorę kuropatwie skrzydełko, ty nie poznasz,.. Napij się kieliszeczek reńskiego, zaręczam dobrze ci zrobi....

Arcezbawni ci małżonkowie nikogo z całego towarzystwa nie widzieli tylko siebie; przyszli na kolację, raczyli zjeść, a skoro tylko wstali od stołu, zaczęli ziewać.

— Ja uważasz Janie -- muszę być przed dwunastą w łóżku, dlatego darujesz, że chociaż nie będzie to grzecznie, ale po cichu wyniesiemy się z Anetką. Nie uwierzysz jak ta biedaczka jest cierpiącą.... ne-

rwy i nerwy.... Trzy dni temu zwołałem konsylium: jeden powiada do Marienbadu, drugi na winogradową kuracyę, trzeci masaż, słowem zwaryować można, a tymczasem apetytu nic, snu nic....

Och, pomyślałam sobie, jabym cię zaraz wykurowała, wsadziwszy na porządną dyetę. Jeżeli kto ma chorować na brak apetytu, a zjadł tyle co ona dzisiaj, to ja chyba jestem umierająca.

Zwróciłam oczy na młodzież. Tam również idzie rozprawa o jedzeniu. Mój suplent, czerwony jak burak, wyklada Zuni i Zosi, która z drugiej jego strony usiadła, prelekcyę o zaletach piwa pilźnieńskiego. — Teraz pojmuje, zkąd się wziął u niego brzuszek, ależ to jest nałogowy piwosz!

— Uważa pani dzika — mówi do Elżuni trzymając szklanke z piwem do światła — żadne wino nie może iść w porównanie z pilznerem. Ale, pani dzika, pilzner a pilzner to wielka różnica. We Lwowie dużo jest składów, jednak prawdziwy mieszczański pilzner to tylko u Pfinka.... Ten naprzykład jest prawdziwy, ale z butelki; ot ta pianka, niby to ładna, jednak natoczony z beczki, tę piankę będzie miał gęściejszą, jak lekko czekoladowy krem ze śmietany

ubity i na brzegach szklanki zostawi osad.... Następnie zaczął o ołomunieckiem piwie, a przytem jadł wszystko co mu podawano, i oczy mu się szklily i język często pokazywał się na zewnątrz, co jest nicomylną charakterystyką smakosza.

Straszne rzeczy, pomyślałam ze wstrętem, jeżeliby ten człowiek miał kiedy zostać moim zięciem, toby nas zjadł z kretesem.... I jakże tu ci ludzie nie mają robić długów i narzekać na złe czasy. Ot taki Krótkiewicz suplencina, Boże zmiłuj się, ma 600 zł. płacy rocznej, a on na samo piwo wydaje pewnie ze trzysta.... gdzie jemu się chce siadać do egzaminów i uczyć, jeżeli z nadmiaru piwa umysł mu ocieżeje i poprostu zbałwanieje.... piękna perspektywa dla Elżuni!

Brzydki zwyczaj jest u Janostwa, że w końcu kolacyi zaczynają wznosić zdrowia wszystkich po kolei gości. Jedni troszkę upiją z kieliszka i postawią, ale mój Józef każdy spełni poprostu z roztargnienia. Dziwny to człowiek z niego; w domu mruk, w towarzystwie gaduła na szerokie rozmiary i to o wielkich sprawach publicznych, które ani jego, ani rodziny wcale nie obchodzą. Straszny z niego teoretyk i doktryner,

a jak wpadnie w ferwor, to niezem go nie powstrzymasz. Wtedy można mu podsuwać do jedzenia i picia co kto chce; on nie wie, a zajada, potem zaś w domu narzekania, że go gniecie, że mu się odbija, że boli. Dopiero rwetes; grzej piasek, czy tam talerze, okładaj, rumianek gotuj i całą noc nie śpij i dwa dni dyeta. — Ot tacy są nasi wielcy mężowie, którym się zdaje że światem rządzą.

Po kolacyi, ktoś zaproponował grę w labeta, widocznie zasób tematów do rozmowy już się wyczerpał. Zasiedliśmy do koła wielkiego stołu, a mój suplent znów koło Zuni... Boże drogi, jak to u tych panów miłość rodzi się z urzędu. Naturalnie że Zosia, nie wiem czy coś się domyślała, czy też aby podług swej zasady zawsze komuś zrobić na złość, dosyć że wciąż zaczęła owego Krótkiewicza i oczkami kierowała na niego.

Przy grze mój suplent był dosyć ożywionym i silił się na dowcip banalnego pokroju. Pę c zamiast pięć, oj zarzynałem się też, panie miejcie litość nad ubogim młodzieńcem i coś w tym rodzaju, co rozśmieszało młode dziewczęta i nieznacznie z nim poufaliło. Patrząc na ożywienie Elżuni, tro-

chę byłam zła na nią, spodziewałam się bowiem, że ma smak lepszy i wykwintniejsze wymagania, — no, ale trudno o gustach prawie zwłaszcza dzisiejszych panienek, które już oswoiły się z sytuacją, przynajmniej tu u nas, że mężczyznom wszystko wolno.

— No jakże ci się podobał? — zagaduje mię Emilka odprowadzając na stronę.

— Tak sobie.

— Co masz przeciw niemu?

— Za gruby...

Rozśmiała się klepiąc po ramieniu.

— Schudnie zaręczam ci jak się ożeni.

— Stary już...

— Ale zdaje ci się, ma lat trzydzieści trzy.

— Z okładem.

— Daję słowo, nie ma więcej. Dowiedziałam się o nim wielu szczegółów. Bywa w porządnym bardzo towarzystwach, wiesz u Aniołowskich, Grzebińskich.. Ma złożyć jeden tylko egzamin i to z fizyki. Przy pomocy twego męża, który ma stosunki z kasyna ze sferami profesorskimi, możnaby mu dopomódz. Pytałam się o rodzinę: — syn, urzędnika ze starostwa, siostrę ma nauczycielką na prowincyi, brata adjunktem sądownym, a co najważniejsza

tylko czterysta reńskich długu i to nie u lichwiarzy...

— Mówiłaś co Zuni?...

— Nic.

— A uważałaś jest dosyć ożywiona. Mówię ci nie grymaście, człowiek porządny, będzie profesorem, co tu szukać wielkiej karyery.

— Powiem ci prawdę jeżeli chcesz — mówię na to — kompletnie mi się niepodobał.

— No, przecież ty za niego nie idziesz...

— Ale moja droga będzie moim dzieckiem; wygląda bałwanowato, głowa tępą... zapewne uparty...

— Józefowi jednak się podobał. Pytałam go, mówi: jakoś nie pedant, człowiek z werwą...

Nareszcie wybraliśmy się do domu i muszę przyznać, że Krótkiewicz starał się nam, o ile tusza jego pozwalała, nadszpeciwać. Koniecznie chciał mi wkładać kalosze na nogi, ale nie pozwoliłam... żeby on tylko nie mówił: pani dziko...

Przez drogę szedł z Zunią, ręki jej nie podał, ale słyszałam prowadzili poważniejszą rozmowę o teatrze, która, jakkolwiek

należy do najpospolitszych między mężczyznami we Lwowie, jednak wolę już to niż o piwie pilzneńskim. Wziawszy tedy jedno i drugie na uwagę i to co mi mówiła Emilka, przy pożegnaniu zaprosiłam go do nas i zostałam znowu ucałowaną w rękę, którą mi gwałtem z mufki wyciągnął. — Czy z tego co będzie i dobrego, trudno dziś wiedzieć — niech się dzieje wola Boga !

*

*

*

Nie, nie mogę się do niego przekonać! wystawcie sobie państwo ma na imię Tymoteusz, a brat jego nazywa się Pafnucy.... szkoda że nie Serwacy. Powiedziała mi to Elżunia, bo te dziewczęta zaraz wszystko muszą wiedzieć.

— Moja mamó, Tymko nie jest brzydkie imię....

— Zlituj się, akurat u rodziców moich był na wsi Tymko do koni fornałskich i wszyscy nazywali go durny Tymko.

— To tylko przypadek, moja mamó. Każde imię dobre, jeżeli nosząca je osoba jest przyjemną. Czyż nie mamy głupców Alfredów, Arturów i t. p. bohaterów roman-sowych.

— A on ci się naprawdę podobał? pytam podejrzywając, że o układach z Emilką coś wie.

— Podobał, nie podobał, bo do tego więcej potrzeba niż jednego spotkania się w towarzystwie, ale jest dosyć przyjemny.

Nie mogę Zuni darować tego rodzaju pobłażliwości i rezygnacyi z wysokiego tonu, z którego traktowała dotąd spotykanych mężczyzn; ale trudna rada, kwestya gustów nie da się ująć w żadne prawa. Dobrze też mówią: nie to ładne co ładne, lecz to co się podoba.... Westchnęłam sobie za straconemi marzeniami o zięciu, bo nie o takim myślałam — jednak cóż robić, całe życie nasze jest pasmem ciągłych zawodów i rozczarowań.

Długo jeszcze w nocy rozmawiałyśmy z Zunią o przyszłym u nas wieczorku, albowiem patrząc na to co było u Józefów, czułam, że zrobimy fiasko i że się skompromitujemy.... Boże drogi, jaka to klęska nie mieć pieniędzy, a z tytułu niby inteligencji żyć między takimi, którzy prócz tej posiadają majątek. — Na tysiące pokus jest się narażonym co godzina, a tu skrzydła obcięte nie pozwalają wzlatywać. Nie dziwię się więc goryczy i pesymizmowi, jakie

się w tych warunkach zagnieżdżają i nurtują w społeczeństwie. Dlaczego ja nie mam, jeżeli inni mniej odemnie warci mają, a tu znów tak trudno mieć coś i zdobyć prawą i uczciwą drogą.... Żeby mój Józef nie stał tak uparcie przy swoich niby to zasadach, zaczerpniętych z teorii o cnocie i godności osobistej — może i nam byłoby trochę lepiej... a może i gorzej — kto to wie... Człowiek, w nadanym mu od Boga charakterze, jak żołnierz w tornistrze nosi swoją przyszłość i żeby na głowie chodził zamiast nogami, nie przerobi losu, który mu przeznaczony.

Jeszcze parę godzin przewracając się w łóżku, medytowałam i kalkulowałam co podać na ową kolację, boć to przecie cała ambicya gospodyni, a często i honor domu. Sama jak jestem gdzie i widzę spaloną pieczeń — krytykuję, nie wątpię zatem, że i inni toż samo robią i tak samo się martwią, gdy się coś nie uda.

Doprawdy nie wiem jak sądzić tego człowieka, a myślę o suplencie Tymoteuszu, czy on kompletny bałwan, czy taki kochliwy, lub poprostu spekulant na ożenienie, — bo na trzeci dzień przychodzi do nas z pierwszą wizytą. — Słyszę, około jedena-

stej ktoś dzwoni, a że służąca poszła do miasta, Zunia jak zwykle jeszcze nie ubrana, o co się wiecznie gniewam, wychodzę sama otworzyć. Jest mój Tymunio, we fraku, wygorsowany, z kolorową chusteczką pod kamizelką. Wąsy wypomadowane w szydełka, na głowie resztki włosów rozdzielone na środku, a taka od niego bije woń fijołków, że zdawało mi się iż jestem gdzieś w Nicei wśród wiosny.

— Pani dzika daruje, iż czując wysoką wdzięczność za łaskawe zaszczylenie mię zaproszeniem do ich domu, poważylem się złożyć dzisiaj uszanowanie.

Jakże to długa i jak urzędowo wystylizowana przemowa, pomyślałam prosząc go do salonu, który na szczęście miał już sprzęty z pyłu oczyszczone.

Usiedliśmy, prowadząc banalną w takich razach rozmowę, dopóki nie pokazała się Elżunia. Długo dość czekaliśmy na nią, ma bowiem dar guzdralstwa, szczególnie na punkcie układania grzywki. Godzinę jest w stanie poprawiać jeden loczek, za co się Józef nieustannie gniewa i ma rację, bo to oznacza trochę płytkość umysłową. Wszystkim pannom zdaje się, że tam mężczyźni

będą się patrzeć na ich grzywki, a oni nawet często nie widzą koloru samych włosów.

Z pojawieniem się córki, ożywiła się trochę rozmowa; pan Tymoteusz chociaż jest grzeczny, ale nieśmiały i banalny. Zunia znów trochę kostyczna, dlatego też musiałam ją raz trącić nieznacznie, aby się złą nie wydawała, bo taką nie jest. — Jakie to pokolenie dzisiejszych panien niezdarne, nie mają nie sprytu, werwy, dowcipu; kto mię tam trącał lub przestrzegał jak byłam w domu u rodziców, a przecież podobałam się.

Dziś, nasz konkurent wyglądał jakoś nie tak czerwono, pewnie się upudrował, ale za to ledwie oddychał, tak był mocno opięty. Czułam to za niego może więcej niż on i miałam wielką ochotę poprosić, żeby sobie tam gdzie potrzeba pofolgował, bo здавало mi się nie wytrzyma i naraz pęknie.

Siedział prawie pół godziny nie puszcżając kapelusza z ręki, a gdy się żegnał przypomniałam mu, o naszych stałych dniach przyjęcia. Rozśmieszyła mię tylko jego rejterada do przedpokoju frontem do nas zwróconym, albowiem widocznie dla szyku nie

chciał nam barczystych swoich pleców pokazać.

— No i cóż? — pytam Zuni — jak tę wizytę rozumieć?

— Grzeczny jest, — odrzekła trochę zarumieniona — i zna się na formach towarzyskich.

— Tylko żeby się tak nie ścisłał.

— Nie uważałam tego. Jest dobrej tuszy, ale to całości jego postawy nie przeszkadza.

Oho, — pomyślałam, podoba się jej, skoro go broni i przyznaję się zła byłam na nią. Spodziewałam się, że moja córka powinna być więcej wybredną, a tu pierwszy lepszy, dlatego że trochę pokręcił się przy niej, że parę razy spojrzał swemi cybulastemi oczami, już nazywa się grzeczny i dobrze wychowany. Ha, co chcesz, będziesz miała, bo co do mnie, ja się do tego rodzaju ludzi starających się o pannę na komendę i kochających się z urzędu, nigdy nie przekonam. Mówcie co chcecie, musi to być albo człowiek z brzydkim charakterem, albo tuzinkowy głupiec.

Uważałam, iż i mój Józef, gdyśmy mu o wizycie opowiedzieli, zadowolony jest z obrotu sprawy. Kontent byłby już pozbyć

się córki, z którą zdaje mu się ma kłopot, chociaż doprawdy nie widzę aby sobie jakiś przymus z powodu Zuni zadawał. Skrzywił się tylko jak mu powiedziałam, że musi rewizytować Krótkiewicza, bo może się obrazić.

— Dobrze, dobrze, pójdę.... było to już nie raz i sądzę nie ostatni

— Przeciwnie, ja myślę ostatni — rzekłam, gdy Zunia od nas odeszła — on ma się do niej.

— Hm, trochę chłop za stary, ale gdzież tu szukać lepszego.

— Wypada tylko, żebyś się coś o nim dowiedział w gimnazyum, co tam mówią, jakie ma widoki.

— Widoki łatwo przewidzieć, przyjdzie na niego kolej, zostanie profesorem i finita komedya. No, a jakże Zunia?

— Zdaje się, że dość się podobał.

— To dobrze! Ciekawym tylko, czy gra w wista.

— Wstydz się Józefie, jak można tak mówić i myśleć. Tu idzie o los dziecka, a tobie wist w głowie...

— To swoją drogą, a to swoją. Wiesz, już jestem stary, ciężko mi chodzić do kasyna, nieraz taka szaruga na dworze

i chętnie bym został, żeby oto dało się spreperować domową partyjkę. Myślałem trafi się zięć, konsyliarz przyjdzie z dołu, tybys się wprawila i mielibyśmy swojego wiścika.

— O ile słyszałam Krótkiewicz zupełnie w karty nie gra i to mię cieszy.

— Zapewne, ale i tak z profesora nie ma w wiście żadnego pożytku. Wszystko to świat uczony, ludzie do wielkich interesów, Europę gotowi urządzać, a żaden z nich prostej gry nie rozegra jak się należy. Róbcie tedy jak chcecie, niech będzie ten jakże go tam zowią Długosz czy Krótkosz.

— Krótkiewicz...

— Wszystko jedno, tylko nie każcie mi kaptować go, chodzić za nim, protegować, bo tego nie potrafię. Za sobą nie chodziłem, żebrać nie umiem... Trzy tysiące daję na wyprawę i inne rzeczy, które jego są, więcej nie mam i basta...

Szczęściem, że Emilka, która cały Lwów zna na palcach i historią każdej rodziny może opowiedzieć sięgając do trzeciego pokolenia wstecz, już dowiedziała się że Tymoteuszowi brakuje tylko jednego egzaminu z fizyki i do niego w lipcu zasiądzie. Widziała się z kimś, który słyszał od niego, że nasz dom bardzo mu się podobał, tylko po-

wiada, że u nas wszystko na dużą skalę, a ja mam mieć minę i ton wielkiej pani. Nie wiem, gdzie on to widział, mieszkamy bowiem skromnie, a że wszystko jest czyste i w porządku, to do państwa jeszcze daleko.

Swoją drogą, zabiła mi klina Emilka tą opinią suplenta tak, że musiałam zmienić program kolacyi. Pokazało się przytem, że salonik będzie słabo oświetlony przy jednej stołowej lampie i trzeba choćby dwa kinkiety dokupić na puste ściany; w przedpokoju również pusto, niema zwierciadła, gdzieby każdy mógł ubranie swoje poprawić. Nie mam też półmiska podłużnego na rybę, a zdecydowaliśmy się właśnie na szczupaka. Znalazło się przytem wiele drobnych potrzeb, które dla honoru domu wypadałoby sprawić jak n. p. kilka wazonów z kwitnącemi roślinami, albowiem Zunia od kilku dni zaczęła z niezmierną tkliwością chodzić około resztek dogorywających palm i kaktusów.

Kłopot i zmartwienie zkad wziąć pieniędzy usunęła pocziwa Emilka (teraz wierzę w jej życzliwość choć dawniej uważałam ją za egoistkę i nieco lekkomyślną) poradziwszy, aby chwilowo zastawić stare

srebra, które Józef otrzymał w spadku po ciotce, a które mają tak odwieczny fason, że ich na stole pokazać nie można.

I choć na pierwsze jej słowa, dreszcz mię przeszedł, czułam, że to krok nierozważny i upokarzający, zwłaszcza obok przekonania Józefa. Musiałabym przeprowadzić tę rzecz pokryjomu przed nim, bo wiem z góry żeby się na coś podobnego nie zgodził. A tu jakoś sumienie i zdrowy rozsądek szeptał, że to nie ładnie, że dotąd w poglądach naszych i projektach szliśmy z Józefem ręką w rękę bez żadnych tajemnic.

Naturalnie, że na takie skrupuły, zły duch i paplanina Emilii znalazły dosyć argumentów mówiących przeciw.

— Moja droga — rzecze mi wiążąc moje wahanie się — kredyt, to rzecz powszednia między ludźmi. Wielcy panowie zastawiają kosztowności, a ze stanu naszego niema prawie domu, któryby chwilowo potrzebując pożyczki, nie szedł do banku. Widzisz ten mój garnitur z brylancikami, daj mi Boże tyle tysięcy, ile razy on był już w zastawie, a nawet powiem ci nosił go sam Jan do Banku.

Przekonała mię, bo jak ktoś przyczepi się do pewnych zachceń, które bądź co bądź

pragnie urzeczywistnić, to wiele środków w zwyczajnym stanie umysłu nawet mniej wątpliwej czystości, wyda się godziwemi. Coż to, myślałam sobie, zaciągam dług lichwiarski czy co? Zastawiam niepotrzebną rzecz, a zaliczkę spłacę drobnemi ratami potem z oszczędności domowych w lecie, gdy już przyjąć nie będzie.

Dałam tedy Emilce jedną tylko starożytną cukiernicę do zastawienia, bo sama nie śmiałabym się słać po bankach i miałam upragnione czterdzieści reńskich do dyspozycji. Mimo to, gryzła mnie ta sprawa tak, że Józef sam zauważył zmianę w mej twarzy i pytał czy nie jestem chora.

*

*

*

Nareszcie przyszła oczekiwana niedziela. Obie z Zunią poprzednio oddawałyśmy wizyty znajomym zapraszając i oznajmiając o stałych dniach przyjęcia, ma się rozumieć nie licząc, że wszyscy proszeni zaraz przyjdą. Sądziłyśmy, że na pierwszy raz zbierze się dwadzieścia kilka osób i do tego mniej więcej zastosowaliśmy nasze zapasy.

Ósma godzina bije (a prosiliśmy na ósmą) nie ma żywej duszy. Lampy pozapa-

lane, Józef w tużurku wciąż porządkuje swoje cygara i papierosy, dobiera talie kart do grania, szuka trybuszona do odkorkowywania butelek, słowem na seryo myśli o przyszłej roli gościnnego gospodarza. A propos trybuszona, przychodzi mi na myśl wino i nieładny z jego strony postępek. Ułożyliśmy się, że kupi butelkę po 60 centów, tymczasem kupił po 40 centów, o czem dowiedziałam się przypadkiem z rachunku kupca, który przyniesiono podczas jego nieobecności. Ukaralam go też, bo kazałam pokryjomu dokupić jeszcze sześć butelek po reńskiemu i te postawić w oknie między szybami, a jego wino schować. Trudno proszę państwa raczyć ludzi porządných kwaskowatą lurą; dziwię mu się, że na tym punkcie nie ma wstydu; jeżeli sam będąc u innych spija drogie wino.

Godzina pół do dziewiątej — pustki. Ja nic nie mówię, Zunia także, ale spoglądamy na siebie myśląc w duchu co to będzie, jeżeli przyjdzie tylko kilka osób. Wykosztowałam się tyle, niechby więc było dla kogo. — Ten kwadrans czasu, nim ozwał się pierwszy głos dzwonka w przedpokoju wiele mię kosztował niepokoju. Nareszcie są Janowie z Zosią, która mimo nie-

zmiernego wylewu czułości i całowania, sztyderczem okiem spogląda na całe urządzenie. Oho! znam ja jej świdrowate oczki i umiem w nich czytać jak w mojej książce do nabożeństwa. Emilka za to, pochwałała ustrojenie stołu w jadalnym pokoju, zwróciła uwagę na nowe kinkiety w salonie, co znów wywołuje zdziwienie u męża mego, że dotąd, jak powiada, czuł że jest bardzo jasno w pokoju ale nie umiał sobie wytłómaczyć, dlaczego. Poczciwi ci mężczyźni, jakież z nich są niezdary w tego rodzaju drobnostkach.

Z jednej ostateczności obawy o brak gości przechodzę niebawem w drugą, gdy dzwonek odzywa się co chwila, a goście płyną jak woda. Ze strachem liczę, jest już dwadzieścia siedm, a tu jeszcze państwo Kubalscy pakują się w sześć osób. Nie rozumiem jak można być tyle nie-
delikatnemi, żeby zabierać całą rodzinę z trzema córkami, z których dwie chodzą jeszcze do szkoły i z gimnazystą z czwartej klasy znanym powszechnie ze swej rozpusty. No, będzie tu dopiero heca, gdy moich dwóch urwiszów razem z nim rozpoczną swoje harce.

Sądziłam, że na tem koniec. Ale gdzie tam. Idzie jeszcze dwóch młodych panów i

jeden stary kawaler nudziarz, który już od trzech lat wcale się tutaj nie pokazywał, a odznaczający się tem, że przynosi zawsze nowiny w rodzaju tej naprzykład, iż królowa Bona umarła.

Gdy mąż i Zunia bawią gości w salonie i znoszą rozmaitego fasonu krzesła z drugich pokoi, ja jestem w rozpacz, że kolacya, ani nakrycia nie wystarczy. Kasiu biegaj do miasta po szynkę i ciasta, ty biegaj na drugie piętro do sąsiadów pożycz krzesła, potem pożycz widelców i nożów, pożycz kieliszków i wiele innych rzeczy. W tej chwili tak jestem zła na życzliwość kochających nas zbytecznie przyjaciół i znajomych, że wolałabym być o sto mil od domu. Co to będzie, jak czego nie wystarczy! Już szepnęłam mężowi i Zuni żeby nie siadali do stołu, ręce mi drżą, gdy układam szynkę na talerzach, sprowadzam i mężowskie butelki z winem jako zapas — słowem wszystko się we mnie trzęsie z niepokoju, czuję bowiem, że ten forsowny wysiłek mej wesłości i ujmującego uśmiechu dla gości, jutro niezawodnie zaprowadzi mnie do łóżka. Boże drogi, daj tylko siłę, aby dziś wytrzymać!

Mąż mój, przyznać muszę, dotąd zachowuje się dzielnie. Widzę, przysiadła to jednej, to do drugiej poważniejszej damy, jak go poinformowałam, zaczepia młode panienki, chłopczyków naszych kiedy niekiedy za ucho w kącik pociągnie, a wreszcie urządza dwa stoliki do kart i z całą rezygnacją zawołanego gracza, sam nie siada do wista, bo nie ma dlań miejsca.

— Józiu! — szepnę do niego w przełocie — dziękuję ci, spisujesz się doskonale, nie martw się że nie masz partyi, za to będziesz sobie cały tydzień wracał z kasyna, kiedy ci się spodoba.

Panowie grają w sąsiednim pokoju, Józef choć nie bierze udziału, to jednak wyrwa się co chwila z salonu aby stanąć za plecami grających i popatrzeć jak im też idzie... Widzę na jego twarzy boleść, no ale coż robić, pierwszy obowiązek być gospodarzem.

W salonie dosyć gwarно, chociaż z mojej Zuni nie jestem kontenta; widocznie odziedziczyła po ojcu ową nieporadność; nie umie być tu i tam, ale jak się w jednym kółku zagada, to o całym świecie zapomina. — Tymczasem źle robi że nie rozumie manewrów Zosi, która przyczepiwszy się do pana Tymoteusza, ani go myśli popuścić.

Przewrotna ta dziewczyna już zrozumiała sytuację i tak do niego robi czułe oczka, tak mu pali kadzidła, że on mimowoli musi z nią rozmawiać. Widocznie trawi ją zazdrość, że ktoś gustuje w Zuni, dlatego też ile razy on zwróci się ku niej, i zaczął z nią rozmawiać, ona już jest między nami. Albo odwołuje Elżunię niby dla jakiejś sprawy, to prosi aby jej coś w ubraniu poprawiła, albo żeby coś zagrała — słowem przeszkadza wszelkiemu zbliżeniu. Zunia nie tego nie widzi i czułością płaci za jej czułość, ale ja, która mam trochę doświadczenia i czytam w jej myśli jak w swojej, tak bym ją w tej chwili... no tak...

Pomimo wszelkich usiłowań moich potrafiła usadowić się przy stole obok suplenta — i w czem tylko mogła dokuczała Elżuni, aby ją w złem świetle przed nim wystawić. Zajęta gośćmi nie mogłam słuchać ich rozmowy, jednakże pewien epizod zwrócił moją uwagę. Zunia obnosiła tort, a Tymoteusz zapytał, czy to domowej roboty...

— Nie panie — mówi — ten nie domowy.

— Ale Zunia zna się na pieczywie — wtrąca Zosia. — Pamiętasz na Wielkanoc jakeśmy piekły razem. Wprawdzie ja mało

się mieszałam, bo na tem się nie znam i kuchnią się nie zajmuję, ale Zunia upiekła babę, która zrobiła się ot tyla — a pan Józef śmiał się, że można jej używać zamiast kul do armaty... Ja zawsze powtarzam, że te domowe pieczywa nic nie warte, ale Zunia chciała się popisać.. Wie pan śmiałyśmy się tak...

— My nie — odzywam się na to — bo widzi pan, Zosia zapomniała dodać, że to ona dała nam przepis na tę babkę, który skopiowała tam od kogoś i pomyliła się umyślnie czy nieumyślnie tak, że zepsuliśmy całe pieczywo.

Zapłoniła się intrygantka spojrzawszy na mnie bazyliszkowemi oczkami i wykręcała się co do tego umyślnie czy nieumyślnie, ale ja miałam satysfakcyę.

Dzięki Bogu kolacya wypadła dobrze, chociaż wszyscy mieli znakomite apetyta; suplent dwa razy brał każdą potrawę i uważałam, że znów oczki mu się śmiały, a językiem mlaskał — dziękuję za takiego zięcia i smakosza. Czem jednak szczególnie się ubawiłam, to naiwnością mojego męża względem wina. Przysiadł on się do księdza wikarego z naszej parafii, któremu wino moje musiało smakować, skoro ze szcze-

gólniejszą predylekcyą przypatrywał mu się do światła.

— Przepraszam pana dobrodzieja — rzecze do Józefa — od kogo to wino?

Mąż wymienił nazwisko kupca....

— Wcale smaczne i czyste.... a jeżeli łaska, to po jakiej cenie?

— Zgadnij ksiądz dobrodziej?...

— Sądzę coś koło guldena.

Józef roześmiał się i na mnie spojrział z tryumfem, a do księdza po cichu: czterdzieści centów butelka....

Wikary aż skoczył ze zdziwienia....

— To chyba pomyłka — powiada, ale gdy Józef dał słowo że tak jest, nie mógł się uspokoić, adres kupca sobie zapisał i zapewne licząc na taniość, wychylał kieliszek za kieliszkiem, co dla mnie nie mogło być wielce przyjemnem, bałam się bowiem czy nie wypadnie napocząć z fundacyi Józefa.

Spracowałam się tego dnia co prawda jak nieboskie stworzenie, ale przynajmniej miałam tę satysfakcyę, że wszyscy dobrze się bawili, niektórzy nawet, jak moi dwaj chłopcy i Kubalskich zanadto, albowiem korzystając z rozgardyaszu, potrafili upić się na dobre, szczęściem, że tańszem winem,

które stało na drugim stole. — Józef również był zadowolonym z przyjęcia, bo gdy już wszyscy wyszli, a my jak Maryusze zostaliśmy sami na gruzach jadalnego pokoju, przystąpił do mnie z nieudaną wdzięcznością i ucałował czule.

— Wiesz Maryniu — tęga z ciebie jest gospodyni. Anim przypuszczał, że potrafiśz tak świetnie wystąpić i tak ładnie wszystko urządzić. Czołem biję przed twoim talentem.... Szczególniej ten szczupak był pyszny, pamiętasz taki sam jak u rodziców twoich, kiedym się starał o ciebie. Mój Boże przypomniały mi się dawne czasy.... no daj jeszcze raz buzi....

No, nie byłoby tego, pomyślałam sobie, gdybyś ty wiedział, że ta historia kosztowała blisko pięćdziesiąt reńskich; dlatego też trochę gniewało mnie ubóstwo ducha mego małżonka, iż mógł wierzyć, że za ośm guldenów, które wspaniałomyślnie przeznaczył, wszystko to się odbyło. — Uważałam, że i Elżunia, była również zadowolona, zapewne nietyle z przyjęcia ile z konwersacyi z suplentem, bo z przyjemnością powtarzała szczegóły tej rozmowy. Otóż doprawdy tego rozumieć nie mogę, jakim sposobem mógł ją zainteresować ten opa-

sły facet, na którego ja w jej latach ani-
bym spojrzęła.... Ha, widać na świecie są
różne gusta i guściska!

*

*

*

Pan Tymoteusz sercową sprawę swoją
(choć jeszcze w tę szczerość trudno mi
uwierzyć), dość energicznie prowadzi. Na
trzeci dzień przysłał przez posłańca wspa-
niały bukiet Elżuni. Podobał mi się z tego,
nie lubię mężczyzn nieśmiałych i mazgajów.
Ach, gdyby on nie był tak otyły i piwa
tyle nie pił, możebym się do niego prze-
konała.

Elżunia powoli wydaje się ze szcze-
gółami rozmowy, między nimi prowadzonej.
Zapewniał ją, że wcale nie myśli poprzestać
na suplenturze, czyli profesorstwie w gi-
mnazyum, ale ma zamiar doktoryzować się
i habilitować na docenta przy uniwersyte-
cie. No, na tobym się prędzej zgodziła. Pro-
fesorem uniwersytetu mój zięć, wcale co
innego, — powaga naukowa, już nie pro-
sty szeregowiec. Przytem płaca nie zła, ro-
boty nie wiele, dużo wakacyi, można też
więcej czasu żonie i domowi poświęcić. Mó-
wił Zuni, że studjuje wiek XIV naszej hi-

stori, jakąś kronikę Czarnkowskiego, czy tam kogoś z Czarnkowa i, że to bogaty bardzo materyał. Dawniej, kiedy chodziłam na pensyę nie bardzo nas ćwiczano w historii, więc o tem sądzić nie wiele mogę, ale zdaje mi się, że dla takiego baryły smakosza właściwszym byłby wiek ośmnasty n. p. czasy Sasów. Tu miałyby i umysł jego i apetyt właściwe pole popisu, kiedy to uprawiano specjalnie kulinarne sprawy i poprawiano pasa....

Ale niechże tam będzie już i czternasty wiek, kiedy tak sobie życzy, i aby tylko nie był zwyczajnym profesorem w gimnazjum.

Po bukiecie, zaraz na drugi dzień była Emilka u nas i bez ogródki powiada, że mu się nadzwyczaj Elżunia i cały dom nasz i otoczenie podobało. Szczególniej nie może zapomnieć owego szczupaka z białym sosem.... jednym słowem chce się na seryo starać i tak okolicznie pytał Emilkę, czy może. —

Szczupakiem owym ujął mię najbardziej; wiedziałam że mój sos chrzanowy podług specyalaego od mamy przepisu przyrządzony, musi wywrzeć wrażenie i przekonać, że papką wiele można zdziałać u ludzi, szczególnie uczonych. — Nie wiem czy pań-

stwoście to uważali, iż autorowie, którzy w utworach swoich są najdalej idealnemi, w codziennem życiu lubią przysmaki i dyskusję o ich przyrządzaniu. Podobno i Mickiewicz nie był od tego wolny, gdy szło o kołduny, z tego więc sędzę, że mój przyszły zięć, jeżeli przyjdzie co do czego, musi być z talentem i w duszy idealistą. —

— Moja Emilko — rzeknę do niej — wszystko to bardzo dobrze, ale to, czego on chce, wygląda już na oświadczyzny, zatem nie mogę ci nie stanowczego powiedzieć, dopóki się z mężem nie naradzimy i nie zapytamy Elżuni.

— A naturalnie, chociaż bywanie częstsze jeszcze nie nie obowiązuje.

— Ale kosztuje, czego szkoda, jeżeli się nie podobał Elżuni. No, a ty jak sądzisz o nim, czy on mógł za drugim widzeniem już się w niej zakochać?

— Dlaczego nie! Ja znam takich, co się od razu zakochali i to szalenie. Są różne temperamenta mężczyzn, więcej i mniej zapalne.

— Mimo to ja w tę z góry ułożoną miłość nie wierzę.

— A ja wierzę, bo troszkę znam się na tem i widzę po nim, że jak mówi

o Zuni, to pons mu bije do czoła, no i w oczach słodko mu się robi.

*

*

*

Po obiedzie wzięłam Józefa na pogadankę do salonu i powiadam mu bez ogródki co jest. Zdumiał się i zastraszył, a ręce mu drżały ze wzruszenia. Wtedy dopiero poznałam jak on Zunię kocha i jak mu przykro pomyśleć, że ona może wyjść z domu. Niektórzy mężczyźni są tacy, że na pozór niby zimny, a jak mu trącisz w serdeczną strunę, gotów się rozpłakać.

— Bo ja wiem — powiada — czy to dobrze będzie, czy Zunia chce. Wiesz, na jej miejscu tobym nie chciał; mnie żal byłoby opuszczać dom rodzicielski dla pierwszego lepszego, bo jużcić w porównaniu z nami, czemuż on może być lepszym od nas.

Rozśmiałam się mimowolnie, choć łzy cisnęły się do oczu.

— Mój drogi, myśmy takiego porządku rzeczy na świecie nie ułożyli i zmieniać go nie możemy. Tak samo zrobiliśmy oboje...

— My co innego — przerywa — my byliśmy jakoś nie tacy ludzie, — prawda?

— Et, zdaje ci się, starzejemy się, więc nie potrafimy zrozumieć dzisiejszych młodych.

— Ale czy będzie z nim szczęśliwa?

— Ha, to już loterya mój drogi. Często wszelkie pozory inaczej mówią a na świecie inaczej idzie. Małżeństwo, to czyste przeznaczenie.

Zdawał się być przekonany, mimo to łzy puściły mu się z oczu i zaczął po kieszeniach szukać chustki.

Rzuciłam mu się na szyję, czułam bowiem toż samo, że tracę dziecko.

— A więc — rzecze po chwili — trzeba jej się zapytać.

— Poczekaj, jeszcze nie dziś, ja ją wprzód sama wybadam w potocznej pogawędce, chociaż ze wszystkiego widzę, że mu sprzyja. Druga rzecz, chciałabym, żebyś się i ty wprzód coś o nim bliższego dowiedział. Kto to wie co za człowiek; rekomendacya Emilki nie wiele u mnie znaczy, ona jest dobra kobieta z sercem, ale trochę lekiewicz.... Dziś tak, jutro tak, — ot głębiej nie sięga. —

— Masz rację, ja się postaram. Dyrektor jego gimnazyum bywa czasem w kasynie, i profesorów kilku jego kolegów znam,

to przecież coś się dowiem. Zresztą oddam mu wizytę i postaram się zastać w domu. Otoczenie, tego, zawsze wiele mówi. —

Wieczorem, gdy chłopcy już spać się pokładli, a my obie z Zunią siedziałyśmy przy stole z robótką, zaczynam ja z tej beczki :

— Coś mi się zdaje, że pan Tymoteusz bardzo ci u nas nadskakiwał.

— Eh, nie. Grzeczny jest, co prawda, ale prędejbym myślała, że on coś koło Zosi.

— Nieprawda, za to ci ręczę. Ona mu się narzucała, to przecież było widocznem; odpowiadał, jako człowiek znający się na formach towarzyskich, ale tam do czegoś czulszego daleko.

— Ona może być lepszą partją dla niego niż ja, ma posag dość znaczny....

— Nie sądź znowu, że mężczyźni tak polują za posagiem. Mówią dużo o tem, myślą jeszcze więcej, jednak inaczej robią i widać zaraz co im się prawdziwie podoba.

— I mama sądzi, że ja mu się podobałam?

— Tak mi się zdaje, a nawet sądząc z całego obejścia jego, powinnam być pewną.

Spojrzałam nieznacznie na Zunię a tu na twarzy raki po same białka, ale mówię dalej :

— I tobie się trochę podobał prawda?

— Jak mamę kocham jeszcze o tem nie pomyślała.

— Dobrze, więc pomyśl teraz...

— Na co? — rzecze z pewnym odzieniem żalu. — Nie jeden mi się podobał, a jak ja jemu nie — to po co myśli sobie zaprzętać. Nie mam szczęścia do ludzi więc za mąż nie pójdę i tak jakoś przeżyję.

— Zuniu, dziecko moje, nie trzeba tracić nadziei, jeszcze ci czas.... Dlaczego nie jesteś otwartą ze mną

— Podobał mi się, ale nie tak znowu żebym się zakochała. Wydaje mi się przyjemnym, dość wykształconym, ale znam go tak krótko....

— To też nie idzie o to, żebyś się już decydowała, tylko jakby chciał bywać częściej, w inne dni niż mamy oznaczone na przyjęcia, to czy mamy go prosić.

— Broń Boże, nie chcę nikogo ciągnąć. Jakby sam chciał, — to niech przychodzi, coż mi to przeszkadza...

No, dowiedziałam się com chciała, Zunia poszłaby za niego.... Ha, więc niech się dzieje wola Boża.

Mój stary nie wiele zebrał o nim bliższych wiadomości. Powiedzieli, że jest pięć lat suplentem, że egzaminów profesorskich jeszcze nie zdał, że oddaje się studjom historycznym. Co do posady stałej, zapewne przyjdzie mu jeszcze czekać ze dwa lata. No, ale o czem czekać ma zwłaszcza gdyby się ożenił, — ma się rozumieć musielibyśmy dopomagać. Dla szczęścia dziecka czegoż się nie robi. I ja już w tem przypuszczeniu już sobie obliczyłam co się da obciąć na wydatkach domowych biorąc w rachubę, że będą u nas co niedziela na obiedzie, a ze trzy razy w tydzień na kolacyi. Tylko żeby nie nie kaprysił w jedzeniu i nie wymagał przysmaków, bo na to nie wystarczę.

Józef był u niego z wizytą i zastał czysto kawalerski porządek, z czego pan Tymoteusz był wielce zakłopotany. Uderzyła tylko męża znaczna ilość butelek pustych stojących za piecem. Czyżby lubił pociągać? — a to przyznam się nie miła

perspektywa. — Opowiadał mężowi, jako ojciec jego był małym urzędnikiem na prowincyi, że właśnie umarł, kiedy kończył gimnazyum i z tego powodu ciężkie przechodził próby. Czuła z natury nie jestem, ale doprawdy łzy stanęły mi w oczach, gdy Józef powtarzał, jak on raz cały miesiąc nie jadał obiadu, a żywił się chlebem i piwem. Biedny chłopiec i warto to biedować, aby potem niby to doszedłszy do czegoś, znowu dalej biedować. Że dotąd nie złożył egzaminów na profesora, to dla braku czasu, bo musi dawać prywatne lekcye i zajmując się przytem pracą po bibliotekach nad ową kroniką Janka z Czarnkowa. Na co mu to wszystko, a zwłaszcza jego przyszłej żonie i rodzinie — tego nie rozumiem. Czy u nas historya chleb daje?

Nie wieleśmy się dowiedzieli, co prawda, ale dzięki Bogu nie złego, więc mówię Emilce: niech przychodzi parę razy w tydzień na herbatę, a co dalej — zobaczymy.

Przychodzi tedy i czas nam biegnie dość przyjemnie. Nie jest taki prostak jak sądziłam, owszem w rozmowach jego jest coś oryginalnego a nawet ma wiele dowcipu i zdaje mi się, mógłby być dobrym mę-

żem, żeby tylko dał pokój historyi, która może mu w głowie przewrócić, że jest uczonym. Kobiety obce tego rodzaju ludzi lubią chwalić i adorować, ale własne żony, przyznają tu otwarcie, wołałyby mieć trochę popolitszych i mówiąc trywialnie głupszych mężów — nie wydałyby się przy nich tak małemi. Przy dalszej znajomości naszej, mam nadzieję wybić mu z głowy ową historię niech pilnuje tego z czego ma chleb, a Zunia nie będzie dla niego gaską. —

Przyjęcia Tymoteusza kosztują mię za każdym razem guldena, a co mnie przytem gniewa, to wymyślania Józefa, że mogłabyś podać to, lub to, a nie zawsze tę szynkę. —

— Dodaj kilkanaście reńskich na miesiąc — powiadam.

-- Ej, ty tam wykręcisz swoją mądrą główką, że i tak wystarczy.... Oho filut, aby tylko nie dać, to puszcza się na po-chlebstwa..... znamy się na takiej monecie.

Z początku przymuszał się Józef i zostawał w domu na wieczory gdy suplent przychodził, ale widziałam, że go to wiele kosztuje. Nieraz nawet, próbowaliśmy grać w wista familijnego, co jednak mężowi nie bardzo smakowało; przyznał je-

dnak, że Tymoteusz mógłby grać nieźle, gdyby gry nie bagatelizował i nam kobietom nie ulegał. W grze — powiada — nie ma żadnych przyjaciół i faworów, inaczej traci się interes.

— Kiedy tak, — mówię — to chodźże sobie dalej do kasyna i nam daj pokój.

Byłoby tedy wszystko dobrze; już przyzwyczailiśmy się trochę do obecności Tymoteusza, krępowaliśmy się mniej etykietą, gdyby nie kochana panna Zofia, pupilka Janostwa. Jak się tylko dowiedziała od Zuni że suplent częściej bywa, zaczęła sobie wynajdywać różne pozory aby do nas przychodzić. To przynosi nowe żurnale, to jakieś książki potrzebuje, to coś chce uszyć na naszej maszynie i przyszedłszy popołudniu, ani myśli wychodzić i muszę ją z ceremonii prosić na herbatę. Nieraz mam chęć powiedzieć jej słowa prawdy, aby się już raz pogniewała z nami, jednak wstrzymuję się przez wzgląd, że to niby powinowata i żeby Tymoteusz nie myślał że jesteśmy swarliwego usposobienia. Ale co mię ta przymusowa grzeczność kosztuje, to tylko jeden Bóg wie. Ot i wczoraj, napomknęła Zuni, że ktoś kiedyś widział Tymoteusza w restauracyi, jak w przystępie dobrego humo-

ru potłukł szklanki. Jestem przekonana, że to jej koncept, ot tak sobie, jednak zestawwszy tę plotkę z owemi pustemi butelkami, które Józef widział u niego za piecem, coś mię piknęło, czy on też czasem nie jest hulaką.

Nawzajem znowu, co ona tam musi wygadywać o nas, gdy wraca do domu po wizycie. Zwykle przychodzi po nią służąca Janów, lecz Tymoteusz przez grzeczność towarzyszy jej aż do mieszkania... no i wyobrażam sobie, jak nas tam maluje.

Nareszcie pewnej niedzieli odetchnęłam swobodniej. — Tymoteusz oświadczył się formalnie. Przyszli z Janem o pierwszej godzinie do jego pokoju. Od razu domyśliłam się po co i przyznaję się, że pobiegłam do sali, aby podsłuchać. Jan, człowiek światowy, wygłosił swoją oracyę gładko, a Tymoteusz przez ten czas tylko kaszlał i chrząkał. Jak skończył Jan, odezwał się i on, że szczęście Elżuni będzie miał przedewszystkiem na celu i że temu życie swoje poświęci. Oni wszyscy tak mówią przy oświadczeniach, a potem żona jest mu nieraz kulą u nogi.

Józef przyjął te oświadczyny z powagą ojca i odwoławszy się na mnie i Elżu-

nię wyszedł tak prędko po nas, że nie miałam czasu uciec z salonu. Zawstydziałam się też okropnie, że mię złapał na podsłuchiwanu.

Zunia widocznie wiedziała co dziś nastąpi, bo ubrana była staranniej niż zwykle, a gdym jej powiedziała zbladła jak ściana. Musiałam ją wziąć za rękę i wprowadzić do sali, tak była biedaczka zażenowana. Stała ze spuszczonemi oczyma, cała w ogniu, a swoją drogą wyglądała tak ładnie jak nigdy, że mi aż żał było, iż musi iść za takiego grubasa, któremu jeszcze na uroczystość wystąpiła gromada czerwonych krost na czoło. Byłam w tej chwili więcej może wzruszona od córki, a jednocześnie taka jakaś zła na tego człowieka, że ni pójdź, ni daj, przychodzi mi tu zabrać moją wypieszczoną jedynaczkę.

Józef, przypomniawszy sobie zapewne, własny przy oświadczeniach ceremoniał, z miną urzędową ojca zapytał Elżuni, czy zgadza się na oddanie swej ręki Tymoteuszowi. Po co te ceremonie, czego żenować dziewczynę, kiedy wie że tak jest. Dlatego też, ja wzięłam jej rękę i włożyłam w rękę jego, a on uklękawszy pocałował z zapalem i włożył pierścionek z szafirem na pa-

lec. Zunia w zamian dała mu swój jaki miała największy, który jestem przekonana będzie musiał kazać rozbijać, bo by go na koniec swojego najmniejszego palucha nawet nie wsadził. — Potem uściskaliśmy się wszyscy, ja się trochę rozplakałam i kazałam podać butelkę wina, którem wypiliśmy zdrowie narzeczonych.

Jan nie chciał zostać na obiedzie, więc zasiedliśmy sami w gronie familijnem, a ja kazałam z cukierni przynieść ciastek na legominę, żeby ten obiad uroczyściej wyglądał. Niby nam to było wesoło, a jednak czuliśmy z Józefem smutek, tylko moje chłopcy korzystali najwięcej z fety bez miłosierdzia zjadając ciastka, aż musiałam ich pohamować, bo przecież będzie herbata wieczorem i pozostałe ciasta przydać się mogą. Urwisze zamiast się cieszyć, że siostra idzie za mąż, to się z niej wyśmiewali nazywając panią Sekwensową, tak bowiem studenci w gimnazyum przewali Tymoteusza z powodu, że tego wyrazu często używa.

Wieczorem poszliśmy do teatru, Józef zafundował nam łożę pierwszego piętra, a idąc oboje narzeczeni prowadzili się z sobą pod rękę, co uważałam bardzo się Zuni podobało, bo oglądała się wciąż i z pewną

ostentacją kłaniała spotykanym po drodze znajomym.

Stało się tedy co się stać miało, a na mnie spadło tysiące nowych kłopotów i wydatków. Przychodził już teraz co dzień, siedział do późnej godziny i zamiast stracić apetyt, co zazwyczaj trafia się zakochanym, on jadł dwa razy tyle co przedtem. Okoliczność ta i ciągle niewysypianie się zniewoliły mię do narady z mężem i Emilką, aby już raz oznaczyć termin ślubu i wziąć się do wyprawy.

— Niech złoży wprzód egzamin profesorski — powiada Józef.

— Ach jaki z pana pedant i formalista — rzecze Emilka. — Coż to mężczyzna bez egzaminu nie może być mężem.

— Dowcipna jest pani dobrodziejka — ale widzi kochana kuzynka — jabym też chciał wiedzieć za kogo córkę wydaję.

— No, za kandydata nauczycielskiego — odzywam się.

— Dobrze, tylko jak ten kandydat w ciągu lat pięciu nie złoży egzaminu to mu powiedzą idź sobie z panem Bogiem, a wtedy co? Panu Tymoteuszowi zaś już się podobno owe pięć lat skończyło.

— Ależ on złoży, to tylko formalność, wszyscy mówią, że człowiek wykształcony i zdolny — mówi Emilka. — Przyznam się, że pan Józef w tym wypadku postępuje sobie jak tyran a nie ojciec. Wymagać od narzeczonego, żeby się uczył, kiedy jemu co innego w głowie, to jest barbarzyństwo. Jak się już ożeni, uspokoi, no wtedy, zabierze się do roboty i we dwa tygodnie wszystko będzie skończone.

— Ślicznie kuzynka mówi, lepiej niż adwokat, ale po kobiecemu. Moje zdanie jest takie: naprzód egzamin, a potem ślub i od tego nie odstąpię....

— Mój Józefie — rzeknę — nie trzeba się tak upierać. Rzecz to już jest głośna, w dzienniku nawet była notatka.

— Bardzo niepotrzebna i temu się dziwię kto podał. Sprawy tego rodzaju, są czysto domowymi sprawami, zaręczyny — to nie ślub.... mogą się rozejść co często się trafia, a potem komentarze dla czego i t. p.

— Jak będziesz się upierał przy swoim to być może dojdzie do tego....

— A po co ogłaszał?

— Że nie on — dodaje Emilka — ja zaręczam. Ma tylu znajomych między dzien-

nikarzami i któryś polując na nowinki po-
dał. Zresztą taki już zwyczaj teraz....

— Nierozsądny i szkodliwy zwyczaj,
a ja przy swoim stoję: naprzód egzamin....

Zmartwiłam się tem bardzo i chociaż
przyznaję, że Józef ma najkompletniejszą
racyę, to z drugiej strony żal mi dziewczyny
i żal mi jego, że czekać muszą. Mam
jakieś złe przeczucie, kto to wie co się stać
może, tymczasem ta nieoznaczoność sytua-
cyi jest dusząca.... kochana Zosiunia nie
spi, a dyabełka tego boję się, zanadto czule
winszowała Elżuni, abym wierzyła w jej
serdeczność, załóżę się o co kto chce, że
nam wiele jeszcze galimatjaszu narobi....
może sama kaptuje go dla siebie....

Dziwna rzecz, iż Elżunia od czasu
tych oświadczeń, zrobiła się dla mnie
skrytą. Z Tymoteuszem coś ciche prowadzą
narady, a ja gdy się zapytam o czem tak
rozprawiają, zbywa mię ni tem, ni owem.
Raz wspomniałam jej o egzaminie, jak ży-
czy sobie ojciec, a ona:

— Pan Tymoteusz nie myśli składać
profesorskiego egzaminu.

— Tylko co?

— Powiada, że rzuci suplenturę i bę-
dzie się doktoryzował. Potrzebuje tylko skoń-

czyć rozprawę o Janku z Czarnkowa, nad którą pracuje, a potem będzie się habilitował na docenta uniwersytetu.

— Dobrze moje dziecko, bardzo mi się to nawet podoba, tylko powiedz mi z czego będziecie żyli, nim on dostanie jakąś posadę stałą, bo o ile wiem, docenci nie biorą żadnej płacy.

— On mówi, że nie może marnować swych zdolności i zakopywać się gdzieś tam na prowincyi jako profesor gimnazyalny....

— Dobrze — przerywam — tylko ja pytam, z czego się utrzymacie?

Milczała spuściwszy głowę, a po chwili powiada:

— Nie wiem, o tem nie nie mówił...

Coś mi się to wszystko zaczęło nie-podobać, a ów doktorat i docentura wydawały gruszkami na wierzbie. Egzaminu profesorskiego nie chce składać, na to szkoda jego zdolności; chce docentury.... jakby to jedno drugiemu przeszkadzało.... Zawsze jako suplent ma sześćset złotych r. na rok, profesorem może zostać niedługo i będzie miał tysiąc dwieście, no i z tego już od biedy wyżyć można.... Po pięciu latach praktyki, chce to rzucić i puścić się na bystre wody, to jakoś dziwne. Coś w tem jest, ale

co, dojść nie mogę. Martwię się tedy, nikomu nie nie mówię, tymczasem wydatki moje rosną. Codziennie kolacya, dwa razy w tydzień jest na obiedzie, — to jakieś wycieczki, to do ogródków na koncerta i różne festyny, — takie rzeczy kosztują. Józef dodaje mi wprawdzie dziesięć reńskich na miesiąc, co to jednak znaczy. Manasowa już parę razy wspomniała mi, dlaczego wyprawy nie robię; podejrzywa że u kogo innego kupujemy, a ja się tłómaczę jak mogę, bo dług stoi, nawet się trochę powiększył. W banku także trzeba płacić procenta, słowem nadzwyczaj krucho z mojami finansami i będę musiała resztę srebra po ciotce zastawić, bo nie wytrzymam. — Zachciało się jeszcze Elżuni wyhaftować dla niego na imieniny poduszkę; znów tedy kilkanaście guldenów pękło, bo on kupił jej na urodziny wspaniałą książkę z ilustracyami „Pana Tadeusza“ — nie wiem na co i po co, skoro my tego nie wymagamy, wiedząc że ma długi.

Chodzi już dwa miesiące; on nie nie mówi o ślubie, my także nic, a ja czuję że gromadzą się chmury nad nami, z których burza gotowa nastąpić. Emilka, główna sprawczyni tych konkurów, jakoś nas unika,

podobno mają znów swoje kłopoty finansowe, bo gdzieś tam stracił na przedsiębiorstwie, ale ja nie wierzę aby to był jedyny powód lawirowania. Raz, spotkawszy ją na ulicy wprost powiedziałam co myślę, a ona mi na to: czego zwlekacie, czego twój mąż formalizuje. Dziś o kawalerów trudno, oni panami położenia, a Józefowi się zdaje że Zunia przynajmniej księżniczka....

Obraziłam się taką mową. Cóżto my gwałtem mamy łapać dla niej męża i płacić za niego!

— Wielka suma, sześćset reńskich długów które ma, przecie możecie to zapłacić. Inni płacą tysiące.

— Jakto, sześćset? — mówię do niej — słyszałam tylko o czterystu...

— Mnie mówił sześćset....

— Wiesz, że Józef daje trzy tysiące wszystkiego; jak z tego pójdzie sześćset na długi, ze czterysta albo i więcej na urządzenie, to coś zostanie na wyprawę. Zresztą gdyby nawet tak było i gdybym się dwoma tysiącami obyla, to potem co?

— Musielibyście dopomagać, póki tam stałej posady nie dostanie. Trudna rada, tak wszyscy robią, bo dziś trudno czegoś się dochrapać.

— Kiedy on nie chce składać egzaminu profesorskiego... tak mi wspominała Zunia, lecz myśli o doktoracie, o docenturze...

— Ma rację. Ja bym tak samo zrobiła. Po pięciu latach praktyki odmówić mu dalszej płacy, dlatego że egzaminu nie zdał... to jest okropne.

— Jakto? już nie jest suplentem?

— Nie wiesz, nic wam nie mówił?

— Ani słowa.

— Przed dwoma tygodniami dostał uwolnienie...

— Straszne rzeczy! — zawołałam rozżalona — i cóż to będzie?...

— On sobie żartuje z tego, rozprawę swoją kończy i będzie doktorem. Nie bądźcie tylko nudziarzami, przyspieszcie ślub, niech się uczy... I wyprawę teraz byłoby łatwiej robić, wiesz Jankielek zakupił moc nowych towarów gdzieś na licytacji w Czechach czy w Wiedniu i sprzedaje to za bezcen. Widziałam sztuczkę na kostium; spód gładki granatowy, wierzch w delikatne paseczki, granatowe z kawowem, na tle bronzowem, cudnie wygląda i to czyściuteńka wełna. W naszych sklepach trzebaby dać za taką ze czterdzieści guldenów, a u niego

dostanie za dwadzieścia pięć. Prócz tego śliczne płótna, batysty, pyszne koronki, warto żebyście zajrzały z Zunią choćby dla obejrzenia. No powiedz kiedy, to i ja przyjdę, bo jestem tam jak u siebie w domu.

Nie słyszałam już więcej trzepotania Emilki, bo w głowie mojej siedziała jedna tylko nowina: Tymoteusz dostał dymisyę. Co to będzie, co biedna Zunia pocznie skoro ta cała rzecz się odwlecze, co powie Józef...

Wróciłam do domu na pół przytomna, kombinowałam, czybyśmy nie mogli jakim-bądź sposobem przyjść im z pomocą, ale jakim? Tu cała rzecz stała się publiczną, wszyscy nam winszowali, dziennik ogłosił, a tu dymisyja. Wahałam się czy powiedzieć Józefowi czy nie, ale gdy przyszedł Tymoteusz jak zwykle na wieczór i był w najlepszym humorze, wstrzymałam się, żeby męża nie martwić, bo może i Emilka przesadziła, może to jeszcze nie tak.

Na drugi dzień potem, narzeczony nie przyszedł. Czekaliśmy do dziewiątej z herbata, Elżunia wyglądała oknem raz po raz, nadśłuchiwała czy nie ozwie się dzwonek w przedpokoju — nie. Albo zasłabł, albo jakieś ważne zajęcie go zatrzymuje, albo

może wziął się do pracy i gotuje do egzaminu. Pokazało się jednak, że nie to i nie to, tylko przyjechał brat Tymoteusza, urzędnik sądowy z prowincyi, którego nazajutrz przyprowadził do nas. Jest młodszy o rok od niego i wcale do brata niepodobny, szczupły, wysoki brunet z wąsikami, fizyognomia nie bardzo sympatyczna tembardziej, że małomowny i pozujący na powagę. — Przywitaliśmy go bardzo serdecznie, on powiedział parę zdawkowych komplementów, jako zrobiliśmy zaszczyt jego familii przyjmując brata do swej rodziny, na co ja również odpowiedziałam, iż cieszę się, że możemy być dumnymi z tak cennego nabytku jakim jest Tymoteusz.

Wydaje się człowiekiem rozsądnym i dziwna rzecz imponuje starszemu bratu, który jest dla niego z niezwykłą attencją.

Po kolacyi, mąż i sędzia wyszli na cygaro do innego pokoju, a my gawędziłyśmy jak zwykle wypytując się o szczegóły jego zajęcia, o jego żonę i dzieci, jest bowiem od kilku lat żonatym. Z dalszej gawędki pokazało się, że znamy rodzinę jego żony, która była nauczycielką w tej samej szkole gdzie jest ich siostra na prowincyi, że tam się z nią poznał, a następnie oze-

nił. Podobało mi się to bardzo, że poszedł za głosem serca i wziął panienkę biedną, nie miała bowiem żadnej wyprawy, a przytem wcale nie jest ładną.

Obaj panowie siedzieli dość długo z sobą i rozmawiali żywo; szczególnie Józef podnosił głos kilka razy, co mu się rzadko zdarza; — widocznie, że rozmowa musiała go zajmować. — Około jedenastej, pożegnali nas panowie bracia i wyszli, a ja dopiero spostrzegłam dziwną zmianę w fizyognomii Józefa. Czerwony był na twarzy, uśmiechał się szyderczo, zacierał ręce, co jest zwyczajem u niego, gdy jest w złym humorze lub ma jakie zmartwienie. Elżunia także nie była swoja, ona musiała coś wiedzieć, czy przeczuwać, bo posprzątawszy ze stołu, wsunęła się za parawan gdzie stoi jej łóżko, narzekając na okropny ból głowy.

Józef skinął na mnie ręką i weszliśmy do salonu.

— Wiesz, po co ten braciszek przyjechał tutaj?

— Zkądże mam wiedzieć.

— Oto ani mniej, ani więcej, tylko w imieniu Tymoteusza żąda utrzymania dla młodych przez dwa lata, albowiem przyszły nasz zięć nie chce być profesorem gimna-

zyum, ale habilitować się na docenta historyi przy uniwersytecie.... Powiadam ci, że to jest bezczelność! — zawołał, unosząc się własnymi słowami — bezczelność handlarza.

— Mój drogi tylko spokojnie -- rzeknę na to.

— To jeszcze nie koniec. Mamy dać wyprawę, oporządzić im mieszkanie, zapłacić tysiąc reńskich długów.

— Już tysiąc! — przerywam — ja słyszałam o czterystu reńskich, potem o sześciuset....

— Czekaj, to jeszcze nie koniec. On musi jechać do Rzymu na pół roku dla prowadzenia poszukiwań w bibliotekach, pisze bowiem rozprawę historyczną z XIV wieku, a to ma się rozumieć naszym kosztem.

— I cóż ty na to?

— No co, zgłupiałem, a opamiętawszy się trochę, powiedziałem, że Zunia na wyprawę i wszelkie wydatki ma przeznaczone trzy tysiące reńskich i ani centa więcej.

— Wszak państwo obiecywaliście sześć — rzekł na to.

— Kto obiecywał? Kłamstwo wierutne, ani ja, ani moja żona....

— Naturalnie — dodaje — ja ani słowa nie mówiłam nigdy o posagu.

— Wiem że ty nie, ale on powiada, kuzynka pańska, jakaś pani Emilia, która swatała brata, zapewniła, że panna Elżbieta będzie miała posagu sześć tysięcy. Czy to prawda, czy ty upoważniałaś Emilkę do takich oświadczeń?

— Broń Boże, owszem prosiłam, aby prócz skromnej wyprawy nie obiecywała.

— Oto masz skutki swatania i to przez taką srokę jak Janowa. Nie mówiłem, nie ostrzegałem, siedźcie cicho i skromnie, a jak ma być co, to będzie. Ale gdzie tam! Mąż egoista, niedba o dom, inni się starają, młodzież ciągną — oto są rezultaty ciągnięcia. Wstyd, zmartwienie i wstręt do całego świata.

Umilkł Józef i ja milczałam, bo co tu zaprzeczać — wszystko prawda. Czułam tylko, że zaczyna mi się serce ścisnąć, jakby je kto brał w gorące kleszcze, że jakiś szum niby z chmury gradowej świszczy w uszach, potem zaczęło mi się mroczyć w oczach i — umieram. —

Józef krzyknął, pobiegł po karafkę z wodą, a na jego krzyk przyleciała w ka-

ftaniku Elżbietka cała we łzach. Biedaczka wiedziała o wszystkim, Tymoteusz wspominał jej o posłannictwie brata, chociaż nie знаła jeszcze wysokości żądań i pewnego upokarzającego szczegółu z rozmowy pana sędziego. — Gdy Józef na takie warunki odpowiadał prawie żartami, zapytał Pafnucęgo, ile on też wziął posagu za swoją żonę?

I wiecie państwo co mu powiedział: Ach, to rzecz okropna, jak można być tak bezwstydnym, jakim się okazał Tymoteusz.... Oto powiada:

— Ja co innego, nie nie wziąłem za żonę, nawet żadnej wyprawy, bo, bo.... ja się żeniłem z miłości!...

I proszę was, co tu było więcej gadać — prowadzi swoje Józef, nie zważając, że Zunia zbladła i ręką chwyciła się za serce. Nie dam ani centa, ani córki nie wydám za próżniaka i handlarza miłości.... Moje drogie dziecko! — zawołał, biorąc ją na ręce i całując po twarzy, po oczach, po rękach — lepiej że ci od razu wyrwę ten chwast przebrzydły z serca i raz się wszystko zakończy, niż miałabyś całe życie potem przeboleć z takim człowiekiem.... No, no, nie płacz, ucałuj mię, to brzydki człowiek

nie wart twojego uczucia. — Zapomnisz, bo twoje szlachetne serce musi się oburzyć na podobną zniewagę, a Bóg wynagrodzi cię za ten zawód... Nie płacz tylko nie płacz, bo dalibóg zwaryuję.“ —

*

*

*

Jak przepędziliśmy wszystko troje tę noc, łatwo sobie wyobrazić. Wiele nieszczęść i zmartwień przeszłam w mojem życiu; były chwile, zwłaszcza podczas aresztowania Józefa, że zdawało mi się już dnia nie przeżyję, ale nie czułam nigdy takiego serdecznego bólu, takiego obrzydzenia do ludzi, takiego wstydu, upokorzenia, takiego.... już nie mam słowa na wyrażenie czego, jak wówczas.... Za naszą dobroć, za naszą od serca życzliwość, w ten sposób komuś zapłacić, to rzecz do niewierzenia — a jednakże są takie potwory na świecie. Naza-jutrz rano odesłaliśmy mu pierścionek i wszystkie prezenta, Józef napisał parę słów zimnych. On również odesłał pierścionek i ową nieszczęśliwą poduszkę i był tyle bezczelnym, że powiedział do służącej:

— To nie oni zrywają, ale ja. Obiecywali dać posag, a teraz chcą dać figę...

Nie mnie brać na kawał. Mam lepszą od panny Elżbiety i gotówkę na stół dwanaście tysięcy...

Józef koniecznie chciał posłać mu sekundantów, ale wybłagałyśmy obie, że dał pokój i że szkoda kuli...

I skończyła się cała sielanka konkrowa, skończyła zanadto smutnie i podwójnie dla mnie boleśnie. Musiałam złożywszy pychę z serca przyznać się przed Józefem o długach i zastawionem srebrze. — Nie rzekł mi ani jednego słówka wymówki, nie okazał gniewu, tylko zmienił list zastawny i dał mi pieniądze pytając:

— Ale czy to już wszystko?

Pytanie to zabiło mnie więcej, niż najgwałtowniejsze wyrzuty. Widocznie straciłam u niego wiarę i bardzo słusznie, bo kto raz dopuścił się kłamstwa, może więcej razy to samo powtórzyć...

— Jak cię kocham wszystko... Józefie, popatrz na mnie, co, darujesz?

Uścisnął mię, pocałował i łzę otarł z oka: — Spodziewam się moja Maryniu, że to będzie ostatni raz...

Co za delikatność, jaka dobroć i szlachetność w tym człowieku. Otoż takich mężów daj nam Boże jak najwięcej...

Żeby ludziom i złym ich językom zejść z oczu, my z Zunią prawie nie wychodzimy z domu. Józef wziął urlop na sześć tygodni, więc jedziemy na letnie mieszkanie gdzieś w zapomniany kąt od ludzi cywilizowanych i uczonych... Czyż wszyscy mieliby być tacy?

Mimo takiego zmartwienia i tylu przejść, ciekawość kobieca nie dawała mi spoczynku. Nie mogłam zapomnieć słów tego obrzydliwca, które wyrzekł do służącej, że ma pannę z posagiem dwunastu tysięcy, która gotową jest pójść za niego. — Coś mi szeptało, że to musi być Zosia. Jakoż nie omyliłam się w domysłach, bo raz przypadkiem spotkałam się z nią w sklepie i chciałam udać, że jej nie widzę, a ona zaczęła mię sama.

— Wie ciocia....

— Przepraszam, nie jestem żadną ciocią pani — i zaczęłam przeglądać towary rozkładane przez kupca.

Zaczerwieniła się, widocznie zrozumiała, że nie chcę z nią mieć więcej do czynienia, lecz pomimo to czekała dopóki nie wyjdę ze sklepu.

— O co się pani na mnie gniewa? — mówi do mnie na ulicy.

— Wcale się nie gniewam, tylko widzi pani, czasu nie mam, a do kuzynostwa przyznawać się nie chcę.

— Ja wiem — a przynajmniej domyślałam się — pani sądzi, że ja brałam jakiś udział w tej brzydkiej sprawie z Tymoteuszem. Proszę mi wierzyć, bo państwo się wszyscy mylicie. Od samego początku ten człowiek mi się nie podobał i starałam się dowiadywać co on za jeden, żal mi bowiem było Elżuni, iż się nim zajęła. Dowiedziałam się wielu brzydkich rzeczy i o nim i o jego rodzinie, ale zmiarkowawszy, że moje napomykania o tem, Zuni i cioci się nie podobają, — dałam pokój. Przyznaję, że chcąc go wybadać bliżej, cokolwiek się w niego zabawiłam, no, może to źle, ale to już moja taka natura kocia, lubię głaskać. żeby potem udrapnąć.

— Na co mi te wszystkie wiadomości — przerywam jej z niechęcią. — Chcemy zapomnieć wszyscy o tym niegodziwcu i radabym nie wiedzieć i nie słyszeć więcej o nim.

— Ale on pamięta i plotki roznosi o was po całym mieście.... Jeszcze chwilkę cierpliwości, a powiem jak się spisał po waszem zerwaniu. Na drugi dzień zaraz na-

pisał do mnie list pełen niestworzonych czułości i z formalnemi oświadczeniami. I wie ciocia co zrobiłam? Odesłałam napowrót jego bazgranię z dopiskiem, „że gdybym kiedy miała sobie męża kupować, to poszukam lepszego.... Wie ciocia.... pani, że jego rozprawy historyczne, doktoryzacya, habilitacya — to czysta blaga.... Ani myślał coś pisać, bo nie potrafi. — Dwa razy spadał z egzaminu, aż odprawili go z suplenty. Hulaka, złego życia, wieczory przepędza w knajpach i Bóg strzegł, że tak się stało z wami.... Niech ciocia niema żalu do mnie, ja chciałam ratować Zunię, którą serdecznie kocham i was kocham....

Coż miałam robić, podałam jej rękę i nastąpiła między nami zgoda. Bóg wie czy to prawda, że ona nas kocha, ale zawsze jest lepszą niż sądziłam.... przynajmniej ma jakiś charakter, nie tak jak Emilka, która ani się pokaże.

*

*

*

Na letniem mieszkaniu skończyłam moje opowiadanie. Dzięki Bogu Elżunia przyszła już do siebie, a nawet gdy jechaliśmy koleją, rozmawiała żywo z pewnym

panem, który nas swoją tajemniczością i dowcipem zaintrygował, a przy pożegnaniu zapewnił, że nas jeszcze odszuka i znajomości się przypomni. Do widzenia zatem z czytelnikami, bo sędzę, że będę miała jeszcze dosyć do opowiadania, ma się rozumieć jeżeli ich nie znudzę.

K O N I E C.

ŻYWY ZASTAW

OBRAZEK.

Kantor pana Kroteczka, znanego przemysłowca, mieści się w dużym, piętrowym domu, stojącym tuż obok fabryki. Na piętrze mieszka sam pryncypał, a na dole znajduje się z jednej strony magazyn, z drugiej ów kantor, do którego wprowadzam czytelnika.

Duży o dwóch oknach pokój rozdzielono przepierzeniem wzdłuż na dwie części. Jedna mniejsza, w kształcie korytarza, oświetlona matowemi szybami w przepierzeniu umieszczonemi, przeznaczona jest dla interesantów, drugą przedzielono jeszcze raz w poprzek na dwa pokoiki, a raczej klatki, w którym mieści się kasa ze starym kasjerem, małym, pękatym człowieczkiem, w drugiej zaś kontrolor a zarazem buchhalter i korespondent w jednej miłutkiej osobie panny Emilji.

Nie tylko miłą, ale i śliczną jest panna Emilja, brunetka, z szafirowemi dużemi oczyma, białą matową cerą i wdzięcznemi

dołkami po obu stronach rozkosznie purpurowych ustek. Szczególniej gdy stanie w okienku swego kantoru, a dwa rodzaje światła, jeden refleksowy w przedpokoju, a drugi z okna jej klatki obleją wdzięczną jej postać, wydaje się w otoczeniu ciemnych ram efektownym rebrantowskim portretem. W rzeczy samej jednak, rysy jej twarzy nie mają tej klasyczności w układzie, za którą ubiegają się rzeźbiarze, lecz całość, mimo nieco za dużej głowy i zadartego noska, przedstawia hożą, pełną życia mieszczańską panienkę, trochę zakłopotaną, co właśnie dodaje jej szczególniejszego wdzięku.

Kto ją w tej budce kontrolera zobaczy, dziwi się, skąd ona się tutaj wzięła, pan pryncypał bowiem znany jest w całym mieście z surowego i często opryskliwego obejścia nie tylko ze służbą swoją, ale i z publicznością. Zdaje się zatem, że przypędziła ją tu konieczność, która przy dzisiejszej walce o byt tworzy niebywałe sytuacje.

Przed miesiącem sam pryncypał przyprowadził pannę Emilję do jej klatki i przez małe okienko, komunikujące się z kasą, przedstawił panu Doleżałowi, kasyerowi.

— Ma pani tu książki rachunkowe, książkę kopij, kluczyk od szufladki biurka,

proszę się rozpatrzyć, manipulacya u nas prosta, a w razie wątpliwości, proszę się poinformować u pana Doleżala lub u mnie.

Skłonił się lekko, nie spojrzawszy nawet na nowego urzędnika i wyszedł do swego gabinetu.

Po jego wyjściu kasyer, zamiast czekać zapowiadanego zgłoszenia się panny, sam zaczął się informować co do osoby nowego kolegi. Jest to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, jak się sam wyraził, człowiek całkiem pojedynczy, to jest nieżonaty i przystępny, a zatem do wzięcia. Oświadczenie to wywołało na twarzy panny Emili nieznaczny uśmiech, albowiem pocieszna figurka i fizyonomia małego, pękatego człowieczka, łysego, z czerwoną, śmiejącą się twarzą i małemi ostro przyszyżonymi wąsikami, nie wydała jej się pożądanym kandydatem do wzięcia.

Niezrażając się lakonicznemi odpowiedziami panny co do jej nazwiska, wieku i stosunków familijnych, pan Doleżał z całą koleżeńską swobodą, wydobywszy z szufladki swego biurka kilka jabłek, jedno z nich ofiarował pannie Emilii.

— Dziękuję panu, ale tak wczesnie z rana nie jadam.

— A, moja kochana pani, jabłka można jeść w każdym czasie, a najlepiej naczczo lub wieczorem, kładąc się spać, bo dotąd tylko jedno jabłko trzymają mnie przy życiu — mówił, obierając scyzorykiem dorodną szetynę i pilnując, aby łupina od początku do końca stanowiła jeden śrubowany pasek. — W chorobach naszych, wynikających z siedzenia, których i pani wkrótce się nabawi.... nie śmiej się pani, nie, będzie to niedługo, zobaczy pani, — to tylko jabłko regulują, jakby to rzec, funkcyę gospodarskie w człowieku, jak nieprzymierzając pani.... No, weź pani, proszę sobie schować na później, przed obiadem, a jutro mi pani podziękuje.

Dziewczyna rumieniła się co chwila, słuchając dość wyraźnego wykładu o przymiotach jabłka, ale on nie widział tego i z całym zaufaniem rozповідаł dalej o symptomatach swej choroby i doświadczeniach, jakie poczynił, aplikując sobie różne lekarstwa.

— Namawiają mnie lekarze, żebym sobie dał zrobić operacyę, ale ja przecie nie głupi. Wie pani, co się robi po takiej operacyi?

— Nie wiem — odpowiada, nachylając rumianną twarz nad książkami.

— Ani mniej, ani więcej — tylko bzik i rozmiękczenie mózgu. Dziękuję uniżenie za takie widoki. Mój znajomy Stolarski z finansowej dyrekcyi po szczęśliwie przebytej operacyi, a u tych rzezaków każda operacya jest szczęśliwa, w pół roku poszedł do zakładu waryatów, a w dwa miesiące był już *fertig*. Ulżyło mu gdzie trzeba, ale rzuciła się krew na mózg.... Albo ten drugi sekretarz z Banku, pewnie go panna znała, ten elegant Owsikiewicz. Przystojny, młody chłop, faworyt kobiet, bo to buzia u niego jak kołowrotek, a łgarz.... Zabawna rzecz jak on mnie raz złapał na krokodyla.

Panna Emilia zwróciła na niego wzrok przestraszony, jakby go miała już za człowieka po operacyi.

— Jak Boga kocham, na krokodyla.... niech pani się nie śmieje, ja tu zaraz opowiem, jak było. Jadaliśmy zawsze kolację w jednej restauracyi i zawsze coś opowiadał o swoich podróżach. Wszędzie był. Niech kto wspomni o Jutlandii na żart, mój Owsikiewicz już jakby koleją, jedzie do Jutlandii, poluje na foki, łowi wieloryby, kąpie się w gorących źródłach. Przejdziemy do Afryki — on i tam był, na piramidach nocował z kedywem, bawił u króla Dahomeju jako

ajent turecki, a z nudów łapał na wędkę krokodyla w Nilu.

Tego mi było za dużo i powiadam, panie, że to chyba kpiny.

— Dla pana kpiny — mówi obrażony, a ja łapałem i złapałem jednego, którego dotąd mam.

— Żywego, czy skórę?

— Żywego?

— Gdzie?

— W mojem mieszkaniu przy ulicy Zygmuntowskiej pod liczbą 13. Jeżeli łaska, proszę przyjść i przekonać się....

— Panie, kiedy on żyje zazwyczaj w wodzie.

— I mój żyje w wodzie, w kuchni, w balii, a jak mu zimno, kładę go między koce na sofie....

Powiadam pani, zgłupiałem do tego stopnia, że w pierwszą niedzielę poszedł do niego, aby zobaczyć w balii owego krokodyla. Dzwonię, otwiera mi sam nadzwyczaj grzecznie. Gadamy o tem i owem, nareszcie zaczepiam o krokodyla.

— W ten moment — powiada z całą swobodą i wybiega do kuchni.

— Przepraszam pana — mówi, wracając zaambarasowany — przed chwilą do-

piero mój służący poszedł z nim na spacer do pełczyńskiego stawu, ale jeżeli pan będzie łaskaw poczekać ze dwie godziny, to oni już wrócą.

Ma się rozumieć, nie czekałem, bo to tylko był wybieg łgarza, z którego potem śmiali się znajomi, że poszedł oglądać u Owsikiewicza krokodyla.... Ale co pani powiem, że ten sam figlarz, po znanej operacyi w dwa miesiące *fertig*.... słyszę, padł nagle przy stole, jedząc obiad — krew uderzyła na mózg i masz operację.... Za pozwoleniem, może pani otworzy u siebie trochę okno.... bo u mnie, jak otworzę, są przeciągi.

Tymczasem zaczęli się schodzić do kantoru interesanci i pierwsza rozmowa koleżeńska została przerwana.

Pannie Emilii nie była obcą czynność kantorowa, więc w parę dni pełniła obowiązki swoje zupełnie prawidłowo. Najgorsza sprawa jednak była z korespondencją. Na oddawanych jej od pryncypała listach była notatka ołówkiem nadzwyczaj lakoniczna: „dać“, „odmówić“, „przyjąć“ i t. p., a ona nie mogła rozpisać się podług form w korespondencyi handlowej przyjętych, brakowało jej słów i wyrażeń, z powodu czego listy jej były niejasne i dziwnie lakoniczne. Do tego jeszcze

prawie na każdym zrobiła kleksa z atramentu, którego mimo zlizywania i skrobania natychmiast dostrzegał pan pryncypał.

— Dziwna rzecz — powiedział jej raz, gdy mu przyniosła korespondencyę — że panie wszystkie lubią nadzwyczaj wiele mówić, a w pisaniu żałujecie atramentu i papieru. Ja sam jestem za krótkiem i treściwem pisaniem, ale pani listy są zanadto....

Mazał więc, poprawiał i trzeba było drugi raz przepisywać.

Słówko o panu Kroteczku. Jestto mężczyzna w średnich latach, wysoki, bardzo przystojny i nadzwyczaj dystygowany. Wychował się w Anglii, więc ruchy jego były trochę sztywne i poważne, ale za to spojrzenie siwych oczu stalowego koloru pannę Emilię przejmowało szczególniejszem uczuciem strachu, coś w rodzaju tego, jakby się ezuła pod ich magnetycznym wpływem. Dlatego do największych przykrości jej należał obowiązek udawania się do jego gabinetu dla oddawania korespondencji lub zasięgnięcia informacji. A i sam ten gabinet urządzony wytwornie, z szczególniejszym zapachem, odurzającym jej nerwy, wpływał na to, że kompletnie traciła przytomność i za-

pominała połowy spraw, z którymi tu przychodziła po informacje.

— Proszę, niech pani siada — mówił pryncypał, widząc jej zatrwożenie — niech pani się nie spieszy, bo w tego rodzaju naszych sprawach potrzeba spokoju i rozwagi.

Siadała tedy obok biurka, opierając nóżki na miękkim kobiercu i cała drżała, czując, że fale gorąca i chłodu biją jej na twarz jedna za drugą. A kiedy jeszcze dla zrobienia pewnej poprawki w liście kazał jej pan Kroteczek usiąść na swoim miejscu przy biurku, sam nachyliwszy się nad nią, zdawało jej się, że oddech jego, który czuje na szyi i włosach, pali ją ogniem. Cała drżąca, zdenerwowana jego stalowem spojrzeniem, wychodziła zawsze z tego światłem tajemniczem napełnionego pokoju i oddychała dopiero całą piersią przy swoim biurku w kantorze.

Właściciel fabryki od roku był wdowcem, nosił jeszcze białe sznurki przy klapach ubrania i miał jedną szesnastoletnią córkę, zostającą pod opieką poważnej bardzo damy, niemki. Raz tylko czy dwa rozmawiała panna Emilia z córką Kroteczka, gdy posłał ją z kluczykami na górę, dla wyjęcia z szafki mieszkania jakichś potrzebnych papierów.

Panienka ta nie była brzydką, lecz nadzwyczaj bladą, w mowie i ruchach apatyczną, a przytem rozpieszczoną. Buchalterce ojca przypatrywała się w szczególniejszy sposób, z pewnem lekceważeniem, rozmawiając przytem z obecną starszą damą po angielsku. Nie wiele to obeszło pannę Emilję, albowiem nie miała pretensyi do narzucania się z usługomością córce pryncypała i znała swoje skromne stanowisko w tym domu.

Upłynęło już trzy miesiące pobytu jej w kantorze i pomimo najusilniejszych starań, nie mogła przełamać flegmatyczno-chłodnego postępowania pana Kroteczka i zdobyć choćby jednego słówka uznania. Zawsze ten sam, ze stalowem spojrzeniem, wytykający najmniejsze uchybienia, jakie dostrzegał w jej pracy. Surowość ta i chłód zaczęły drażnić panienkę, wiadomo bowiem, że kobiety wszystko zniosą, prócz obojętności, a bez pochlebstwa żyć nie mogą. Starła się tedy robić wszystko, aby te lody przełamać i pozwalała sobie pewnych niewinnych przymilań, połączonych z wdzięcznym uśmieszkiem, które tak lubią mężczyźni.

Czy skutkiem tego, czy też dla lepszej kontroli prowadzonych rachunkowych, pan Kroteczek teraz częściej do pokoiku panny

Emilji zaglądał i czasami odważył się poczęstować ją kupieckim dowcipem.

— Ej, panno Emiljo — mówił kasyer — niech pani się strzeże, bo nasz stary coś ma przeciw niej. Ja go znam od dawnych lat; on szuka czegoś, żeby się przyczepić i panny się pozbyć.

— Nie może być — rzekła na to przerażona dziewczyna, dla której posada przynosząca trzydzieści guldenów miesięcznie, była bardzo potrzebną. — Cóż ja mu zawińkam, zdaje mi się, robię swoje z całą pilnością.

— Cóż to pani nie znasz intryg kobiecych? Coś słyszałem, że panna Olimpia, córka pryncypała, robi mu często docinki, że załadną buchalterkę trzyma w kantorze, a pani wie, że spuszczenie kropli wody na kamień z czasem swoje zrobi.

Zasmucona tedy poszła do domu, a tam czekało ją jeszcze większe zmartwienie. Mieszkała razem z matką, wdową po nauczycielu miejskim, utrzymującą się z szycia rękawiczek. Energiczna ta kobieta po śmierci męża, dotkniętego obłąkaniem umysłowem, cudem prawie wychowała dwoje dzieci. Emilka jej się udała, była to dziewczyna dobra, cicha i posłuszna, lecz młodszy od niej chłopiec

wielki niecenota. W szkole uczyć się nie chciał, oddała go więc do handlu na praktykę, lecz i ztąd wydalono go po miesiącu za hardość i próżniactwo. Oddawała go potem do różnych terminów, do introligatora, ogrodnika, ślusarza, lecz zewsząd albo sam uciekał, albo go po paru tygodniach odprawiano.

I martwiła się, gniewała, karała, nawet wypędzała z domu, lecz wszystko to na nic się nie zdało. Gdy matka zamknęła mu swoje drzwi, tułał się po ulicach, sypiał gdzie w żydowskich szynkach, wysługiwał się za łyżkę strawy byle komu, a gdy już obdarł się i z głodu wynędzniał, wracał do tego domu, gdzie matka mieszkała i umieszczał się na noc gdzieś pod schodami. Naturalnie stróż donosił o tem matce, a ta, jako zawsze matka, cóż miała robić — przyjmowała marnotrawnego syna, dawała jeść, oporządzała w co było można, szukając znów nowego zajęcia.

Chłopak nie miał żadnych złych skłonności; cudzego nie ruszył; jak chciał, potrafił być usłużnym, zręcznym i umiejącym zjednywać sympatyę, tylko nie mógł długo zajmować się jedną robotą i być zależnym. Uroiło mu się, że powinien być artystą malarzem, do czego miał upodobanie i zdradzał pewien talent, rysując dość udatne wizerunki

znajomych, ale na promowanie go w tym kierunku ani matka nie miała funduszków, ani on przygotowanej nauki. Obecnie liczył szesnaście lat wieku i skończył trzecią klasę szkoły ludowej.

Nareszcie przed trzema miesiącami zdecydował się pójść na naukę do drukarni, gdzie go umieścił dawny przyjaciel ojca, starszy zecer. I zdawało się, że przecie trafił na swój fach. bo jakoś przez parę miesięcy chodził regularnie i nie narzekał. Matka i siostra dziękowały Panu Bogu za taką poprawę, zachęcając do wytrwałości.

Aż tu tego samego dnia wieczorem przychodzi ów przyjaciel, zecer, z fatalną wiadomością, że Jaś, posłany po odbiór pieniędzy do pewnego zakładu przez rządce drukarni, dotąd nie powrócił.

— To nic, że nie powrócił — mówi — niech go kaci wezmą, kiedy mnie tak skompromitował; ale pieniądze odebrał, sześćdziesiąt dwa reńskie, bośmy się już dowiedzieli. Rządca chciał zaraz dać znać do policyi, ale ja uprosiłem do jutra i myślę sobie, pójdę do pani, może tu jest, albo co. Policya go znajdzie, wsadzą do więzienia i na wieczne czasy wstyd i hańba dla uczciwego nazwiska.

Nowina ta jak ciężki młot spadła na biedne kobiety. Był nieponiem, to prawda, ale dotąd nie złodziej! Okropność.... Jaś złodziej, Jaś w kryminale!...

Całą noc biedaczki nie zmrużyły oka myśląc o tem nieszczęściu i nadśluchując co chwila, czy czasem nie wróci. Ile razy kto zadzwonił w bramie, zrywała się matka, zapalała świecę, wychodziła do sieni i czekała Jaś nie przyszedł.

U ludzi biednych, nawykłych do losowych biczowań, zmartwienie przechodzi na pozór spokojnie, lecz wewnątrz wre walka najsprzeczniejszych uczuć. W tej chwili zdawało się matce, że zabiłaby go na miejscu, gdyby go spotkała; co znowu wspomniawszy na męża, który namiętnie kochał tego chłopaka, na to ile to ona wycierpiała, czuwając nad jego chorobą w dzieciństwie, uczuła straszny ból, że tak się zmarnował, że kryje się tam gdzieś w zaułkach miejskich, z najgorszymi istotami upadłymi, że będzie jęczał w kajdanach, a jej serce pęknąć musi, że jedyny syn jej zbrodniarzem!

Poranek nie przyniósł żadnej zmiany, jednakże poszła matka do drukarni z prośbą, żeby nie dawano znać do policji, bo ona całą szkodę do jutra zapłaci. Lecz zkąd wziąć

na to? — nie pomyślała ... Zapłaci, żeby miała potem przejść na zebranie, żeby miała umrzeć z głodu na ulicy.

Z nową propozycją wystąpiła Emilka.

— Wie mama, ja poproszę pana Kroteczka, aby mi dał dwumiesięczną płacę naprzód.... może da.... Niech mama jeszcze wstrzyma się ze sprzedażą gratów i ubrania.... zobaczmy.

I z tą myślą wybrała się, idąc o zwykłej godzinie do kantoru, a w drodze dopiero przypomniała sobie o tem, co wczoraj mówił jej kasyer, że grozi jej coś niedobrego ze strony pryncypała.

— Co pani jest? — zawołał kolega — oddając jej jak zwykle dzień dobry przez okienko, skoro zobaczył twarz jej niezwykle zmienioną.

— Nie mi nie jest.... głowa trochę boli — odrzekła, siadając do pracy....

— Ha, nie mówiłem, że z siedzącego życia dostaniesz pani jak my wszyscy, uderzenia.... Śmieję się pani, śmieję, a to jest toż samo, co u mnie. Radziłem, jedz panna przynajmniej po dwa jabłka dziennie, ale to do was młodych gadać jak do muru....

— Ależ to ból nerwowy....

— No nerwowo, ale z żołądka.... Pani, żołądek to gospodarz.... pamiętam jak byłem młodszy, to krew waliła mi do skroni i huczało i szumiało, a w nocy, zdawało się, jadę kolejną.... wszystko to było z żołądka....

Gadanina ta zaczęła niecierpliwieć Emilkę i odrzekła:

— Przytem miałam zmartwienie w domu....

— Zmartwienie, no proszę.... to co innego.... O i zmartwienie człowieka gnębi, ale i ja na to mam lekarstwo.

— Ciekawam jakie?

— Wstaję do dnia, pani dobrodziejko, biorę flet z sobą, idę do lasu i gram. Cisza, samotność, dźwięki fletu po rosie, to wszystko panie dobrodzieju tak mię uspakaja, że zapominam o zmartwieniu i wypijam kawę z apetytem. A potem, jak przykre myśli chcą wracać i dręczyć, przypominam sobie jakąś zwrotkę z symfonji, gwizdżę.... i nie ma zmartwienia....

Uśmiechnęła się smutnie Emilka i rzekła od niechcenia:

— Cóż, kiedy ja nie umiem grać na flecie....

— To nie tak trudno, ja się podejmuję pannę Emilję wyuczyć w parę miesięcy tak,

że będziemy mogli grywać duety. Ach pani, te duety co to za rozkosz.... Dalibóg niech pani się zdecyduje, właśnie mam taki hebanowy flecik, jak raz do ust pani....

I rozgadał się jowialny kasyer dość szeroko o zasadach gry na flecie, a oczy mu się śmiały i wzrastał zapał, jak u prawdziwego artysty, do tego czecha z pochodzenia.

Szczęściem dla panny, że zaczęli się schodzić interesanci do kasy i pan Doleżał przerwać musiał swoje wykłady.

Machinalnie pisała Emilka asygnacye do kasy, a w wolnych chwilach komponowała odpowiedzi na listy podług informacyi pryneypała, zanotowanej ołówkiem. Szarpana wewnętrznym niepokojem: da, czy nie da — drżała na samą myśl, jak odważy się pójść do niego i prośbę swoją wypowiedzieć. Szanowała bardzo pana Kroteczka, bo był to człowiek porządny i sumienny, a mimo to bała go się niezmiernie. A jak odmówi, i matka będzie musiała za bezcen pozbyć się najpotrzebniejszych rzeczy — na myśl tę drętwiała i zimny pot występował jej na czoło.

Jak na złość do godziny 11-ej nie pokazał się Kroteczek, w jej pokoiku, zatem wykończywszy listy, przeżegnała się, we-

stchnęła i na pół przytomna udała się do jego gabinetu. Zawsze ten sam, zimny i spokojny jak marmur, przeczytał korespondencję, podpisał, a choć spojrzawszy bystro na nią, dostrzegł na twarzy pewną zmianę i oczy obrzękłe od płaczu, chciał coś przemówić, to wstrzymał się i skinął głową na znak pożegnania. Panna jednak jakby skamieniała, trzymając papiery w ręku, które jej drżały, wydając głuchy szelest, nie ruszyła się z miejsca.

— Czy pani ma jeszcze co mi powiedzieć — zapytał; odejmując pióro od papieru, na którym pisał.

— Tak jest — wyjąkała....

— Proszę....

— W osobistej sprawie, bardzo dla mnie ważnej....

— Niech pani siada — rzekł zrywając się i podając jej krzesło — słucham....

— W rodzinie mojej zaszło.... nieszczęście — mówiła, krztusząc się i rękę do ust przykładając i tu z całą otwartością powiedziała mu o wypadku z bratem. — Potrzebujemy tedy z matką koniecznie i to dziś sześćdziesięciu złotych reńskich, aby uniknąć tyle krzywdzącego imię nasze skandalu. Ośmielam się tedy prosić pana dobrodzieja,

czy nie raczyłby mi zaliczyć tej kwoty na rachunek mej płacy....

Kroteczek spojrzał na nią bystro i zdawało się, dziwnego rodzaju uśmiech zaigrał mu na twarzy, lecz mimo to milezał.

— Jeżeli łaska pana, prosiłabym o potrącenie tej zaliczki z połowy mej płacy przez cztery miesiące.

— On znowu spojrzał na nią i widział, że drżała, jak leśne ptasze, złapane na sidła....

— A któż ten dług poręczy za panią?

— Kto? — powtórzyła cichym głosem — doprawdy nie wiem. Nie mamy nikogo ze znajomych.... Zresztą, proszę pana, moja płaca....

— A jakąż ja mogę mieć pewność, że ta płaca przez cztery miesiące, jak pani żąda, będzie się pani należała. Pani po miesiącu możesz kantor porzucić....

— Zaręczam, że nie — przerwała mu żywo.

— Możesz pani się rozchorować....

Emilka milezała, przyznając słusność.

— A mogę też i ja nie potrzebować pani usług....

Łzy jej stanęły w oczach na taką mowę, przypomniała sobie bowiem wczorajsze ostrzeżenia kasyera, i ogarnął ją żal, że niepo-

trzebnie odważyła się kołatać do serca tego lodowatego przemysłowca....

— Więc, łaskawa panno Emilio — wyrzekł, biorąc pióro do ręki i maczając je w kałamarzu — mogę udzielić żadaną pożyczkę, jeżeli będzie rękojnią odpowiedzialnej osoby.

Wstała z krzesła, oburzona nieco brakiem uczynności swego pryncypała i skłoniwszy się lekko, poszła ku drzwiom gabinetu.

— Panno Emilio! — zawołał za nią.

— Słucham pana.

— Jeżeli pani nie znajdzie poręczyciela, to i tak gotów będę służyć jej żadaną zaliczką pod warunkiem.... że pani.... jakby to powiedzieć.... odda mi się w zastaw, to jest zamieszka w moim domu.

— Jakto ma być.... nie rozumiem — odrzekła trochę zirytowana i zdziwiona.

— Dam pani mieszkanie na górze.... i przynajmniej będę miał tę pewność, że pani nie opuści mego kantoru....

— Wszakże ja nie mam zamiaru....

— Nie można za siebie ręczyć.... zechce pani na przykład wyjść za mąż....

— Próżna obawa, nie myślę o tem. Daruje pan, ale propozycję tę uważam za

żart z jego strony.... Jak żyję, nie słyszałam o czemś podobnem.

— Otrzyma pani całe utrzymanie, i wszelkie wygody, bo ja, uważa pani, muszę mieć rękojmię.

Emilka nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Stała przy drzwiach, trzymając ręką za klamkę w obawie, że panu Kroteczkowi coś zamęciło się w głowie.

— Ależ ja mieszkam razem z matką....

— Wiem, jednak z matką rozłączyć się można.... Proszę, niech pani się namysli, z matką naradzi, ja słowa mego nie zmienię, po południu czekam odpowiedzi.

Wybiegła jak z łaźni, a uczucie gniewu, oburzenia i zawiedzionej nadziei nadały jej łagodnym rysom pewien ostry wyraz, który spostrzegł kolega kasyer:

— A co? pewnie pani miała przeprawę ze starym....

— Tak — odrzekła krótko, kopiując w księdze przyniesione listy i niecierpliwie wkładając je do kopert....

— Dobry człowiek, ale oryginał — gawędził dalej kasyer, stojąc w okienku. Bywało tak, bywało już nie raz, ale ja myślałem, że to z powodu choroby nieboszczki

pani, która jego i siebie męczyła przez lat sześć. Dawniej był on inny....

Zbliżała się godzina 12-ta. Panna Emilia z rozdrażnieniem, którego już nie mogła pohamować, składała książki, zamykała szufladki biurka i chwyciwszy kapelusz z wieszadła, bez pożegnania z Doleżalem wybiegła na ulicę.

Co w duszy jej działo się, nim przebiegła kilometr drogi, dzielącej od kantoru mieszkanie matki, trudno tu wypowiedzieć. Wstydziła się płakać na ulicy, a mimo to same łzy kapały jej z oczu, więc zakrywając twarz woalką, już nie szła, ale pędziła, aby tylko nie wybuchnąć głośnem łkaniem.

Gdy wpadła do pokoiku matki, rzuciła się na sofę i oczy zakrywszy rękami, rozpuściła wodze ciężkiemu żalowi i długo, bardzo długo nie można było słowa z niej wydobyć. Nareszcie opowiedziała wszystko.

— Jacy to ludzie dzisiaj na świecie — zawołała tuląc swą głowę do piersi matki. Cóż to znaczy pożyczyć 60 złr. dla takiego bogacza, a tu tyle wymagań.

— To człowiek nikczemny! — krzyknęła zrywając się matka. — Biedne dziecko, ty nawet nie rozumiesz, co on ci śmiał proponować!... Nikczemny!... Mój Boże drogi,

czyż ciebie nie ma już na niebie, że takie potwory bezczelne żyć mogą i naigrawać się z niedoli biednych ludzi.... I on śmiał proponować ci, abys poradziła się mnie, matki swego dziecięcia.... ależ to więcej niż podłość.... myśleć, że matka zdolną jest w nędzy sprzedać swoje dziecko.... Wiesz, ja pójdę do niego, napluję mu w twarz i powiem.... nie, jabym nie nie mogła mu powiedzieć, chyba utopić nóż w piersi nikezemnika.... Mój Boże tyle naraz nieszczęścia, tyle hańby.... nie warto żyć, wierz mi Emilciu, nie warto....

Wysilona rozpaczą już nie mogła mówić, tylko załamawszy ręce, chodziła po pokoju ze spuszczoną głową, jakby tam myśli rozsadzały czaszkę, albo myśli te były związkiem przyszłej zbrodni.

— Nie pójdziesz tam więcej! — rzekła, przybierając pozornie wyraz spokoju na twarzy.

— Mamo, a z czego żyć będziemy, trzydzieści reńskich....

— Nie pójdziesz! Siadaj, pisz do niego, że.... że nie pójdziesz i kluczyki włóż do koperty.... poproszę stróża, odniesie zaraz.

Posłuszna córka wypełniła rozkaz.

— Idę szukać handlarza, żeby kupić nasze graty. Sześćdziesiąt dwa reńskie muszą być dzisiaj. Tymczasem powyjmuj rzeczy z szafy i komody, oczyść moje zimowe okrycie, pozdejmuj kapy z łóżek, poduszki zostaw dwie.... serwety, bieliznę wyłóż na stół.... muszę mieć te pieniądze, dość jednej hańby.... niech Jasiowi Bóg tego nie pamięta.... widzieć go więcej w życiu nie będę, ale go uratuję....

Emilka chciała protestować, jednak, rozgorączkowana matka nie pozwoliła jej przyjść do słowa, mówiła wciąż sama i to prędko; kręciła się, szukając ubrania i wybiegła, zostawiając dziewczynę pod wrażeniem nieopisanej trwogi.

Po powrocie z miasta już obie kobiety porządkowały zapasy swego bogactwa, przeznaczonego na sprzedaż i obliczały kwotę, jaką za każdą rzecz otrzymać mogą. Na wszelki wypadek zarezerwowano jeszcze inne, jak łóżko żelazne, kanapę i stary po rodzicach zegar, gdyby handlarz za pierwsze zbyt niską cenę ofiarował.

Podziwiać tu należało ogromną siłę charakteru wdowy, która ze spokojem starego generała, umierającego na polu bitwy, dysponowała resztkami swej armii—fortuny.

Obie były głodne; przygotowany w kuchence osłoniętej firanką skromny ich posiłek zupełnie wystygł, a żadna nie pomyślała o jedzeniu.

Godzina czwarta po południu, zamówiony handlarz żyd nie przybywa, matka zaczyna się niepokoić, co chwila wybiega przed bramę, spoglądając daleko w ulicę, czy nie idzie. Strach ją przejmuje na samą myśl, że nie będzie mogła dotrzymać słowa zarządcy drukarni.

— Mamo! — zawołała nagle Emilka, spojrzawszy w okno — zdaje mi się, że pan Kroteczek do nas idzie....

Rzeczywiście wysoki, elegancko ubrany mężczyzna w cylindrowym kapeluszu, wysiadłszy z powozu przed bramą, wszedł na dziedziniec kamienicy i zdążał ku mieszkaniu wdowy, prowadzony przez stróża.

— Moja złota mamusiu — szepce córka, chwytając ją za rękę — niech mama będzie dla niego grzeczna.... moja mammo....

I mimo woli zaczęła prędko poprawiać sobie włosy i ubranie.

Nie odrzekła nic matka, tylko zmarszczyła brwi i zacięła usta, przybierając lodowato-sztywną powagę matrony. Była to kobieta już w wieku. z białemi nad czołem

włosami, z szeroką i regularną twarzą o rysach sympatycznych, z których część odziedziczyła córka.

— Czego on chce od nas — myślała — czyżby nie zrozumiał naszego zawiadomienia, lub czyli posiada tyle bezczelności, że sądzi....

Nie dokończyła tej myśli, gdy wszedł pryncypał, z całą pewnością człowieka obytego w świecie ukłonił się obu i zwracając się do wystraszonej Emilki wyrzekł powoli:

— Panno Emiljo, raczy mnie pani przedstawić szanownej matce.

— Pan Kroteczek, moja mamó! — wyrzekła, a że mama ledwo raczyła skinać mu głową, podała krzesło gościowi, prosząc, ażeby usiadł.

— Przed godziną odebrałem bilecik panny Emilji, którym zawiadamia, że od dziś dnia obowiązków swoich w kantorze moim pełnić nie będzie.

— Tak jest, napisała to z mego polecenia.

— Otóż przybyłem oświadczyć paniom, że na to zgodzić się nie mogę. Ustawa handlowa zastrzega, że tam, gdzie istnieje umowa miesięczna, wypowiedzenie dalszej pracy nastąpić powinno na dni 15 przed terminem. Przed udaniem się na drogę właściwą chcę

uprzedzić panie o skutkach tego postąpienia i o tem, że będę żądał wynagrodzenia straty.

Na twarzy wdowy malowało się niepowstrzymane niezem oburzenie, co widząc córka pomimo woli pociągnęła ją za suknię, aby powstrzymać wybuch. Ostrzeżenie to poskutkowało. Siłąc się na możliwy spokój, odpowiedziała matka:

— Panie, dziwię się, że po rannej rozmowie z córką, którą mi ona dosłownie powtórzyła, odważa się pan jeszcze tutaj niepokoić biedne kobiety....

Uśmiechnął się w dziwny sposób Kroteczek i z całym spokojem odparł:

— Rozmowa dotyczyła żądanej pożyczki i nie miała nic wspólnego ze służbą córki pani w kantorze. Jestem kupiec i przemysłowiec, mam swoje zasady przy interesach, ale też dbam o swoje prawa. Zresztą wolno pannie Emilji przyjąć lub odmówić.

— Proszę pana, nie zmuszaj mnie do objawienia tego, co ja sądzę o jego propozycjach, które w nieuczciwy sposób naruszają cześć moją i mojej córki. Jeżeli chodziło panu dobrodziejowi o rękojmię za dług, będący drobnostką dla tak bogatej osoby, to — mówiła dalej z wzrastającym oburzeniem — mogliśmy oddać mu w zastaw te oto graty

nasze, które tu pan widzi, i wszystko co mamy do ostatniej sukienki....

— Daruje pani, ale nie utrzymuję banku zastawniczego i w tym względzie mam zasady swoje.

— Piękne zasady, żądać żywego zastawu.... Dziwna rzecz, wszak nie żyjemy w Turcyi.

— Ja to sam wiem — potwierdził Kroteczek z całym spokojem, bawiąc się niejako rozdrażnieniem wdowy.

— Więc....

— Więc, proszę pani, nie widziałem i nie widzę w tem nic ubliżającego czci panny Emilji, jeżeli ofiarowałem jej mieszkanie i całe utrzymanie w moim domu. A zdaje mi się łaskawa pani, że ten dom jest czysty dotąd i zasługuje na szacunek każdego. Co pani ma przeciw temu do zarzucenia?

Spokój, powaga i całe powyższe rozumowanie Kroteczka zaimponowały wdowie tak, że na razie nie mogła się zdobyć na żadną odpowiedź. Czując się chwilowo upokorzona adwokackimi wykrętami, nie mogła mu darować tego, że ośmielił się w tak zuchwały sposób nachodzić je tutaj.

— Panie! — rzekła cierpko, powstawszy z krzesła — dajmy pokój wszelkim dyskusjom; widzi pan nie jestem usposobioną w tej chwili do ich prowadzenia. Możesz pan się tłumaczyć jak chcesz, a ja rozumiem swoje i pytam pana, jako uczciwego człowieka, w jakim charakterze dziewczyna uboga, młoda i niebrzydka, może mieszkać i mieć utrzymanie u młodego jeszcze i bogatego wdowca?

Zapytany milczał, spuściwszy oczy, jak człowiek, którego przychwycą na gorącym uczynku nieszlachetnych zamiarów.

— W jakim? — powtórzył, uśmiechając się dziwnie i przenosząc stalowy wzrok swój od matki na córkę.

— No, no, w jakim?

— Ja sędzę, pani, że znając mię....

— A któż was tam wielkich panów znać może i wiedzieć, co wy myślicie....

— Przynajmniej panna Emilja znać mię była powinna — mówił wolno i dobitnie — że czyniąc jej podobną propozycję, mogłem myśleć tylko o charakterze jej w moim domu, jako.... żony.

Obie kobiety, nagle spojrzawszy na siebie, oniemiały ze zdziwienia. Na twarz Emilji wystąpił tylko silny rumieniec i oblał twarz

jej szkarłatem od szyi aż do niedbale rozrzuconych loczków nad czołem.

— Czy pan dobrodziej nie żartuje? — zapytuje już łagodniejszym głosem matka.

— Nie zwykłem nigdy z nikogo żartować, a tembardziej z tych, których szanuję. Proponując pannie Emilji pobyt w mym domu, miałem na myśli ten jedyny cel, na to daję słowo uczciwego człowieka.

— Dziwny wypadek i nieporozumienie — mówiła jakby do siebie wdowa — a proszę pana, dlaczegoż pan odrazu i wyraźnie tego Emilce nie powiedział?

Z imponującego przed chwilą spokojem, stał się Kroteczek pokornym i jakby oskarżonym.

— Dlaczego? Raz, że panna Emilja o to mię nie pytała....

— Jakżeż ona mogła przypuszczać....

— Powtóre, muszę się paniom przyznać, nie śmiałem, proszę mi wierzyć, ja Kroteczek, nie śmiałem. I gdyby nie ta konieczność, że popadłem w podejrzenie u pań co do niecných zamiarów, meżebyście długo jeszcze czekały na dzisiejsze oświadczenie. Zresztą — dodał już żartobliwie — jestem z powołania spekulantem i chciałem przy tej sposobności zrobić dobry interes, nabywając

tak drogą żonę za sześćdziesiąt reńskich. Teraz, proszę pań moich, gdy już cenę kupna wypłaciłem, bo oto jest kwit z drukarni, gdzie z polecenia mego zapłacono deficyt za syna pani, liczę na waszą wspaniałomyślność, że mi pozwolicie zabrać mój drogi towar....

Zmieniła się sytuacja z wielkiem a nowem zdziwieniem Emilki, która nie mogła pojąć, czy to mówi ten sam ponury i sztywny Kroteczek z kantoru, czy inny, jakiś nowy człowiek.

Nastąpiła chwila mileżącego rozejmu, a kby wszystkie tu przytomne osoby odbywały wewnętrzny rachunek sumienia i obliczały się z własnymi siłami. Ciszę tę przerwał dopiero nieprzyjemny szwargot żydowski za oknem. Trzech brodatych synów Izraela, w towarzystwie dwóch żydówek, zbliżało się do drzwi mieszkania wdowy, obradując zapewne nad możliwemi sposobami wyzyskania jej sytuacji.

— Przepraszam pana, ale muszę ich tymczasem odprawić — rzekła matka, wychodząc do sieni.

— No, jakże panno Emilio — odezwał się Kroteczek, biorąc jej rękę — czy pani dasz mi jaką nadzieję? Proszę mi nie przerwać, wiem jakie pani chcesz stawiać kwe-

stye... na nie odpowiadam. Mam lat czterdzieści cztery, jestem niemłody i trudno się we mnie zakochać, ale z drugiej strony czuję, że należy mi się jakaś nagroda od świata i ludzi, trochę szczęścia za to, co dotąd przeszedłem. Z pierwszą moją żoną, którą szczerze kochałem, nie wiele miałem chwil przyjemnych. Dziesięć lat życia przepędziłem przy jej łóżku w ciągłej obawie, że każda noc będzie ostatnią jej nocą.... Nareszcie wszystko się skończyło, została mi córka, na którą zlałem cały zapas uczuć swoich i żyłem jej życiem. Tymczasem i ją mi dziś zabierają; wczoraj odbyliśmy zaręczyny, a wkrótce pozostanę sam z moją fabryką, sam jeden bez przyjaznego spojrzenia kochającej osoby, bez słowa zachęty, bez ciepła rodzinnego w moim własnym domu, do których od lat tylu przywykłem. Od pierwszej chwili wstąpienia do mego kantoru podobałaś mi się pani; jej spojrzenie sprawiało mi niewysłwioną rozkosz wewnętrzną i powiedziałem sobie: ta, a nie inna zastąpi mi świat cały.... Znam życie pani prawie od kolebki, poinformowałem się o tem doskonale i wierzę, co piękna, a dobra dusza jej warta, od ciebie zatem zależy uszczęśliwić mnie i odrobinką życzliwości zapewnić dalszy spokój i zagojenie

ran dawnych. W ręce pani tedy oddaję moje przyszłe życie....

— Bo ja wiem, co panu odpowiedzieć.... Tak to wszystko nagle i dziwnie się stało, gdzież ja na żonę takiego pana....

— Jednakże radbym usłyszeć jedno słówko.... ten pan, za jakiego masz mnie pani, prosi o rękę jej, jak o łaskę.

— Jeżeli mama życzyć sobie będzie.

— To i pani się zgodzi?

— Zgodzę — wyszeptała ledwo dosłyszonym głosem, a ręka jej drżała w miękkich i delikatnych dłoniach Kroteczka, który pozwolił sobie podnieść ją do ust i ucałować z uczuciem.

— Proszę pana — odezwała się już śmielej — jestem kobietą, a zatem i ciekawą, racz mnie tedy objaśnić, dlaczego, mając do mnie sympatyę, jak pan mówi, ochodziłeś się ze mną tak Nielitościwie chłodno i z całą surowością. Pan nie wie, ile mnie to jego postępowanie kosztowało łez i zmartwienia. Wczoraj jeszcze byłam przekonana, że pan chce się mnie pozbyć z kantoru.

— Droga pani, ja sam nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Wszystko ciągnęło mnie do pani, a tu jakiś przezorny rozsądek odbierał nadzieję, że pani pokochać mnie mo-

żesz. Stawiałem tedy sam sobie zapory, aby zniechęcić panią ku mej osobie, i aby potem złożyć winę na kogobądź, byle nie na siebie. Niestety, należę bowiem do rzędu tych ludzi, którzy z całą świadomością rzeczy lubią się sami dręczyć. Przytem, kochana pani, wychowałem się w Anglii, gdzie ludzie inaczej pojmują swoje obowiązki, pani zaś była oficyalistką mojego kantoru, więc zdawało mi się, że powinienem być dla niej przełożonym.... było to dziwactwo, coś w rodzaju spleenu angielskiego, ale było.

— Czy i na przyszłość tak będzie? — zapytała z figlarnym uśmiechem panienka.

— Będzie — odpowiedział spokojnie — tylko ze zmianą naszych ról. Pani staniesz się moją przełożoną, a ja jej najwierniejszym sługą, z równie surowem pojęciem o swoich obowiązkach. Nie wierzy pani, proszę spytać się mej córki, Olimpii.

— Ach, dobrze, że mi pan o niej przypomniał. Czy wie o zamysłach pana i czy je podziela, bo jakkolwiek zaszczyt to wielki należeć do rodziny pana, nie chciałabym i nie mogłabym wchodzić do niej przemocą.

— Bądź pani spokojna, córka moja kocha mnie bardzo, a kochając, zgadza się na wszystko, co szczęście przynieść mi może.

Jutro przywiozę ją tutaj, aby pani osobiście zapewnienia te powtórzyła....

— Może lepiej będzie, jeżeli ja sama wprzód to uczynię....

— Jeżeli pani to za właściwe uważa, to powóz mój stoi przed bramą; zawiozę panią, aby się z ust jej dowiedziała o prawdzie. Rozumiem dobrze delikatność pani, a zarazem chcę przekonać moją małą, że znalazłem osobę, która się na mojej wartości poznała. Wystaw sobie pani, że śmiała się, gdym liczył na pani życzliwość: „gdzieżby taka ładna i młoda panienka chciała iść za tatka“.

Na to weszła matka, odprowadzając natrętnych handlarzy, a zobaczywszy rozpogodzoną twarz obojga nie miała nic więcej do powiedzenia, jak tylko złożyć na ich głowach macierzyńskie swe błogosławieństwo.

— Dziwny z pana człowiek — rzekła, do łez rozrzewniona — ale niech Bogu dzięki będą za to, żeś umiał uczyć nasze ubóstwo i ocenić ten klejnot, jakim jest moja córka. Zawodu ci nie robi, za to ręczę, a z drugiej strony ufam jego charakterowi, że jej szczęście zapewnisz.... Ach, żeby tylko ten Jaś przestał mnie martwić.

— Bądź pani spokojna — rzecze na to Kroteczek, całując ją w rękę — ja biorę go pod moją opiekę i zapewniam, że wykie-ruję na porządnego człowieka. Pamiętam, że i ja, tak samo, naczytawszy się o przygodach Robinsona, z kolegą drapnąłem z domu z zamiarem udania się na pustynię, a widzi pani, mam dzisiaj imię uczciwego człowieka. Ka-załem Jasia poufnie śledzić, i za parę dni będziesz go pani miała tutaj, a potem zoba-czymy, co dalej z nim zrobić.

Para siwków w eleganckim powozie poniosła szczęśliwą parę ku fabryce, a gdy pan Doleżał zobaczył wysiadającą Emilkę, zatarł ręce z radości. Otóż mamy zbiega, pomyślał. Zdawało jej się, że tu u nas idą rzeczy po kobiecemu.... szast, prast, nie po-doba mi się, nie przyjdę więcej. A tu, moja panno, w porządnym domu firmy Kroteczki nie tak idzie.... złapali ptaszka i przystawili.... Dziwi mnie tylko zkąd taki honor, sam po nią jeździł....

I już się gotował do wypalenia młodej koleżance surowej reprimendy. ale jakoś nie mógł się jej doczekać w kantorze. Co to jest, gdzie on ją zaprowadził, pewno na górę, żeby jej dać stosowną admonicyę. Nawet

odeszła, nie pożegnawszy się z kolegą, gdzie ona się chowała?

Tymczasem pryncypał wprowadził Emilkę do salonu, a sam poszedł uwiadomić córkę. Pierwszy raz tu była i przepych w urzędzeniu, jaki zobaczyła, olśnił ją. Siedząc na brzeżku atłasem pokrytego krzesła, nie wiedziała, co z sobą zrobić i co ma mówić do panny Olimpii. Ale pieśczoćka ojca, wpadłszy z otwartemi ramionami do salonu, nie dopuściła jej do słowa, wyglądała teraz inaczej; widocznie pod wpływem szczęścia ustąpiła anemiczna bladość i całą jej postać opromieniła nowem życiem.

— Witam panią matkę! — zawołała wesoło, podając jej obie ręce. — Powinnam ja jechać do pani i podziękować za łaskę ojcu wyświadczoną, a tymczasem pani mnie zawstydzła.... Droga panno Emilio, kochaj mojego tatka i zastąp mnie w dokuczaniu. Ach ja ci, ojezulku, dokuczałam.... prawda? Wystaw sobie pani....

— Ja sędzę — przerwała Emilka, zdobywając się na odwagę — że to słowo pani jest między nami zbytćzne, i gdyby panna Olimpia zechciała nazywać mnie po imieniu, jak dobrą i serdeczną przyjaciółkę swoją, zrobiłaby mi wielką przyjemność.

— Wiesz, ja toż samo sobie myślałam, bo jakoś zamłoda jesteś na moją mamę.... No, uściskajmy się, jak dobre i serdeczne przyjaciółki....

Pan Kroteczek chodził tylko po pokoju i chrząkał i ręce zacierał, widząc, jak te drogie mu dwa serca tak ochoczo i szczerze do siebie przylgnęły. Boże, czyż zasłużyłam na tyle szczęścia....

Młode dziewczyny tymczasem wywnętrzały się ze swych uczuć i plany na przyszłość układały.

— Tatko — zaczęła go Olimpia — o jedną rzecz tylko chcę was prosić, ale to koniecznie, aby małżeństwo wasze zostało w wielkiej tajemnicy, dopóki mój ślub z Tadeuszem nie nastąpi. On mnie zapewnia, że jest tak bezinteresowny, tak nie dba o majątek, że wzięłby mnie w jednej sukience.... Ale ja, mój tatku, jemu niezupełnie wierzę; dzisiejsza młodzież jest bardzo interesowna. Więc skoro tak mówi, zrobimy mu niespodziankę. Na drugi dzień po ślubie zaproszę go na ślub tatki i zobaczymy jego naiwnozdziwioną minę, dopieroż to będzie moja uciecha!

— Zupełnie podzielam twoje zdanie, kochana Olimpio, i panu pryneypałowi memu

stawiam za warunek, że do samego dnia ślubu pełnić będę, jak dotąd, moje obowiązki buchalterki w kantorze.... Ciekawam tylko, czy pan będziesz mnie teraz gromił za kleksy....

— Będę — odrzekł spokojnie Kroteczek — a nawet poważę się za kleksy dawać klapsy....

— Zobaczymy....

— Tatko, pójdź, niech cię uściskam, za twój serdeczny humor. Wiesz, martwiłam się, co ty tu będziesz robił bezemnie, a teraz jestem spokojna, Emilka zastąpi mnie w połowie, bo zastrzegam sobie drugą połowę twego serca w całości.

Uściskały się i ucałowały panny i podług przyjętej umowy Emilka udała się do kantoru, aby załatwić bieżącą korespondencję. Doleżał, jako wierny sługa domu Kroteczków, przyjął ją wyniosłe i ledwie raczył skinać głową.

— Szanowny kolego — zagadnęła go wesoło Emilka — cóż pan się tak naczupurzył na mnie?

— A panna stała się zanadto wesoła.

— Wiesz pan, usłuchałam jego rady, zjadłam dwa jabłka naraz i ból głowy i zmartwienie jak sen zniknęły.... Pokażno pan,

dużo tam jest asygnacyj, trzeba zaciągnąć do książki.

— U nas, moja panno, nie się po partacku nie robi, i kto napisał asygnacyę, ten je i w księgi zaciągnął....

— Ach mój Boże, takieś pan grube nasmarował liczby — rzecze, odbierając przez okienko książki.

— Każdy robi, jak umie, a to zawsze wypada lepiej od tego, który nie pilnuje swych obowiązków....

— No, widzę, że pan będziesz musiał iść jutro z fujarką do lasu.

— Podaję do wiadomości pani, że tylko pasztuszkowie grają na fujarkach, a ja, pogardzony sługa panny, gram na flecie.

— Dlaczego pan masz być pogardzonym?

— Moja pani, jest taki zwyczaj w całym świecie handlowym, że jak kto opuszcza swój obowiązek, musi tak pisać do kolegów: „bywajcie zdrowi“, uważa to pani?

— Ależ ja nie myślałam opuszczać....

— Przecie czytałem jej pismo do pryncypała.

— Swoją drogą jestem, i zapewniam pana, nieprędko miejsce w tym domu opuszcze. Jednak przepraszam za moją niegrze-

czność i proszę, podaj mi pan rękę na zgodę, a jeżeli łaska, to i jedno jabłko, jestem bowiem głodna, jak wilk na wiosnę.

Mruczał jeszcze coś stary, ale wydobył sztetynę z szufladki i podając ją przez okienko, pozwolił Emilce uściskać swoją rękę.

— Tak pani, nie trzeba obrażać starszych ludzi, nie trzeba.

* * *

Przez całe dwa miesiące, nikt się ani domyślił o przyszłym małżeństwie pryncypała. Emilka jak zwykle chodziła do kantoru, tylko czasami zadługo siedziała w gabinecie pana szefa. Kiwał na to głową Doleżał i myślał, że z tego nic dobrego nie wyniknie dla obojga. Dopiero jak pękła ostatnia bomba i otrzymał ślicznie wylitografowane zaproszenie na ślub pana Kroteczka z panną Emilią, trzy razy przecierał okulary i czytał, czy to jest prawda i czy go wzrok nie myli.

— A niechże ją kaczki zdepczą, jaka sprytna! — zawołał, chwytając się za głowę. — Usidliła starego i wygrała wielki los ... No, no, a ja myślałem, że jakbym się był wziął na seryo do niej, to byłaby za mnie poszła. Szkoda, że człowiek do samej śmierci

jest głupi i sobie nie ufa.... Były chwile, widziałem to, że mi się poprostu narzucała, nie korzystałem i teraz będzie moją panią.

Po ślubie zaraz wyjechali państwo młodzi na wystawę do Paryża. Całe miasto nasze trzęsło się od plotek i zazdrości, komentując to niebywałe w dzisiejszych czasach zdarzenie, aby dorodny i bogaty i wykształcony przemysłowiec żenił się z ubogą swoją buchalterką. Mówią, że sam pan Doleżał coś przez cały tydzień chodził co rano z fletem do lasu i grał, aż wszystkie buki nauczyły się jego symfonii na pamięć.

Przeczytawszy całą tę historję, niejednen pomyśli sobie: fantazyja autorska. A jednakże zapewniam czytelniczki, że to jest fakt żywy, a zatem, że świat dzisiejszy nie jest tak jeszcze zmateryalizowanym, aby w ludziach zamarło już uczucie prawdziwej miłości, dla którego poświęca się wszystko.

K O N I E C.

PAN JAN

OBRAZEK Z LWOWSKIEGO BRUKU.

Z panem Janem znamy się już od lat dwunastu. Spotkaliśmy się pierwszy raz na męzkim wieczorku u pewnego właściciela niezłej piwniczki domowej, i jak zaczęliśmy próbować różnych preparatów szanownego gospodarza to z tej beczki, to z owej, wreszcie z omszałych butelek na rarytas chowanych, takeśmy się wszyscy porozczulali, iż kto tylko miał siłę zarzucić ręce na szyję drugiego — zarzucił i ścisnął i całował jako najlepszego przyjaciela. Ja o ile sobie mogę przypomnieć ową chwilę, próbowałem nawet afekta swoje w powyższy sposób wynurzyć czcigodnej i w lata już bogatej ciotce szanownego gospodarza. Nie udało mi się co prawda, za co dziękuję panu Bogu stokrotnie; nie dla tego, żebym jakiś afront imci pani Floryanowej miał przez to wyprawić, bo spodziewam się tego nie byłaby wzięła za afront, lecz dla tego, że całe życie miałbym wstręt ku sobie,

jak mogłem, jak miałem odwagę.... no i tak dalej.

Ja to do pana Jana nie czułem wstępu. Ściskaliśmy się też, całowali, przypatrywali sobie, podnosili wzajemnie po kilkanaście razy, w miarę czego ogarniała nas coraz to większa czułość i serdeczność. Przypominam sobie, żeśmy nawet tańczyli z sobą, ja za damę, on za mężczyznę, albowiem stary tokaj gospodarza te i tym podobne niedorzeczności przez nas wyrabiał i właśnie podczas onego tańca wyznaliśmy sobie miłość wzajemną, wierność do grobowej deski, skutkiem czego zaczęliśmy mówić do siebie *ty*, jakbyśmy wyszli z jednej szkolnej ławki.

Na drugi dzień, szął przeszedł, ale miłość została do dziś dnia i nieraz dobrze dała mi się we znaki, o czem właśnie mam chęć czytelnikom opowiedzieć.

Prawdę mówi stara maksyma, że wszystko dziwnie się jakoś plecie, na tym tu Bożym świecie, bo rzeczywiście z kochanym Jasiem, nie wiadomo dlaczego, za co i po co spręgliśmy się przy onym tokaju. Ani wiek, bo jestem starszy znacznie od niego; ani powołanie — bo ja prawnik, a on architekt; ani wspólność przekonań — bo on idealista a ja prozaik — jednakże nie mogliśmy się

później w żaden sposób odczepić. Coś między nami jest, co nas ciągnie wzajemnie, ale co, doprawdy wynaleźć nie umiem. Przejdzie parę dni, że nie widzę rumianej uśmiechniętej twarzy Jasia, nie słyszę jego absurdów politycznych, którymi z przyjemnością się zajmuje, więc ciągnę do jego kancelaryi dowiedzieć się, czy przypadkiem nie zachorował, lub nie wyjechał bez mej wiedzy. Wieczorem, nie umawiając się wprzód, jesteśmy o ósmej godzinie w pewnej restauracyi na kolację, siedzimy czasem półgodziny nie zamieniwszy słowa, a swoją drogą przyjemnie czas nam schodzi i tęsknimy za sobą, jeżeli przypadkie, który nie przyjdzie.

Kiedy w rok po zadokumentowaniu naazej przyjaźni, oświadczył mi Jaś, że się żeni, porwała mię pasya, czułem się formalnie obrażonym.

— Zwaryowałeś! — mówię dość szorstko — zkąd, co, jak ci to przyszło!

— Weź mię za puls i zobacz — bije normalnie; a zkąd to przyszło i jak, sam nie wiem, dość, że się oświadczyłem przed godziną.

— Komu?

— Znasz ją.... — rzecze z pewnem wahaniem — z panną....

— No wykrztuś się raz....

— Z panną Antoniną.

— Ta wysoka brunetka o spiczastym nosie, z tą ciętą panną Antoniną!..

— Przesadzasz, to bardzo przyzwoita i rozumna panienska....

— Śliczna mi panienska, ma ze dwadzieścia sześć.... już widzę, że cię złapali.

— Daję słowo honoru, że nie, ale tak jakoś podobała mi się od dawna. Rozumna, wykształcona, a że ja mam trzydzieście dwa i uważasz jeżeli kiedy się żenić to teraz, więc tak zdecydowałem się bez namysłu....

— Będiesz żałował; Antonina twoja to *hic mulier*, znam ja się na takich. Patrz mam czterdzieści blisko i myślisz, że mi źle bez żony?... Żal mi cię Jasiu, że głupstwo robisz, bardzo żal.

— Mam już patent na architekta, chciałbym zacząć na sobie pracować, więc i kapitalik Antosi trochę się przyda i stosunki.... zresztą takie jest przeznaczenie człowieka.... Co do Antosi znasz ją mało i ona rzeczywiście ma poważną minę, ale to z gruntu dobra i szlachetna kobieta. Żebyś ci wszystko opowiedział co ja wiem o niej, to byś się zdziwił....

— Mój kochany, ja się nieczemu nie dziwię u zakochanych, a sędzę musiałeś się zadurzyć, człowiekowi zaczadzonemu wszystko się mieni w oczach i przedstawia w tęczowem świetle, ale niechno czad z głowy ustąpi i oczy się otworzą — zobaczy swoje głupstwo. No, bądź zdrów i delektuj się tęczą panny Antoniny!

Poszedł z miną zasmuconą, a mnie cała ta historia do żywego wzburzyła. Nigdy się nie spodziewałem, żeby mnie ten człowiek zdradził, a czyn jego ostatni był nieczem więcej, tylko prostą przyjacielską zdradą. Żeby się wprzód poradził — nie! Widocznie panna Antonina dobrze go już ujęła w kluby.... A sprytny to Katon w polskiej spodnicy; ho, ho, znam jej cięty języczek. Był czas, gdy i na mnie zagieła parol, wyprowadzała mnie na rozmaite dysputy filozoficzne, gryzła dowcipem, paliła wzrokiem, ale ja się panie znam na takich manewrach i Bogu dziękuję, że trzymałem się twardo.... Brzydką nie jest, i żeby nie miała tak spiczastego nosa, wąskich zaciśniętych ust, a oczu mniej zapadłych i nie tak podsiniących, mogłaby uchodzić za ładną. Z długoletniego doświadczenia mego, znam lepiej niż siebie, tego rodzaju kobiety i z wszelką pewnością prze-

powiem, czem będą po zamążpójściu. Tak w towarzystwie, zwłaszcza ślamazarnem jak dzisiejsze, cięta kobieta potrafi ożywić i trochę podniecić. Nie jednego podrażni, czasem zawstydzi lub urazi, ale ostatecznie zajmie, a to już nie mała zasługa. Co do mnie za stary jestem na podobne szermierki językowe, raz, że praktycznie rzecz biorąc na licha się to mi zdało, a powtórę nie lubię paprykowanego gulaszu, bo podejrzewam, jako jest ze starej pieczeni. Insza rzecz, gdy się taki fryc dostanie w jej ręce jak naprzykład mój Jan architekt. Nie ubliżam przyjacielowi jako architekcie, który podobno z zadowoleniem publiczności stawia kamienice we Lwowie, ale po za fachowością swoją, na polach inszej wiedzy jest po prostu włóczęgą. Nie trzeba się wysilać bardzo, żeby mu zaimponować i olśnić; — niechże więc bije czołem przed rozumem swej przyszłej, — co mi tam, przecież ja w jego skórze nie będę.

Wymodlił u mnie, żeby być drużbą na weselu — no i byłem i prowadziłem wysoką jego magnifikę do ołtarza jakby hofrat. jaki, sztywno, z powagą. Po ślubie oddałem ceremonialną wizytę, a choć uważałem, że pani Janowa starała się niezwykle uprzejmością przebić skorupę mej oziębłości — pozostałem

jak mur niewzruszony. Trudno się przezwyciężyć; jak kogo nie lubię — to otwarcie powiadam nie lubię.

Długi czas nie zaglądał do mnie Janek, a choć przyznaję, brakowało mi jego towarzystwa, jednak go nie szukałem. Widocznie żona kazała mu zerwać ze mną; bała się niekorzystnego oddziaływania starego cynika (jak mówiła) na świeży jeszcze nie zepsuty umysł małżonka. Dlatego też choć spotkalśmy się czasem w mieście albo w restauracyi wieczorem, rozmawiał się ze mną w ten sposób, jakby imość dobrodziejka stała gdzieś za plecami, lub ściany miały uszy. Ma się rozumieć, że sobie nie żałowałem docinków, które on z początku starał się zbijać, dowodząc mi, że jego Tosia jest niepospolitą kobietą, że jest rządną, energiczną, że trzyma wszystko w ryzach, a jeszcze często pomocna rozsądną radą. A jaka przytem matka! (Pan Bóg bowiem nie odmawiał im swego błogosławieństwa i było coś tego drobiazgu troje w cztery lata).

Dalibóg sam nie wiem z kąd i na co brała mię chęć przedrwiwania z jego ideału i drażnienia męskiej ambicyi Jasia, ale nie żałowałem sobie przy okazji, choć wiedziałem, że to groch na ścianę. Każdy człowiek

już na świat przynosi z sobą przeznaczenie swoje, wszelki zatem bunt przeciw owemu przeznaczeniu jest gwałtem przeciw naturze. Są ludzie stworzeni do rządzenia i ci przebojem będą rządzić; są inni skazani na służbę, więc najlepiej nie ruszać ich z obranego legowiska. Najnieszczęśliwsi są ci, co to chcieliby i to i owo, a nie mają ani potrzebnej siły, ani rozumu; żeby gdzieś stanąć lawirują tedy póki mogą, i w rezultacie tak utkną, że zrzuciwszy pychę z serca, muszą się zrejterować na miejsce przynależne.

Mój Jan po części należał do owej kategorii buntowników życiowych. Co chwila się zrywał, chciał to niby coś, rozpoczynał z humorem, gdy było trudno ratował się jak topielec, nieraz i sprytem nadrabiał, a gdy wypadło ciąć stanowczo — chował się do mysiej dziury i nie ma go.

Otóż niestety, tego rodzaju ludzi u nas podobno najwięcej i oni to nadają charakterystykę obecnej epoce kompromisarskiej, której hasłem: „gdzie nie można przeskoczyć, tam podleść“.

Pocziwa polska dusza, Jan mój serca miał za dużo, a jeszcze więcej lekkości ducha i fałszywej ambicji. Na razie do wszystkiego namówić go było można. Powiedz mu:

„panie Janie ten biedny, ratować go trzeba, daj, podpisz!“ — On bez wahania dawał, podpisywał nie pomnając, że za dwie godziny musiał sam szukać gdzieś pożyczki i starać się o podpisy. „Jasiu zapiszesz się na członka jakiego stowarzyszenia. Jasiu pójdiesz czy pojedziesz, zrobisz“ — on szybko wołał: dawajcie pióro, gdzie podpisać, dobrze, idę, jadę, zrobię.... Przyrzekał zawsze, ale też rzadko kiedy mógł dotrzymać, mając sam tysiące własnych spraw do załatwienia. Szczęściem, że przy całym rozrzucaniu się i lekkości, pan Bóg nie odmówił mu pewnej dozy sprytu, której zawdzięczał, że jakoś interesa jego szły, i że na wszystko wystarczało. Przysiąść fałdów, popracować, gruntownie rzecz zbadać i załatwić, — nie miał do tego żadnej cierpliwości. Sprawa każda, swoja czy cudza prędko mu się sprzykrzyła; on gonił wciąż za nowością, do tej się zapalał na to, żeby po niej jakim czasie ustać.

Pamiętam, w kancelaryi jego, którą urządził w mieście oddzielnie, zawsze odbywał się jarmark. W bramie na wschodach, przy drzwiach i w samym pokoju, czekało wciąż kilkunastu ludzi z różnemi interesami. To prości robotnicy, to majstrowie, dostawcy, dozorca i różnej kategorii starozakonni nie

licząc interesentów przyjaciół; — a wszystko to ruszało się niby sztab za generałem, gdy się Jan pokazał. Rzeczywiście trzeba było mieć wiele sprytu i znajomości ludzi, aby się opędzić owej gromadzie, z której trzy czwarte wołało o pieniądze. A mój Jan właśnie to umiał, bo nieraz miałem sposobność widzieć, jak on paru słowami ukołysał tego, temu coś wetknął na rachunek, tamtemu kazał czekać aż do książek zajrzy — jednym słowem w parę minut pozbywał się najbardziej natarczywych. Najzabawniejszem było, jak ktoś go już przycisnął, że trzeba zrobić z nim obrachunek. Ba, ale, jakże tu znaleźć ów rachunek wśród nagromadzonych jak siano papierów w szufladach biurka i na wierzchu. Poczciwy mój architekt, wszystkie ważniejsze papiery chował, wtykając każdy gdzieś w osobliwszy kącik licząc na swoją pamięć, że go odnajdzie w razie potrzeby. Przytem zawsze trwał w tem postanowieniu, że jak tylko czas znajdzie, weźmie się do uporządkowania i segregacyi; parę razy nawet zaczynał tę pracę i przy niej porobił ważne odkrycia, ale do końca nie doprowadził, czekając chwili wolniejszej. Dla tego też łatwo sobie wyobrazić, jak go to musiało irytować natręctwo podobnego interesenta. Szukał, przewracał, szu-

fiadki całe wyjmował, po kieszeniach sięgał lub do książeczki notatkowej zaglądał, a swoją drogą prosił Boga, aby mu jakieś niezwykle zdarzenie robotę ową przerwało i pozwoliło odłożyć na później. Jeżeli kasa była w dobrym stanie, to po półgodzinnej kwerendzie, pozbywał się dając coś a c o n t o ; jeżeli zaś pusta, wtedy już przybycie kogoś ze znajomych, choćby z odwidzinami, stawało się prawdziwą deską ratunku.

— Przepraszam panie Eibler czy Rejnhold jak tam wypadło — mówił prędko wprowadzając przybyłego do sąsiedniego pokoju — musimy przerwać, mam interes bardzo ważny z tym panem.

— Ja zaczekam....

— Eh, wie pan może to będzie za długo czekać.... Ot najlepiej ja dziś jeszcze odszukam umowę naszą i przyślę panu rachunek.

— Dobrze, aby nie długo....

— Jutro będziesz pan miał, — to bagatela, pan nie masz czasu.... ona tu gdzieś jest.... Z pewnością jutro przedpołudniem.... Nowy, dobry interes mi się trafia — szepnął do ucha Eiblerowi. — Daję słowo, jutro, a i pan w tym interesie zarobisz.... ho, ho, gruby interes.... przepraszam.

— Może lepiej, że ja tu przyjdę — rzecze ów dostawca, nie wiele licząc na rachunek Jasia.

— I tak dobrze, przyjdź pan!

— No kiedy?

— Kiedy, kiedy — powtarza głęboko zamyślony spoglądając na sufit. — Dziś już nie. Jutro.... czekajże pan, jutro.... także nie.... mam posiedzenie jedno o 3ciej, drugie o szóstej.... najlepiej pojutrze....

— Pojutrze szabas....

— Ach, prawda, a szkoda, w sobotę z rana najwięcej mam czasu.... Słuchajże pan, niech będzie w niedzielę rano, tylko rano, o 8mej ja tu już będę czekał....

— Z pewnością?

— Aaa z największą.... Ale, ale, ile pan masz półtorówek na składzie? — dodaje przy pożegnaniu.

— Ile będzie trzeba — dziękować Bogu zapasu u mnie dosyć....

— Więc przynies pan zaraz z sobą wykaz i cenę, może zrobimy interes....

To zapytanie o deski półtorówki, było tylko balsamem na skrzywioną minę dostawcy. Jako żywo ani potrzebował, ani mógł potrzebować owych desek. Podobnie miała się rzecz i z terminem niedzielnym, albowiem jeżeli

tylko pamiętał o nim, z pewnością nie przyszedł do kancelaryi.

W drugim pokoju czekał go kolega radny miejski.

— No widzisz panie Antoni, czy ja mam czas zajmować się sprawami publicznymi. U mnie ciągle taki jarmark. Mówię panu głowa pęka nieraz od tych interesów.... Proszę, siadaj kochany kolego, zapal cygaro.

— Może przeszkadzam. Ot chciałem pomówić z panem dobrodziejem o tej sprawie kupna placu przez miasto....

— Wiem wiem, chciałby Bonifacy odebrać.... Ale siadajże.... dalibóg kontent jestem jak mi kto przerwie moją pańszczyznę.... Nie dopuścimy przy głosowaniu. W tem miejscu sążeń wart najwyżej 5 złr, a sekcyja podaje 15, to zdzierstwo jak Boga kocham, coby powiedziały gazety....

W trakcie tego uchylają się drzwi, a w nich zapyłona rozezochrana głowa mómi błagalnym głosem:

— Wielmożny panie inżynierze, tylko słówko....

— Dobrze zaraz.... Ot masz pan.... mów tu o poważnej sprawie....

— Wiesz co kolego, pójdźmy na ulicę i pogadamy idąc — rzeczy ów radny. — Jużemy skaptowali piętnastu....

— Tak będzie najlepiej, idźmy, bo mi tu nie dadzą spokoju....

Wychodzą, a pan Jan zbliża się do owego majstra, który jak duch nieboszczyka Banka z pokudloną głową drogę mu zastępuje w pierwszym pokoju.

— Okno na dole trzeba posunąć o pięć centymetrów na prawo — mówi Jan głośno z powagą, gdy pan Antoni dyskretyonalnie usuwa się na bok.

— Bo ja miałem.... — zaczyna mówić podmajstrzy....

— Nie nie pomoże, trzeba posunąć, tak sobie życzy właściciel.... uważa pan, pięć centymetrów.

— Już posunięte....

— I na poziomie także o pięć centymetrów....

— O tem nikt nie mówił....

— To trzeba, nie nie pomoże.... nie byłoby proporecy....

— Ale to burzyć znowu....

— Nie można inaczej.... policzy się osobno.... Broń Boże, ja nie chcę krzywdy robotnika.... Kaprysi, niech płaci.... No, no,

biegnij pan i proszę przypilnować, ja tam będę zaraz....

— Ja też chciałem prosić....

— Powiadam, że będę zaraz.

Tu pan Jan wyjmuje zegarek, przypatruje się wskazówkom i widocznie, że im nie wierzy, bo sam zegarek przykładą do ucha.

— O pół do pierwszej....

Mimo to podmajstry nie ustępuje i szepcze coś do ucha panu architektowi, skutkiem czego odsuwają się obaj ku piecowi, w trakcie czego Jan wyjmuje pugilares z kieszeni i przybiera palcami w papierkach. Następnie kolejne i znaczące zżymanie ramionami jednego i drugiego, poczem szeptanie do ucha majstra i klepanie go po ramieniu, potem przyrzeczenia jakieś i słowo: „na pewno“, potem niski ukłon ze strony murarza, zamknięcie pugilaresu i słowa do pana Antoniego:

— Służę koledze.

Idą tedy koledzy trotuarem, palą cabanosy i głośno rozprawiają zatrzymując się co chwila. Pan Antoni z powierzchowności sangwinik, przysiadły, pękaty o trzech jak galareta trzęsących się podbródkach, coś groźnie wywija ręką, a co przystanie, to wskazującym palcem lewej ręki przygwożdża kogoś do

ziemi i nogą przytupuje. — Założę się, że któregoś z kolegów radnych. Naturalnie, że rozmowy ich wśród turkotu jadących powozów nie można pochwycić, dolatują tylko słowa: „szkandal panie dobrodzieju, zrobimy szkandal“ i znowu na przemiany panie dobrodzieju, i szkandal z różnemi przymiotnikami. O ile kolega Antoni rzuca się i przytupuje, o tyle mój Jan ma nadzwyczaj myślącą minę, głowę pochylił, oczy utkwil w końcach swoich butów, i co minuta podaje swego cabanosa koledze, któremu jego cygaro wciąż gaśnie.

— Kto chce wypić ze mną kieliszek kwiatówki? — Odzywa się naprzeciw nich głos mężczyzny średniego wieku w okularach z przyszytą brodą.

Rozmawiający spojrzeli, a Jan pociąga pana Antoniego za surdut.

— Kiedy to nie czas — rzecze Antoni.

— A kiedyż lepszy — mówi przybyły wyjmując zegarek — jedenasta a kwiatówka mówię wam, pyszna....

Machinalnie koledzy nasi również wydobyli zegarki, a pan Jan jakby swojemu nie dowierzał, bo do ucha go przyłożył.

— Tak, na kwadransik możebyśmy.... — odzywa się architekt spoglądając na pana Antoniego.

— Eh i pięciu minut nie potrzeba — dodaje proszący i wchodzi pierwszy do sklepu korzennego, przed którym stali.

— Antoni — szepcze Jan do ucha koledze — w sprawie sza....

— Dla czego! będę gadał panie dobrodzieju, on do nich należy, niech wie.

— Mówię ci sza.... Rozum powiada, nie łap ryb przed niewodem.

— Niewód potargam panie dobrodzieju, bo ja tak z kim idę to idę, a z kim nie idę....

— Cenzor — szepnie znów Jan, postępując za sapiącym Antonim, który wciąż potyka się o różne paki w ciemnym korytarzu wiodącym ze sklepu do stancyi gościnnej....

I rzeczywiście to słowo cenzor magicznie oddziaływało na zły humor Antoniego, pokazuje się zatem, że cenzor Banku jest słowem, które może uśmierzać burze.

W pokoju, do którego weszli, brudnym i zadymionym, siedziało już kilka partyj przy oddzielnych stolikach. Przy jednym jakiś oficer rozmawiał wciąż po niemiecku z wielkim psem koloru czekoladowego, któremu trzymał nad głową kawałek parzonej kiełbasy. Przy drugim rozkoszowali się cienkoszem austriackim dwaj artyści, jeden od pendzla, drugi

od melpomeny, obadwaj obdarzeni doniosłym głosem i doniosłemi nosami koloru poma-
rańczy zwanej mandarynką. Przy innym
znowu, jakiś obywatel ziemski z synem wy-
rostkiem ugaszczał koncypienta adwokackiego
obdarzonego tak wspaniałym apetytem, że
oficer manipulujący z psem, aż usta otwierał,
widząc jak przynoszone porceye znikają we
wnętrzu pana prawnika.

Nasi znajomi, jak na ludzi skromnych
przystało, usadowili się przy małym stolicku
pod oknem tak ciasno, że ledwie jeden na
drugim nie siedział. Tłusty, zabrudzony w sza-
raczkowym surducie subjekt sklepowy, po-
jawił się tuż z trzema arkuszami bibuły i pę-
kiem noży, i widełcy pod pachą, albowiem
w jednej ręce trzymał sporą butelkę owej
kwiatówki zatkaną korkiem uwiązany na
sznurku i trzy kieliszki, a w papierku parę
migdałów. Nalano w owe kieliszki, zaprasza-
jący pan Mateusz trącił dwa inne ze swoim,
potem on i Jan wypili; Antoni jednak nie
ruszył....

— Pij-że! — mówi Mateusz chrupiąc
migdały....

— Ja panie dobrodzieju bez zakąski
nie mogę....

— Pyszna wódka....

— Żeby ona była najpyszniejsza, potrzebuje przetrącić....

— Jest szyneczka — mówi subjekt — śledź pocztowy, śledź marynowany, węgorz.... może salami, albo parę kiełbasek.... może kawior świeżutki....

— Wiecie co, kawioru i jabym trochę.... — odzywa się pan Jan.

— Ile? ćwierć funta?

— Zkąd, gdzie, na co.... — zawołali we trzech — małą porcyjkę.... z przyprawą tak uważasz pan troszkę cebulki osobno....

— Ja po staremu śledzia — dodaje Antoni....

— Ja nie — kończy pan Mateusz. A gdy się subjekt oddalił mówi do towarzyszy:

— Na te ciężkie czasy dobry i migdałek, bo się nie liczy....

— Oj prawda że ciężkie, niech je diabli wezmą panie dobrodzieju — dorzuca Antoni. — Wiecie wczoraj kasa u mnie dwadzieścia reńskich, jak Boga kocham dwadzieścia.... I żyj-że tu....

— Świadkiem pan Antoni — odzywa się Jan mieszając kawior z oliwą i cebulą — co ja się napracuję a z tego nic. Interesów

niby to jest dosyć, ało cóż z tego, kiedy jak chcesz rachuj — dla ciebie nic nie zostanie.

— A więc co ja dopiero mam mówić? — odzywa się trzeci.

— Wiesz co? — odpowiada Antoni — każ dać drugą porcyę kawioru, bo ja to sam zjem.... Panie dobrodzieju ja mam taką naturę, że jak mi co dolega panie dzieju, to potrzebuję coś kwaśnego, słonego, pieprznego, bo mi to żółć przetrawi.

— Hej, hej ty mały — woła Mateusz na chłopca — jeszcze kawioru porcyę....

— I ja kawior lubię — odzywa się Jan — ale głupia rzecz po nim pić się chce, jak sto dyabłów....

— To też napijemy się — mówi Antoni....

— Zastrzegam się, ja nie! — woła pan Mateusz....

— Ja każę dać! — zawoła Antoni znowu — pilznera hę?

— Zastrzegam się — powtarza Mateusz — bo obiad przepadł....

— Niech przepada — rzecze mój Jan z desperacką miną. — Dość człowieka bieda gniecie, żeby sam jeszcze tworzył sobie jakieś zakazy.... Jem, kiedy mi się jeść chce.... tylko jabym tak półbuteleczki porteru do-

mieszał do pilznera, niech się Anglik bije z Niemcem w polskich wnętrznościach.

Walka ta w duchu patryotycznym bardzo się podobała naszym znajomym, choć oficer brwi zmarszczył spoglądając groźnie w tę stronę. Przyniesiono tedy pilznera trzy butelki i jedną porteru, a nasi znajomi zapaliwszy cygara, rozpoczęli znów narzekania na ciężkie czasy.

— Dalibóg panie dobrodzieju — mówi Antoni ciężko wzdychając — ja to w domu już tak się ściskam, że niech Bóg broni. Krzyczą, piszą, oszczędzaj, wstrzymuj się — cóż robić trzeba się brać w kupę. Powiedziałem żonie, sto reńskich na miesiąc masz, centa więcej nie dam.... Wszystko w mieście drożeje, a tu w interesie stagnacya — pożyczaj — oddaj i znowu pożyczaj — oddaj....

— Ja — mówi rozkładając rękami Mateusz — każdy cent dziesięć razy obejrzę, nim go wydam i mówię wam, żeby nie kredyt....

— Łatwo panu jako cenzorowi.... — dorzuca Jan.

— Ale za to żydów kropię.... dziś był weksel Chaima....

— Kropić ich! — przerywa Antoni — kropić.

— Albo ta robota w więzieniach.... — wtrąca Jan — zabija majstrow! Nam się panowie trzeba wziąć za ręce, ale to wziąć szczerze.... Zwołać zgromadzenie chrześcijańskie i nie od żydów....

— Ba, ba, kto usłucha z miasta!...

— Zmusimy! — krzyczy Antoś uderzając ręką w stół. — Niech-no ja się z Pluderkiewiczem rozmówię.... Zaprowadzimy jedność panie dobrodzieju i kiep ten, kto nie posłucha....

— Tak jest kiep.... Nikt o nas nie myśli, musimy sami o sobie myśleć.

W tej chwili przy stoliku, gdzie siedział obywatel z synem i pomocnikiem adwokata, odbywały się narady z subjektem sklepowym o wino.

— Może Cypryjskiego? — pyta obywatel.

Konecypient ku któremu zwrócił się fundator — skrzywił nosem, ale pan Antoni zasłyszał to słowo Cypryjskiego....

— Jeszcze też tego dyabła nie próbowałem.

— Jakiego? — rzecze Jan.

— No Cypryjskiego, co tam dysponują.

— To może Lacrima Christi — pyta znów subjekt....

— Wiecie, tego toby warto po kieliszku — dodaje mój Jan — jest to łoża Chrystusa pana, a my przecie nie poganie....

Spojrzał po towarzyszach, ci ruszali tylko głowami, ale nie protestowali.

— Będzie to mieszanina — bąknie pan Mateusz — wódka, piwo, porter, wino.... i pewnie to drogie.

— Ja funduję! — zawoła Jan. — Hej panie, panie — mówi wstając do subiekta — i dla nas też trzy kieliszki *Lacrima Christi*.

— Na kieliszki nie sprzedajemy, chyba butelkę.

Znów Jaś spojrzał po przyjaciółach, — milczeli....

— Daj pan butelkę, przecie się nie otrujemy....

I nie otruli się pijąc i przypatrując do światła, a po uśmiechniętych minach znać było, że im smakuje....

— Wiecie panowie — odzywa się Antoni wysączaając resztę do kieliszków z butelki — nie złe jest to wino pana Jezusa, bo ja go czuję jak tu idzie, jabym powtórzył, he?

Zerwali się obadwaj towarzysze ze straszłą grozą.

— Broń Boże, ani kropli więcej — mówi Jan — tam żona czeka z obiadem.... Co do licha już druga — rzecz spoglądając na zegarek — a tyle jeszcze interesów na głowie.... No kończmy....

— Mój obiad już przepadł! — dodaje Mateusz — ale swoją drogą to wino mi ten.... Jaką ja sobie beczkę teraz sprowadziłem tokaja, to mówię wam buzi dać....

— Drogo też wypadnie? — pyta Antoni.

— Jeszcze nie wiem, bom nie spuszczał... ale drożej, jak po półtora nie wypadnie.... Delicje mówię wam.... Niech się tylko ustoi, to spróbujemy.

— Nim to nadejdzie — rzecz z powagą Antoni — powtórzmy tego Jamajskiego, czy skąd ono tam jest panie dobrodzieju.

— Nie mogę, jak was szanuję — wymawia się Mateusz dobywając portmonetkę z kieszeni — bez ciepłego jedzenia nie mogę....

— Chyba żeby coś gorącego — dodaje Jan zajmując znów swoje krzesło. — ale oni tu nie mają.

— Można posłać do restauracyi, no co befsztyk, albo....

— Ciężkie czasy — przerywa Mateusz — wiecie co, ja mam ochotę na flaczki, to dla nas odpowiednie.

— Bodajże cię z flaczkami....

— Piętnaście centów porcy.... ja flaczki.

Po małych jeszcze targach zgodzili się na befszytk, rybę z białym sosem i owe flaczki, które wraz z drugą butelką *Lacrima* przyniesiono....

— A propo owych flaczków — odzywa się Antoni — przypomina mi się tu ta, jakże ją tam nazywają w teatrze — to ta co się to wczoraj w morzu kapała....

— To pan byłeś? — pyta zdziwiony Mateusz — pan taki wzorowy małżonek....

— Ta cóż, człowiek się cały dzień nahuje za ową ladą panie dobrodzieju, to musi czasem trochę się rozerwać. A ja tam panie dobrodzieju tych sentymentów nie lubię.... W dramacie czy tragedyi płaczą mi, jęczą przez cały wieczór, zabijają się w końcu, a ja panie dobrodzieju najczęściej zasnę. Mało to człowiek ma zgryzoty przy interesie, żeby jeszcze słuchał głupstw w teatrze.... Niech mi będzie coś wesołego panie bdzieju, ja się uśmieję i spię jak zabity....

— Zupełnie się zgadzam z kolegą — dodaje Mateusz. — Moja żona to mi tataruje głowę, że chodzę na takie bezecenstwa, ale ja wam powiadam, że takie rzeczy lubię. Żebyście widzieli wczoraj, jak ten posługacz

kąpielowy złapał ową Nanę, czy jak ją tam zwali, na ręce i niósł aby wrzucić do morza do kąpeli....

— Widzieliśmy — przerywają oba.

— Byliście i wy....

— Byliśmy. Ja się tylko schowałem w ką — mówi Jan — bo była tam jedna przyjaciółka żony, która zarazby zaraportowała mojej i miałbym za swoje.

— Ja nie pytam — rzecze Antoni — i powiadam żonie, chcesz to chodź!

— No a jakże wam się ta Nana — ciągnie Mateusz poprawiając okulary — bo to panie w ubraniu do kąpeli tego.... wiecie jabym ją także z apetytem potrafił wrzucić do morza.... Bestyjka umiała sobie tego, jak się należy....

I wszedłszy na ten tor rozmowy, przyjaciele szli coraz dalej popijając Lacrima, skubiąc po kawałku ser rokfordzki, bo to już u nas taki jest zwyczaj przy każdej biesiadzie, iż zaczyna się od narzekań na biedę i ciężkie czasy, a niezawodnie kończy się na różnych conceptach zaprawnych mniej więcej różną tłustością.

Dopiero około trzeciej wytoczyli się z handlu, a że wszystko już jedno wisieć czy za jedną nogę czy za dwie, więc wstąpili do

pana Bartłomieja na likier, do kawiarni na czarną kawę, gdzie jeszcze zagrali kilka partyj w bilard i gdzie mieli sposobność spotkania się z panem Pluderkiewiczem, który rozgrywając partyę szachów z panem Teodorem, po prostu psy wieszał na wszelkiej inteligencji.

Ponieważ pan Pluderkiewicz jest za zbyt ważną osobistością we Lwowie, aby go tu zbyć kilku słowami, przeto odkładając relację o nim na później, poprowadzę czytelników do mieszkania architektki.

Od roku mieszkam w tym samym domu i płacę nie drogo, dzięki przyjaźni Jasia, który budując ową kamienicę, wymówił sobie ohszerniejszy lokal na trzy lata. Pani Janowa uważała, że pięć pokoi to są dla nich zbytki, więc odnajął mi dwa obok swego mieszkania, z których jestem bardzo zadowolony. Z tytułu więc tego sąsiedztwa i mając informację z innych źródeł, o których nie mogę wyraźniej czytelnikom powiedzieć, wiedziałem zawsze co się tam przez ścianę dzieje. No, i nie działa się zawsze bardzo przyjemne rzeczy, zważywszy na temperament pani Janowej, która już teraz przemieniła się poprostu w maszynę roboczą, częstokroć

stukającą, krzyczącą i piszczącą jak każda machina źle kierowana. Będąc panną i szukając męża ubierała się przynajmniej i sztafirowała, aby się lepiej wydać, teraz już nie potrzebowała sobie zadawać żadnej subiekty, więc zaniedbała się i nie oszczędzała. Prawda, że w domu wszystko szło jak w zegarku, że oszczędność i zapobiegliwość jej doprowadzone były do możebnych granic, że od rana do nocy była czynną, może trochę za głośno, ale za to ład i porządek panowały wszędzie. Słyszając narzekania męża na złe czasy, brała pieniędzy bardzo mało i sama obchodziła się byle czem, aby mu tylko ulżyć w wydatkach a wreszcie coś oszczędzić i czegoś się dorobić. Ale niestety dorobku tego ani widać. Jaś wiecznie był w interesach, wiecznie nibyto łożył na rozszerzenie tych interesów, co naturalnie musiało niecierpliwie panią Janową. Dla tego też bardzo często suszyła mu głowę, dopytując o sytuację majątkową, a rozmowa ich zaczynała się zwykle po kolacyi, gdy w domu wszystko się uciszyło i to mniej więcej w ten sposób: Usiadłszy obok na kozetce i wzięwszy go za rękę (jak mnie się zdaje nie z czułości, ale żeby przypadkiem nie uciekł) zapytała czułym głosem :

— Jasiu! — no jakże tam interesa?

— Nie źle — odpowiada ziewając i oglądając się na łóżko czy posłane, albowiem okrutnie nie lubił tego rodzaju małżeńskiej pogawędki.

— Ciągłe słyszę toż samo: nie źle, nie źle, a w rezultacie jakoś nic. Mój drogi, dziesięć lat już jakeśmy się pobrali, ty pracujesz, ja pracuję....

— To prawda, że ja pracuję — przerywa znów ziewając małżonek — bo jak przyjdę do domu na wieczór, powiadam ci, jestem jak zbity.

— Ja tak samo już rąk i nóg nie czuję. Co to czworo dzieci, jedna sługa i dwoje uczyć i wszystko obszyć.... dla tego mój Jasiu, już mi jest ciężko....

— No cóż robić, poczekaj i na nas przyjdzie czas....

— Ja nie narzekam i dwa razy tyle pracować mogę, tylko chciałabym raz widzieć początek rezultatu. Ot Kobylecki' postawił dom. Jarczewski słyszałam ma w banku kilka tysięcy....

— I mybyśmy mieli — przerywa mąż — żeby pooddawali ci co są winni....

— Trzeba dusić, mój kochany; trudno żebyśmy na darmożjadów pracowali.

— Phi, dusze tu kiedy nie ma z czego —
odpowiada tonem znużonym.

— Strzałkowski zapłacił co?

— Daj mu tam pokój, to nieszczęśliwy
człowiek. Odda jak odbierze sukcesyę po-
stryju, ale teraz bieda u nich aż piszczy.
Wczoraj przyszedł do mnie i powiada: jak
Boga kocham całego majątku mam pięć
centów i pokazuje portmonetkę, zlituj się,
ratuj od śmierci głodowej....

— Pewnie dałeś co?

— A tybys nie dała? Kolega szkolny,
przyjaciel szczery, razem siedzieliśmy w ko-
zie przez sześć miesięcy....

— Powiem ci prawdę, żebym nie dała.

— Wstydz się Tosiu! — rzecze ura-
żony — nie spodziewałem się, żebyś miała
tak twarde serce.... Człowiek ginie z głodu,
przyjaciel z kozy....

— Jasiu i ty mu wierzysz?

— Moja Tosiu onby przecie nie kłamał.

— Jeżeli ja cię przekonam, że oni
lepiej od nas żyją, że ona trzyma dwie sługi,
że bywa w teatrze na każdej nowej sztuce,
że panny się stroją....

— Ha, jeżeli kłamie, to niech będzie
na jego sumieniu!...

— Otóż to u ciebie pełno takich przyjaciół i kolegów, którzy cię skubią i wyzymskują bezczelnie, gdy ja żałuję sobie kawałka bułki i resztki zjadam po dzieciach.

— Czy ja ci bronię jeść bułki! — rzecze urażony pan Jan — przecież nie żałuję, nie mówię, że nie dam....

— Nie o to idzie mój Jasiu, wiem, żebyś mi nie żałował, ale wiem, że zawsze ci ciężko i często się kręcisz o pieniądze, więc sumienie mi nakazuje oszczędzać na każdym kroku. A ileż mu też dałeś?

— Co dałem to dałem, na cóż ci ta wiadomość — rzecze rozdrażnionym głosem.

— Powiedz, tak dla ciekawości...

— No dałem trzy reńskie, ale co do niego pewny jestem, że do centa odda, niech tylko proces skończy.... Poczciwe z niego chłopisko, choć może ona niezdarna, zwyczajnie jak córka obywatelska....

— Ej Jasiu, dałeś więcej, przyznaj się!

— Nie, nie dałem.

— No, popatrz mi w oczy?

— Cóż u diabła tak mię egzaminujesz jak smarkacza!

— Ale spojrzij! — A widzisz, że kłamiesz.... I powiedz mi, czy to się godzi marnować tak ciężką pracę naszą. Świat wielki

niech mu dają inni.... Ej Jasiu, Jasiu, zobaczysz, że przy takiej gospodarce nie długo pójdziemy z torbami.

— Bajki — odzywa się zniecierpliwiony. — Nie obawiaj się, moja w tem głowa.... Dlaczegoż to Maryanna łóżka nie ścieli, cóż ona myśli, że do północy będę siedział czekając na nią.... rano muszę wstać....

Ale Maryanna nie słała, a korzystając z tego pani Janowa, kładła mu w głowę swoje, że powinien zacząć odkładać, póki dzieci małe i edukacya nie kosztuje, póki młody i ma siły do pracy.

— Trudna rada — mówi na to Jaś z wymuszonym spokojem, — kiedy na świecie coraz gorzej. Wszyscy narzekają, nietylko ja.

— Ale ten buduje dom....

— Wielka rzecz za pożyczane pieniądze. Nie bój się i my postawimy, niechno się tylko poprawi.

— Żebyś więcej pilnował robót, coś nowego wymyślił....

— Albo ja nie myślę, co? Nie raz zdaje mi się, że głowa pęknie, że mózg wyskoczy z niej uszami, ale wymyśl tu co, kiedy wszędzie krucho, wszędzie konkurencya.... Maryanno! — krzyknie zwracając się do kuchni. — Czy ją dyabli, czy co, że nie

przychodzi, rozpuściłaś kobietę, jak bicz dziadowski....

— Eh, mój kochany, żeby tylko twoi ludzie tak pracowali, jak ona — rzeczy urażona pani — toby dobrze było.

— No, no — tylko się w moje sprawy nie mieszaj, bo się na tem nie znasz.

— Dlaczego? Czy to nie jest tak twoje jak moje? Byłam parę dni temu w kancelaryi, interesenci czekają godzinami, pana inżyniera nie ma.

— Bo nie ma, niech czekają.

— Wstępowałam wczoraj, pozawczoraj — toż samo, a Groszkiewicz tylko ramionami wzruszył, gdym go zapytała, kiedy ty bywasz....

— A cóż u pana Boga jakieś dochodzenia dyscyplinarne czy co.... Co zaś do p. Groszkiewicza, to skoro taki dowcipny, jutro go nie będzie — wygonię!

— Jasiu nie wygonisz, to chłopiec porządny i sumienny....

— Wygonię, jak honor kocham. Co jemu rezonować.... słuchaj smarkaczu i milcz... Dałam przytułek — A niech że tę Maryannę kule zabiją! — mruczy już zły i zaczyna w sposób gwałtowny zrzucać kapę z łóżka,

wydobywać poduszki, układać je, a wreszcie i sam się rozbierać.

— Mam jutro rano dwa posiedzenia komitetów, jedną konferencyę prywatną, wieczór posiedzenie w ratuszu, i wystarcz tu.

— Ooo bardzo ci potrzebne te posiedzenia! — odzywa się żona, nie ustępując placu, wiele nam z tego wypadnie korzyści.

— Obowiązki obywatelskie....

— Pilniejsze swoje. Potrzebnyś tam w wydziale kasynowym, potrzebnyś w Stowarzyszeniu antysemickiem, potrzebnyś w ratuszu, w Komitecie wyborczym....

— Nie jestem sam — należą i inni — odpowiada krótko, wciąż się rozbierając.

Ale oni potrafią wyciągnąć z tego korzyści osobiste, robią interesa, a ty służysz im za drabinę, czas tracisz dla jakiegoś honoru i próżności.

— Moja kochana — zawoła już głośniejsz, odwracając się od łóżka — gdyby tak wszyscy myśleli jak ty, toby świat stanął!

— Zaręczam ci, że poszedłby bez ciebie.... Wyzyskują cię, posługują się tobą i za oczami naśmiewają, a dla mnie jako żony nie może to być przyjemnem.

Pan Jan tymczasem zacisnąwszy zęby, położył się bez ceremonii do łóżka, kołdrą

obwinał i udawał, że spać zaczyna. Ona znów postawszy jeszcze trochę i westchnąwszy głośno dorzuciła na obchodnem.

— Pamiętaj Jasiu, nie lubisz słuchać prawdy, a zobaczysz jak na tem wyjdiesz.

— Dobrze, dobrze.... dobra noc.

Uciszyło się w sypialni, pani wyszła do drugiego pokoju, obejrzała śpiące dzieci, poprawiła im posłanie i wsunąwszy się po cichu napowrót, zgasiła lampę.

Szanowny małżonek, jakkolwiek nibyto upadał ze snu, jednakże nie mógł usnąć będąc zirytowany poprzednią rozmową z żoną. I pod tem wrażeniem przewracając się z boku na bok, bynajmniej nie żałował zbyt szorstkiego z nią obejścia, uznawszy, że to jest kobieta nerwowa, żółciowa czy też histeryczka, skoro tak nieustannie go strofuje i gderze o rzeczy, na których się nie zna, a na które plunąć nie warto. Potęgując w ten sposób własny gniew, rozdrażniał się coraz bardziej i takiej nabierał pod kołdrą odwagi, że recytował litanie dość brutalnych epitetów, któremi powinien poczęstować małżonkę. Podług jego przekonania, a przekonanie to było zdrowe i rozsądne, wszystko co robił, robił bardzo dobrze, bo takby postępował każdy na jego miejscu człowiek

dbający o godność osobistą, dobry obywatel kraju i patriota. Ot — myślał sobie, babskie przywidzenia i chęć moralizowania — nie więcej.... A czy to pierwszy lub ostatni raz.... niech sobie gada, najlepiej nie zważać na to i spać. Przewrócił się tedy ku ścianie, głowę kołdrą obtulił i już miał usnąć gdy raptem przychodzi mu na myśl, że Tosia wcale się nie położyła. Nadstawia ucha — rzeczywiście dochodzi go lekki szmer sukni na sofie i ledwie dosłyszane coś niby łkanie, niby przytłumiony płacz.

— Ot usnijże tu, uspokój się i nabierz siły do jutrzejszej pracy — myśli dalej, gdy w głowie rozpoczyna się walka starego gniewu z refleksją.

— Tosiu, czemu ty się nie kładziesz?
Na zaczepkę tę nie ma żadnej odpowiedzi.

— Tosiu, zmiłuj się, idź spać, już dwunasta.... nie mogę usnąć.

— Dobrze — idę do drugiego pokoju....

— Tosiu, nie bądź dziecinna.... chcesz, nie wygonię Groszkiewicza?

Znowu młeczenie i skrzyp drzwiami przy otwieraniu.

— Moja kochana, połóż się spać, cóż znowu.... Straszna rzecz jaka ty jesteś zawzięta.... Dobrze, zrobię jak chcesz....

— Ja nie nie chcę — mówi z drugiego pokoju.

— Więc się połóż!

— Nie mogę spać, zresztą co cię to tak obchodzi. Czy ja jestem czy nie jestem, czy ja żyję czy nie żyję, przecież dla ciebie rzecz obojętna....

Po takim argumentcie, drzwi się zamykają, on słyszy że siada tam na krześle, więc w okolicy serca zaczyna mu się robić coraz to nieprzyjemniej. O spaniu ani myśleć, westchnienie za westchnieniem dobywa mu się z piersi, a w głowie uczucie żalu szturmuje do sumienia. Kto wie, czy ona nie marczy! Prawda, że pracuje, zapobiega i oszczędza, a choć nudzi to w domu ład jest, dzieci porządnie chowane.... a u mnie?... no trochę może nie tak jak być powinno.... Bodajto dyabli wzięli taki głupi charakter jak mój, na co się zapierać, lada kto bierze mię na ładne słówka i ciągnie...

I skoro przyjdzie do podobnego przeświadczenia, ogarnia go pewien wstręt do siebie, a podnosi uznanie dla żony; wstaje więc, ubiera się i sunie do drugiego pokoju z przeproszeniami. Nie idą one mu łatwo, pani każe się długo i dobrze prosić, aż w końcu oboje się popłaczą jak bobry, uca-

łują, a potem prawie do rana gawędzą i gawędzą, jak się on teraz weźmie energicznie do naprawiania błędów, jak się wycofa ze wszystkich znajomości, spraw niemających związków z jego zajęciami i tym podobnie.

Nazajutrz rzeczywiście Jan wstaje innym człowiekiem. Słaby ten, a wciąż buntujący się charakter widać potrzebuje choćby małej burzy dla odświeżenia. Wesoly z myślą swobodną, pełen niecierpliwości, aby się wziąć jak najprędzej do dzieła, wypił kawę, żonę ucałował, a zasiadłszy przy stoliku w kancelaryi w dwie godziny więcej zrobił, niż kiedyindziej przez parę tygodni. Stos podartych papierów rośnie koło szufladki biurka, przerzucił wszystkie szpargały, niepotrzebne darł, ważniejsze segregował. Przed obiadem jeszcze objechał roboty przez siebie prowadzone, obejrzał, wydał informacye i punkt o drugiej był w domu. Popołudniu toż samo; wieczorem nie poszedł ani na piwo, ani na radę, lecz z żoną snuł dalsze plany różnych przedsięwzięć nowych — albowiem nie brakowało mu nigdy inicjatywy, tylko że ją marnował na łatanie ciągłych braków w całej jego administracyi.

Gorączkowa czynność taka szła zwykle trzy, cztery dni, czasami i dłużej, a po tym

wysiłku wracał do dawniejszej praktyki okłamując siebie i żonę dopóty, dopóki znów bomba nie pękła i nie skończyło się na pofuonej pogadance w rodzaju tej jaką dopiero opowiedziałem. Nareszcie raz przyszło do katastrofy, w której i ja, ni pójdź, ni daj, odegrałem rolę Piłata, z tą tylko różnicą, że gdy szanowny wielkorządca rzymski uwiecznił się w Credo, ja najadłem się wstydu dowoli. A było to tak:

W niewinnej myśli, zaprosiłem Jana na małe śniadanko, podobno w wielki czwartek, to jest w epoce, w której nie bardzo gniewają się gospodynie, jeżeli mąż nie przyjdzie, albo spóźni się na obiad. Zjedliśmy coś, skromnie wypili, ale nadało lichu. że zjawilo się tam w handlu kilka jego kompanów już dobrze podciętych, którzy mojego architekta do swego obozu zawerbowali. Poszedłem do domu i nic nie wiedziałem o tem, że Jaś w nieco przybranym humorze dopiero wieczór wrócił do siebie. Co tam zaszło między małżonkami, tego nie wiem, chociaż przez ścianę słyszałem obojga głos podniesiony, a potem w przedpokoju trzaśnięcie drzwiami i dalszy ciąg monologu sąsiada na schodach, w którym powtarzały się dość często: dyabły, pioruny siarczyste, kanalie

itp. epitety rozdanych mężczyzn. — Zrobiło się cicho, mnie nawet nie przyszło na myśl, żeby to była awantura małżeńska, więc tak koło dziesiątej już zabierałem się do spoczynku, gdy wpada Jaś. Nie zdejmując futra, przechodzi na palcach, tajemniczo przez pierwszy pokój dotykający ich mieszkania i kiwa na mnie ręką, abym szedł za nim.

— Co się stało? — pytam zdziwiony a więcej przestraszony niezwykłym stanem sąsiada. Policzki mu się wzduły, oczy dziwnie świeciły, kapelusz rzucił na podłogę, a usiadłszy na sofie obu rękami nastroszył włosy na głowie i pychał, pychał, ciężko wzdychając.

— Mów że, co się stało, co ci jest?

— Jestem bardzo a bardzo nieszczęśliwy!

— Zbankrutowałeś, zamknęli ci budę?

— Jeszcze gorzej....

— No, co przecie, pofałszowałeś weksle?

— Ależ nie.... tylko mój drogi z Tosią dłużej wytrzymać nie mogę!... Boże drogi co ja z tą kobietą cierpię.... Straszna rzecz jaka dokuczliwa.... Daję ci słowo tu ją mam, tu — mówił pokazując ręką na szyję.

— Posprzeczaście się pewno...

— Jeszcze gorzej.... przyszło do awantury, ale to już grubej.... Dalibóg sam nie wiem co dalej robić.... — mówił rozpaczliwie załamując ręce. — Rzućę wszystko do diabła i pójdę w świat, albo.... niech raz temu będzie koniec.... Nie masz pojęcia jaka to jest kobieta zła, bez serca, bez litości.... Twoje słowa były święte, pamiętasz, ostrzegałeś mię przed ożenieniem, ale cóż człowiek zawsze głupi.... Gdyby nie te dzieci.... No, mówię ci, dalej wytrzymać nie mogę, tak mi Boże dopomóż, nie mogę.... nie mogę....

Miałem wielką ochotę pokpić sobie trochę z desperacyi pocziwego żonkosia, bo przyznaję się poniekąd zawsze mię cieszą tego rodzaju dowody słodkiego małżeńskiego pożycia, które idealisci nasi tak sielankowo w powieściach przedstawiają, jednak zobaczywszy głęboką boleść tego człowieka, ugryzłem się w język i czekałem dalszych wynurzeń. Jakoż puściwszy wodze żalowi, kochany Jan opowiedział mi ze szczegółami ostatnie zajście, jak wróciwszy z biby trochę podechmielony, (zapewniał, że tylko trochę), spotkał się zaraz na progu z miłym powitaniem: „idź precz odemnie, jesteś pijany“ — chciałem ją przeprosić, ucałować, ale ona furya skoczyła odemnie, porwała dzieci i do

drugiego pokoju.... Rozmawialiśmy przeze drzwi, ale to tak mówię ci na grubo wśród krzyku dzieci, które były pewne, że matkę chcą mordować....

— No i cóż dalej?

— Gadałem co mi ślina do ust przyniosła, trzasnąłem drzwiami i poszedłem, a teraz mój najdroższy radź, powiedz, co ja mam robić?

— Hm — iść do domu i położyć się spać!

Za żadne skarby świata tego nie zrobię, żeby mię tu panie.... nie pójde....

— Ona cię kocha.... pogniewa się i przebaczy....

— Co, ona mię kocha! — krzyknie zrywając się z krzesła — jak psy dziada w wąskiej ulicy.... ona może kochać kogo.... Mylisz się mój bracie, to zimna istota i chciwa majątku.... U niej nie tylko grosz.... Czy żona kochająca może tak powiedzieć mężowi: idź precz pijaku!...

Widocznie to słowo pijaku najbardziej leżało mu na wątrobie i teraz nie dziwie się, dlaczego to wszyscy już z profesyi pijacy, w żywe oczy zapierają się i obrażają, gdy kto ich tym wyrazem nazwie, skoro i mój

Jaś za sporadyczny wypadek dzisiejszy, nie mógł się uspokoić.

Przyznaję, że czy to skutkiem sentymentu dla mego sąsiada, czy skutkiem niechęci dla jego małżonki, której od dawnych lat nie lubiłem — w tej chwili zdawało mi się, że jego sprawa ma słuszość za sobą. Kiedy więc namowy moje, aby wrócił do domu, odbijały się od niego jak groch od ściany, przyszła mi niedorzeczna, a może nieco złośliwa rada do głowy, żeby tę noc u mnie przespał. Niech też i ona się trochę pomartwi, i będzie ukarana za swoją gwałtowność i brak pobłażliwości. Jasiowi propozycja moja bardzo się podobała, napił się herbaty, trochę ochłonał, a gdyśmy ułożyli pościel na sofie i on zaczął się rozbierać, powiada do mnie:

— Tylko mój drogi niech to będzie sekret. Ona tu może przysłać do ciebie z zapytaniem, to ty powiedz, że nie nie wiesz, dobrze?

— Dobrze.

— Dajesz słowo....

— Daję.

— Niech będzie niespokojna, niech szanuje człowieka, który jak koń pociągowy pracuje dla domu....

O tej pracy pociągowej Jana wprowadzić miałem trochę inne wyobrażenia, ale co do kary na swarliwość pani, podzielałem jego zdanie. I tak już kobiety jeżdżą po nas jak tylko mogą, więc choć kiedyniekiedy trzeba im pokazać co my umiemy.

Jaś był mocno rozżalony i trochę jeszcze szumiały mu po głowie wspomnienia śniadaniowe, skoro tedy legł na sofie, tak w parę minut razem ze zmartwieniem zasnął. Pod tym względem zazdrościłem mu podobnego usposobienia. Jakiś czas potem rozmyślałem jeszcze nad całą tą awanturą, gdy słyszę, że ktoś porusza klamkę dzwi do przedpokoju. Miał rację ostrzegając, bo rzeczywiście była to służba od pani Janowej.

— Pani też kazała mi się zapytać pana doktora, aby też pan doktor był łaskaw powiedzieć, gdzie może być nasz pan.

— Powiedz, że nie wiem — odpowiedziałem.

Uciszyło się znowu, już zaczynałem się rozbierać przeczytawszy dwa lwowskie dzienniki od deski do deski, gdy znowu słyszę poruszenie klamką.

— A któż tam znowu?

— Pani też prosi pana doktora na minutkę, jeżeli pan nie spi.

— Skoro mówię do ciebie to jeszcze nie спиę.

— Pani kazała bardzo pięknie prosić.

Spojrzałem na zegarek, było po dwunastej, i choć mi się nie bardzo chciało ubierać. — idę. Przedpokój mamy wspólny, więc ledwie parę kroków zrobiłem, wybiega pani Janowa ze świecą.

— Panie, Jasia dotąd nie ma! Przepraszam bardzo, że pana fatyguję....

— A słyszałem, że nie wrócił....

— Nie wie pan gdzie on może być? — mówi dalej tonem profesora, który się pyta o zbiegłego ucznia.

— Doprawdy nie wiem, byliśmy rano na śniadaniu....

— A to to pan go tak uraczyłeś....

— Nie pani, ja go zostawiłem jeszcze o pierwszej godzinie w handlu, i to w stanie bardzo przyzwoitym, ucztowaliśmy bardzo skromnie.

— On dopiero wrócił o 5. po południu znowu poszedł.

— Eh, niech pani się nie obawia, wróci, wróci.... Pewnie gdzieś tam spotkał znajomych, poszli na kolację....

— Tego jednak nigdy nie bywało. Zawsze przed 12. wracał.... — Zatrzymała się

trochę niby zawstydzona i po chwili dodała —
Trochęśmy się posprzecziali.... a że miał głowę
zapruszoną, więc może się rozgniewał....

— Ale wróci....

— Wyszedł bardzo zły, ja mu powiedziałam słowa prawdy.... może za ostro....

Mnie coś podzęgnęło, aby jej dokuczyć,
więc na pół żartem powiadam:

— Nie jest to tak bezpiecznie drażnić
w tym stanie mężczyznę....

— Ale proszę pana, już nie mogę z nim
poradzić.... Perswaduję, przedkładam, proszę,
zaklinam, a on mimo przyrzeczeń znów po-
wraca do dawniejszego życia.... Okropność
jaki to słaby charakter.... Zaczny, uczciwy
człowiek, to prawda, jednak lekkomyślny jak
chłopiec ośmnastoletni.... Próbowałam i tak,
i tak.... nic nie pomaga, a interesa nasze
i przyszłość rodziny na włosku wiszą....

— Zawsze proszę pani, z tego rodzaju
ludźmi trzeba ostrożnie; charaktery słabe
najwięcej bywają zapalne....

Umilkła, spojrzała na zegar, choć wi-
działem pewien niepokój na jej twarzy, to
w czarnych oczach błyskał jeszcze gniew
despotyzmu.

— Dziękuję panu i przepraszam żem go trudziła — rzecze wzdychając: dobranoc panu.

— Dobranoc — powtarzam i idę do siebie z uśmiechem tryumfu, jako lekarstwo nasze zaczyna skutkować.... Dobrze ci tak, myślę, nie burmistrzuj, moja pani.

Zaczynam się znów rozbierać, gdy klamka drzwi chwierut, chwierut....

— A to co? — wołam już trochę żywiej.

— Proszę jeszcze na momencik — słyszę głos samej pani.

Idę, ale już nadąsany....

— Panie drogi — rzecze trzymając świecę i prowadząc mnie znów do swego saloniku — nie gniewaj się, że go nudzę, ale ja jestem niespokojna o niego.... ja chcę pójść go poszukać....

— Na co! On tu sam przyjdzie....

— Nie, nie, postanowiłam iść.... ma pan słusność, za ostro się z nim obeszłam.... tak jest....

— Pani sama, po nocy — odzywam się perswadując.

— To też — przerywa mi patrząc miłosiernie — może pan zechce mi towarzyszyć.... Niech pan zrobi tę grzeczność dla

mnie i dla Jasia.... wzięłabym Maryannę, ale ktoś przy dzieciach musi zostać.... No, pójdzie pan?

Ot złapała mię naprawdę, bo ani na myśl mi nie przyszło, jaka może być tej awantury konsekwencya. Bądź co bądź jednak nie wypadało się cofać i prośbie odmówić.

W minutę już była gotową, a ja przywdziewając futro i ziewając od ucha do ucha, biłem się z myślami, czy nie powiedzieć prawdy, że Jaś chrapi tam w moim pokoju.... Serdecznie nie miałem ochoty, dla odgrania małżeńskiej komedyi, włóczyć się po nocy z panią Janową, ale jakże tu przyznać się do kłamstwa, jak złamać słowo dane panu Janowi. Zły więc, rozespany, w ciężkim futrze podałem ręki pani i wyszliśmy na ulicę szukać wiatru w polu.

Był to czas jeden z tych na wiosnę, podczas którego nie ma się serca psa na dwór wypędzić. Śnieg z deszczem prał w oczy, pod nogami chlapanina, na trotuarach woda z rynien płynęła strumieniem, a w napół rozmarzłej ziemi tonęły nogi po kostki. Rozpiąłem parasol, idziemy trzymając się pod ręce.

— Jak pan sądzi, gdzie on zwykle chodzi na kolacyę?

— Właściwie nie wiem, ja od dawna już z nim nie bywam.

— Słyszałam, że do Ludwiga najczęściej chodzą panowie, więc pójdziemy do owego Ludwiga.

Idziemy, ja upatruję dorożki, czy gdzie jakiej nie ma, a tymczasem wiatr kręci parasolem jak piórkiem, czuję, że w szyję mi zimno, a deszcz ze śniegiem zapuszcza się za kołnierz futra. Panią zostawiłem w przedpokoju restauracyi i nibyto obszedłem wszystkie pokoje upatrując Jasia.

— Nie ma....

— Boże drogi, gdzież on może być? Jest tu jakaś kawiarnia do późnej nocy otwarta, jakieś piekiełko, czy coś podobnego....

Kawiarnia była niedaleko, znowu wstąpiłem i odbyłem komedję przeglądu....

— Może do innej kawiarni poszedł, albo restauracyi na piwo....

— Wątpię proszę pani....

— Więc gdzieżby był, proszę pana zrobić to dla mnie pójdźmy w inne miejsce....

— Szczęściem, że nawinął się jakiś fiakier marudera i zawołałem, aby się zatrzymał....

— Co pan chce jechać?

— Naturalnie, nie sposób brodzić po takiej mokradzie, pani już przemokła zupełnie....

— Nawet nie czuję tego, a fiakier może będzie chciał Bóg wie co.

W nieszczęściu takim, a zaraz znać kobietę oszczędną, gotowa brnąć po wodzie i błocie, aby tylko nie wydać na fiakra. Lecz ja okazałem się tu stanowczym, a choć woźnica wymówił sobie najdłużej godzinę jazdy, bo koń jego okrutnie zmęczony, wsadziłem panią do środka wehikułu i powlekliśmy się milcząco na dalszy przegląd. Już nie wysiadała z powozu, ale ja sam zwidzałem napotykanę knajpy i wracałem z tą samą odpowiedzią.

Wyobrażają sobie czytelnicy, jakie podczas peregrynacyi owej, mogły przechodzić myśli po mojej głowie i w jakiej progresyi wzrastała niecierpliwość i złość na Jana, szanowną towarzyszkę, a wreszcie na moje głupstwo.... To ci wlażłem w kabałę ha! a tu widzę niepokój u niej wzrasta i czuję jak od czasu do czasu wstrząsa się febrycznie i oczy jej żarzą się fosforycznym blaskiem.... No, ale jakież będzie koniec temu — nie znajdziemy, bo znaleźć nie możemy, gotowa mi mdleć, historję wyprawiać, a w rezultacie,

trzeba się skompromitować i prawdę powiedzieć. Prawdę powiedzieć, ba, ależ to wstyd podwójny! Raz że taki człowiek jak ja, mający się za poważnego — skłamał, a powtóre, że naraził kobietę na takie niewygody, pozwolił na udręczenia i od dwóch godzin włóczył ją wśród takiej niepogody. — Przyszna, że ciężką była walka, którą toczyłem sam z sobą i cięższe jeszcze wydostanie się z tej matni. Nakoniec przychodzi mi myśl salwowania się jakbądź z honorem. Właśnie stanęliśmy przed piwiarnią na Kopernika ulicy, którą wypadało zwidzieć. Otóż postanowiłem po wyjściu zaproponować, abyśmy pojechali do domu, bo może Jaś tymczasem powrócił. Tak jest, wyborczy pomysł, zapytamy stróża, a że szanowny małżonek rzeczywiście wrócił już po zamknięciu bramy, to powie, że jest... potem obszukamy w domu i znajdziemy go u mnie....

Myśl była genialna, i choć jak wszystkie myśli podobnych do mnie geniuszów w dalszem rozwinięciu nie zawsze konsekwentna, ale przyczepiłem się jej jak pijany płotu i odetchnąłem swobodniej. Tymczasem i w tej ostatniej chwili los figlarz zadzwiał ze mnie, bo gdy ja wszedłszy do piwiarni na mniemany przegląd, zabawiłem chwilkę, pani

siedząca w fiakrze, rozpoczęła na swoją rękę badanie kelnera, który wypadkiem stał przed bramą kamienicy. Z badania tego i z opisu osoby Jasia wynikło, że taki sam pan, tak samo ubrany w futro, kapelusz i białym szaliku, z desperackiem usposobieniem jak się kelnerowi zdawało — był w piwiarni dość długo i przed godziną może wyszedł.

— A nie uważałeś gdzie się skierował? — pyta go pani Janowa....

— Owszem proszę pani widziałem, bo siedłem z nim razem w górę Szeroką ulicą... Ja biegłem do matki po bieliznę, a on poszedł na dół....

— Ku Pełczyńskiemu stawowi?

— Jużci w tamtą stronę....

Właśnie wyszedłem na to i zamierzałem wystąpić z propozycją powrotu do domu, gdy pani zawołała prawie w gorączce....

— Wiem, był, poszedł do Pełczyńskiego stawu.... Na miłość Boską siadaj pan prędko i jedźmy!...

Nie dała mi słowa przemówić, nie słuchała, jak submitował się dorożkarz, że koń mu ustał i po złej drodze do Pełczyńskiego stawu nie zajędzie, ona nie tylko woła: jedź,

jedź, czempredzej, zapłacę co chcesz.... O Matko Boża, ratuj go....

W tem miejscu doprawdy zasłużyłem nie tylko na burę, ale porządne verba veritatis ze strony czytelniczek. Jeszcze nie miałem odwagi powiedzieć prawdy widząc prawdziwą rozpacz biednej kobiety, będącej igraszką zmywy dwóch takich poprostu sowszdrzałów, jakimi byliśmy, Jan i ja.... Koń rzeczywiście ustawał co chwila i włókł pod górę dryndę naszą krok za krokiem — narreszcie dorożkarz stanął i powiada, że dalej jechać nie może. Sąsiadka moja pierwsza wyskoczyła z fiakra i nim zdołałem wydobyć pieniądze z kieszeni i zapłacić woźnicę, ona już spory kawał drogi biegła jak szalona ku Pełczyńskiemu stawowi. Noc była księżycowa, pomimo że chmurna, więc stanąwszy nad wodą można było przejrzeć całą płaszczyznę. Z odkrytą głową, bo chusteczka spadła jej w tył, w rozpiętym futrze, brnąc po rozmięklej ziemi na grobli staw otaczającej, biegła jak sarna załamując ręce i rzucając niezrozumiałe jakieś słowa rozpaczy. Ubrany ciężko w przemokłej zupełnie odzieży, w żaden sposób nie mogłem jej dogonić. Na prośby, wołania moje i zaklęcia nie odpowiadała wcale, choć już napomykałem, że Jaś jest

w domu. Nareszcie zatrzymała się w narożniku stawu i z strasznym krzykiem, zaczęła spuszczać się z grobli ku wodzie.

— Co pani robi! — zawołam, chwyciwszy ją za suknię.

— Jest! pływa, patrz pan.... Jasiu mój drogi....

Rzeczywiście czarny jakiś podłużny przedmiot wystawał w tem miejscu nad wodą....

— Pani — krzyknę trzymając ją z całej siły — Jaś zdrów jest w domu!

— Kłamiesz pan!

— Przysięgam pani na wszystko, mąż pani u mnie, spi na sofie!

— Kłamiesz pan! — odpowiada wyrывая mi się z całej siły. Ja chcę zobaczyć.... puść mię pan zaraz! — to on utopiony.... prędzej, puszczaj pan.... co to jest....

— Dobrze; przekonamy się — mówię prędko wciągając ją na groblę — ale ja sam pójdę do wody....

— Mój drogi panie, jeżeli Boga masz w sercu....

Nie namysławiając się ani chwili, wchodzę zdesperowany do wody i dosięgam owego czarnego przedmiotu....

— Widzisz pani to drewno.... — wołam podnosząc przegniłą kłodę.... i zawracam z nią do brzegu.... — Na miłość Boską uspokój się pani.... Jaś rzeczywiście jest w mojem mieszkaniu, skłamałem przed panią....

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki! — rzecze podnosząc ręce do góry, gdy ja w stanie godnym najwyższej litości ciągnąc owe drewno stanąłem przed nią.

— I pan mnie nie zwodzisz!

— Najświętsze słowo daję — od godziny jedenastej jest u mnie, nie śmiał wracać do domu.... prosił żeby nie mówić pani.

Po tych słowach, biedna kobieta zaczęła nieco przychodzić do siebie, a jednocześnie wyprostowała się jak królowa, jaka przed tronem.

— I pan miałeś czoło, i pan miałeś sumienie! — wyrzekła trzęsąc nademną majestatycznie ręką.... Ach ludzie!...

Nie pamiętam już co bełkotałem na usprawiedliwienie, jak przepraszałem i koryłem się przed słusznym gniewem obrażonej kobiety.... Póki życia mego nie zapomnę tej strasznej chwili upokorzenia mego, tej małości własnej.... Za wszystkie grzechy żywota ukarany zostałem wtedy tak strasznie

że dziś jeszcze czuję wstręt do samego siebie, jak mogłem coś podobnego uczynić....

Próbowałem podać jej rękę — odrzuciła z pogardą i szybko zaczęła biedz na powrót do góry. Ja szedłem za nią tak zmaltretowany i przygnębiony, że nie czułem przejmującego zimna, nie wiedziałem, że woda bulkocze mi i sapi w obuwiu, nie rozumiałem stanu ostatecznego znużenia i wycieńczenia, z jakim ledwie że mogłem wyciągnąć nogi z błota....

Da samego domu, nie wyrzekliśmy ani słowa do siebie. Już była piąta godzina, gdy otworzywszy drzwi od przedpokoju wspólnego, wpadła do mego mieszkania, a chwyciwszy palącą się lampę w pierwszym pokoju, rzuciła się z radośnym okrzykiem Jasiu! Jasiu! — Nowy zawód i nowe zdziwienie moje — Jasia wcale nie było.

— Więc pan skłamałeś! — krzyknie przybiegając do mnie z miną drapieżnego ptaka. — Gdzie Jaś, no, mów pan, gdzie, gdzie.... — pyta chwytając mnie za rękę.

— Jak Boga kocham, jak zbawienia pragnę był tu, sam go ułożyłem na tej sofie, patrz pani jeszcze poduszka została, kołdra jest....

Ale gdzie jej w głowie moje przysięgi i zakłęcia. Była przekonana, że ją zwiodłem i tak rozdrażniona, zaciętrzewiona, iż zaczęłam się rejterować ze strachu za krzesło, aby w razie ataku szalonej kobiety mieć jakiś szaniec przed sobą — rzeczywiście wyglądała jak obłąkana.

Szcześnie usłyszała ten hałas Maryanna, ich służąca i przybiegła do mego mieszkania.

— Pan jest? — pytam ją nagle.

— Jest, już dawno wrócił i spi.

Rzuciła się do drzwi moja towarzyszka, a ja dopiero całą piersią odetchnąłem. Szalona, dalibóg szalona, pomyślałem ściągając ubranie, z którego woda lała się strumieniem. Teraz wierzę, iż go prawdziwie kocha, ale jak mi Bóg miły kwituję z wszelkiej kobiecej miłości....

Naturalnie, że po tak forsownej peregrynacyi, po przebyciu takich moralnych wstrząśnięć, musiałem zachorować. W nocy dostałem febry, rano rozwinęła się gorączka, wezwano lekarza, a ja straciłem przytomność. Co się działo przez kilka dni ze mną, nie wiem, pamiętam tylko pierwszą chwilę opamiętania, w której dostrzegłem kobietą rękę manipulującą coś koło mojej głowy.

Była to ręka pani Janowej, trzymająca pęcherz napełniony lodem, który lokowała na mojem czole.

— Proszę się nie kręcić — rzecze z uśmiechem i radością malującą się na jej surowej twarzy. — Mówić nie wolno!

Rzeczywiście i bez zakazu, trudno mi było jakiegobądź słowo z ust wypchnąć, jednakże zobaczywszy w nogach stojącego Jasia w pozycji głupio zmartwionego człowieka, nie mogłem się wstrzymać aby się nie uśmiechnąć.

— Dzięki Bogu jesteś ocalony mój drogi! — zawołał widząc ten uśmiech, za co szanowna małżonka bez wszelkiej ceremonii wyprosiła go za drzwi.

Choroba się przesiliła, wyzdrowiałem dzięki troskliwej i prawie braterskiej opiece pani Janowej, która przez trzy noce z rzędu nie odstępowała mego łóżka.

— I pani nie było po naszej podróży? — zapytałem kiedy już mówić pozwolono

— Nic a nic. Wstałam rano jak zwykle trochę niewyspana, trochę zakatarzona, ale zdrowa....

Rogata dusza w tej kobiecie — pomyślałem — tego rodzaju podróż jak nasza

podczas owej nocy, wołu by z nóg zwała, a jej nie.

Przez cały czas rekonwalescencji mojej, ani razu nie było wzmianki o całej poprzedniej awanturze, tylko kiedy już wstałem i czułem się prawie zdrowym, pewnego rana wchodzą oboje małżonkowie do mego mieszkania, z miną dziwnie jakoś uroczystą. On czegoś chrząka i chrząka i ręce zaciera, ale oczami manewruje tak, żeby na mnie nie popatrzeć; ona znów z miną poważniejszą niż zwykle podaje mi złożony arkusz papieru.

— Bądź pan łaskaw przeczytać i podpisać.

Zdziwiony co to za akt w tak uroczysty sposób mi podawany, rozwinąłem arkusz i czytałem:

„Daję najświętsze słowo honoru jako uczciwy człowiek i mąż, że od dnia dzisiejszego wszystkimi funduszami moimi zawiadywać będzie żona, i że jednego centa nie zostawię u siebie bez jej zezwolenia, na co przysięgam i w obec świadków się podpisuję. Gdybym zaś którego bądź dnia nie oddał jej całej kasy, lub jakie zobowiązanie przyjął bez jej wiadomości — ma ona prawo dom mój porzucić i żądać rozwodu“.

Pod tym cyrografem stał już podpis Jasia i szwagra pana Bonifacego, jako świadka, więc też i ja się w tak niewinnej sprawie nie wahałem położyć mego nazwiska — co uważałem bardzo się podobało Jasiowi.

— I dla pana zdałby się inny tego rodzaju cyrograf — odzywa się pani odbierając pismo.

— Jakież to? — pytam zaciekawiony.

— Że deklarujesz się ożenić w ciągu jednego roku, aby więcej nie bałamucić cudzych mężów.

— Jeżeli mi pani zaręczy — mówię na to — że znajdzie kobietę tak koohającą jak pani, chociaż trochę....

— Mów pan śmiało, co trochę.... czego się pan żenuje.

— Mniej energiczną....

— Właśnie byłoby źle — odrzekła na to, spoglądając na męża — wy wszyscy dziś prawie jesteście tacy, że potrzebujecie silnej ręki, któraby was, przepraszam za energiczne wyrażenie się, za czuprynę trzymała. Macie wiele dobrych i szacownych przymiotów, macie rozum i pomysłów dosyć, tylko wytrwa-

łości żadnej. Otóż, jak się zdarzy kobieta, która potrafi wypełnić ten brak charakteru waszego — wierz mi pan najlepiej się poddać bez oporu.... Ja przyjąłam bonę do dzieci, która mię w domu zastąpi i w kancelaryi Jasia prowadzę jego rachunki, a mam nadzieję, że złe czasy dla nas niedługo się skończą.

I rzeczywiście nie były to przechwałki ze strony pani Janowej, bo nie upłynęło lat cztery od owego cyrografu, a państwo Janowie przeprowadzili się do własnej kamienicy, którą z pewnem nawet komfortem mój przyjaciel wystawił. Koniecznie chcieli, żebym i ja się tam ulokował, dawali mnie nawet tanie i ładne mieszkanko, ale się wy mówiłem, że zdrowie mi nie pozwala wprowadzać się do nowego domu. Przyznaję pani Janowej wiele, bardzo wiele cennych przymiotów, mam dla niej cześć, jako istoty wyższej od wielu kobiet, ale darujecie czytelnicy nie mogę patrzeć na to ciągle upokarzanie jednego z osobników płci naszej i trzymanie go w takich ryzach.... Dla mnie zawsze jeszcze, podług starego obyczaju, niech żona będzie istotą słabą, wątłą, którą ja, a nie ona mnie ma podpierać, ale nie takim

kochającym Herodem.... Cóż robić, tak przywykliśmy widzieć, choć może to i prawda, że człowiek nie samym tylko sentymentem żyje.

K O N I E C.

WÓJT SZLACHECKI

OBRAZEK Z ŻYCIA DROBNEJ SZLACHTY.

Pan Karol należy do liczby tych idealnie uczciwych ludzi, o których zwykle się mówi: „dobry i pocziwy z kośćcami“. Na dowód, przytoczę tu jeden tylko fakt głośny w całej okolicy, o którym jeszcze do dzisiaj opowiada sobie szlachta na zebraniach i to zwykle po kilku toastach, kiedy wesołe koncepta przychodzą na porządek dzienny.

Miał on jedną parę leniwych i narownych wołów, której trzeba się było pozbyć. Na rzeź niezdatne, ale z powierzchowności okazałej, mogły zwabić kupca jako woły robocze.

— Wielmożny panie — powiada ekonom — pehnać między ludzi, na moją uczciwość nie się na nich nie straci.

— Ależ mój Jagodziński — rzecze kwaśno pan Karol — jakże można kogoś oszukiwać.

— Wyprowadzić na jarmark; tam każdy płaci co widzi, a człowiek za wady nie odpowiada. Zdrowe huncwoty i silne.

— Ej, może lepiej zawołać arendarza i niech weźmie na rzeź; on je zna....

— Bajki, wielmożny panie, na moją uczciwość, ja na to nie pozwolę. Co żyd da?

— Mówił, że po pięćdziesiąt rubli....

— Bodaj on pękł, ten stary szachraj! Toć, wielmożny panie, z zawiązanymi oczami każdy da po sto, a już najgorzej po ośmdziesiąt.... Niech wielmożny dziedzic zda ten interes na mnie, a ja w Kałuszyńie we wtorek wezmę dobre pieniądze. Jeden ma sześć lat, drugi pięć, toż to grzech marnować swoją pracę.... Każdego szkoda przecie, a jeszcze wielmożnego pana, który jest dobry dla ludzi....

Pan Karol się wahał, gdy na to weszła pani Karolowa do kancelaryi, przed którą Jagodziński wytoczył całą sprawę.

— Ale naturalnie, panie Jagodziński, zrób jak radzisz.... Karolu, ty chyba chcesz, abyśmy z naszej Zielonki poszli z torbami. Jak potrzebuję na jaki sprawunek dla siebie czy dla dzieci, to się kurczysz, w głowę skrobiesz, że nie ma, i ja wierzę, że nie ma, a tu ni to, ni owo, jakaś przesadzona

uczciwość, która, wierz mi, jest zabawną. Każdemu na jarmarku wolno żądać co chce, a równie wolna wola kupić lub nie kupić.

Mówiła jeszcze w podobny sposób dość długo, wyprowadziwszy go do drugiego pokoju, aby ekonom nie słyszał małżeńskiej admonicyi, dość, że postawili na swoim, we wtorek woły poprowadzono na targ i pan Karol przyrzekł, iż się do sprzedaży mięszać nie będzie....

Mimo to sumienie pocziwca nie dało mu spokoju, bo chociaż nie zbliżał się na placu targowym do ekonoma, to jednak krążył ciągle w tej stronie i upatrywał, kto też zacznie targować.

Jakoż niedługo, zjawia się nieznany mu zupełnie obywatel, woły ogląda, a ekonom rozpuściwszy na dobre swój język, cuda rozpowiada o onych wołach, jak to chodzą w pługu niby dzieci, jak byle czem się nakarmią, na karki nigdy nie chorują i machną morg, kiedy jeszcze słońko dość wysoko przed wieczorem.

Panu Karolowi, który słyszy te kłamstwa ekonoma, aż niewiedzieć co się robi; ale dał słowo żonie, że mięszać się nie będzie — więc milczy, pięście zaciska i spluwa, jakby się napił piołunówki. Kupujący, jak

zwykle, ofiaruje mniej i udaje, że odchodzi, z czego korzystając pan Karol pociąga go za rękaw.

— Proszę na słówko — mówi, odprowadzając go w tłum ludzi — niech pan nie kupuje, bo to wierutne gałgany do roboty, ja je znam.

Kupujący za przestroge podziękował, ekonoma zwymyślał co się nazywa za fałszywe zachwalania, skutkiem czego woły wróciły wieczorem do domu i wziął je arendarz Haskel za sto rubli, to jest o pięćdziesiąt mniej niż od słowa ofiarował ów kupiec obywatel.

Pan Karol miał niezłą wioskę między drobną szlachtą na Podlasiu i był ofiarą wszelkiego rodzaju ich wyzyskiwań, a zarazem dotkliwych szkód w polach, łąkach i lesie, które mu bracia szlachta sąsiedzi wyrządzali. Biedny polowy, za wszystkie tego rodzaju sprawy odpowiedzialny, w żaden sposób nie mógł sobie dać rady z dopilnowaniem granicy. Przy każdej wiosennej, czy jesiennej orce, trzeba było chodzić za pługiem szlachcica, żeby jakiej skiby z miedzy na swoją stronę nie odwalił; przy koście żeby pokosu nie zakosił, a jak już zboże i trawa podrosły, ani dnia ani godziny nie

miął spokojnej. Tu wpędzili nocą woły lub konie, tu wśród dnia wjechali chłopaki na koniach w owies i niech tylko zobaczą zdaleka rogatywkę polowego, galopem pędzą na swoją granicę, i jeszcze się naśmiewają z pocziwca. Najbardziej jednak irytowały go woły braci szlachty, które jeszcze lepiej znały polowego niż ich pasterze. Zaszedł im z przodu, a tu chłopaki podniosłszy się z miedzy, dalejże chwytąć się ogonów bydła, a te jak podczas gzu w najwyższym pędzie zmykały na swoje pola.

Czasami polowy z ekonomem i parobkami, zrobiwszy formalną wyprawę, schwytali kilka sztuk w szkodzie i z tryumfem wśród oporu szlachty przypędzili do dworu. Ale cóż z tego? Gromada kobiet przychodzi do wielmożnego dziedzica. Pan Karol się zamyka, żeby uniknąć prośb i utyskiwań, one mimo to czekają i stoją przed gankiem całuteńki dzień Boży, póki go nie chwycą, a chwyciwszy tak operują, płaczą, szlochają, mdleją, po nogach całują — że znudzony tem dziedzic, każe wypuścić wśród wielkiego zgorzienia całej służby.

— Ej wielmożny panie — mówi rozniewany polowy — to na cóż tu zajmować, kiedy pan puszcza?

— Mój kochany, twoja rzecz złapać, a moja darować!

Z powodu tedy owej dobroci i uczciwości pana Karola ma on wielki mir między bracią szlachtą, która go jednogłośnie nazywa ojciem; ażeby mu dać jeszcze lepszy dowód swej synowskiej miłości — obiera go swoim wójtem.

Całemi siłami, na jakie stać go było, wymawiał się i wypraszał biedny Karol od tego zaszczytu — to jednak nie pomogło, bo i ekonom i żona stanęli po stronie szlachty:

— Powinieneś przyjąć — mówiła pani — bo to jest obowiązek obywatelski, do którego cała prasa nawołuje.

Ekonom znowu swoje:

— Niech jaśnie pan przystanie, będzie nam łatwiej o wszelakiego, na moją uczciwość, robotnika.

Polowy i gajowy jednogłośnie twierdzili, że chyba u swojego wójta szkody nie będą robili, bo ich się zahamuje.

— Co jaśnie panu szkodzi! — dodawał z powagą arendarz. — Ja znajdę takiego pisarza, co on będzie wszystko pisał wszystko załatwiał, a ja zaraz dam sto złotych więcej za propinację, jak tu będzie gmina.

Ha cóż miał robić — przystał ku wielkiej radości panów braci, którzy przy tej okazji utargowali znizienie składki na kancelaryę i wójta o połowę tego, co dotąd płacili.

Ile biedny pan Karol na urzędzie tym ucierpiał, to tylko wie jeden Bóg i urzędnicy biura powiatu, reperujący wciąż jego usterki służbowe i ratujący go przed odpowiedzialnością i karami naczelnika. Naturalnie, że owe przyjacielskie usługi urzędowe okupywał pan Karol różnego rodzaju wdzięcznością, czy to w postaci śniadań, fundowanych w obeerży powiatowego miasteczka, czy w postaci subsydyów, przesyłanych *in natura* dla zasilenia spiżarni żon tych panów.

Z swej strony znów, bracia sąsiedzi, na rachunek owego ojcowstwa, ciosali mu kołki na głowie i nieraz po za plecami jego, w porozumieniu z pisarzem gminnym, załatwiali krzywe sprawy, za które na pana wójta gruba mogła spaść odpowiedzialność.

Najwięcej jednak urzędowych kłopotów przyczyniała mu pewna wioska z tej gminy, nazywająca się dość dziwnie, bo Urwi-połcie, w której wszystka prawie szlachta

nosiła także nazwisko szlachetnych Urwipołęckich z różnemi charakterystycznemi przydomkami, między którymi jakby na urągawisko jakie był jeden Papież a drugi Szatan. Papieże Urwipołeccy była to szlachta poważna, flegmatycznego temperamentu, odznaczająca się spokojnemi przymiotami i szczególnym darem leczniczym; jeden z nich bowiem trudnił się zamawianiem różnych chorób i słynął na kilka mil w około, jako specjalny zestawiacz połamanych części ciał ludzkich i zwierzęcych. Do onego tedy papieża - doktora, ciągnęły codziennie liczne wózki panów braci, dostarczając klientów z połamanemi rękami, nogami, żebrami lub obojczykami, które pan Jakób z flegmą wprowadził, ale skutecznie do porządku przyprowadzał, wstawiając łupki, wyrobem których trudnił się syn jego Kazimierz. Nawet dwory okoliczne, gdy zachorowało jakie bydło, wzywały pana Jakóba, bo on się znał i na puszczeniu krwi, na zdejmowaniu paskudnika. zakładaniu zawłok, do czego miał już wszystkie weterynarskie instrumenta.

Za to owe szatany Urwipołeccy, to była prawdziwa plaga nie tylko we wsi, ale w sąsiedztwie i po miasteczkach okolicznych, gdzie się odbywały jarmarki. Główny przy-

wódca szatanów, pan Izydor, dawny wojskowy z 1831 r. był to już stary szlachciec, siwy, wysoki, chuderlawy, w rozmowie taki łagodny, pokorny i uniżony, że z początku swego urzędowania pan Karol był przekonany, że to jest sama chodząca niewinność. Pan Izydor trudnił się handlem trzody chlewnej i podług jego zapewnień, zawsze był oszukiwany; synowie tylko zwani szataniakami, odznaczali się gorętszym temperamentem, ale toż samo zawsze byli ofiarą cudzych napaści i, jeżeli zrobili jaką awanturę, to z musu, w obronie własnej.

Wieś Urwipołcie miała ze trzydzieści osad, grunta piaszczyste, jałowe, kamieniste i tak pokawałkowane, że zamożniejszy ów Jakób papież liczył sześćdziesiąt trzy kawałki oddzielne na terytoryum Urwipołć. Jak było spojrzeć na cały obszar pól panów braci, spuszcających się ku granicy majątku pana Karola, to oku przedstawiała się dziwna krętanina esów i floresów, ciągnąca się Bóg wie jak daleko — tak bowiem wiły się granice każdego działu, czyli jak tam nazywają, zagonu szlacheckiego. O miedzach nawet już nie mogło być mowy, a tylko większe kamienie polne zakopane sztorcem, czyli try by, oddzielały jedną posiadłość od drugiej.

Póki śnieg leżał w polu, względny spokój panował w kancelaryi gminnej. Zdarzyła się jakaś sprawa o miedzę w ogrodzie lub przy stawianiu nowego budynku, ale to jakoś przechodziło. Lecz niech tylko pierwszy szlachcic wyjedzie z sochą na swój działek, już jest skarga o naruszenie granicy. Jedź tedy na miejsce, zwołuj świadków, odmierzaj łańcuchem od pewnego punktu granicznego i jeszcze pilnuj, żeby przy owem mierzeniu brat szlachcic nie posuwał kołków naprzód, jak to się często zdarzało, że przy powtórnem sprawdzeniu, jedna i ta sama odległość różne miała rozmiary.

Dla wioski taka komisya gminna stanowila już wielki wypadek dziejowy. Wszyscy rzucali roboty i uważali za swój obowiązek przyłączać się do świty pana wójta i radnych. Gromada tedy starych i młodych mężczyzn i kobiet szła krok w krok, dla rozmaitości dogadując sobie wzajemnie, bo w takiej asystencyi jedna i druga strona miała swych przyjaciół i zwolenników. A w tych docinkach nie zawsze szło o przedmiot sporu, załatwiający się przez komisję, lecz o różne dawniejsze, często ojców pamiętające pretensye wzajemne. — „A jakeś to waćpan (zawsze waćpan) w nocy poprzestawiał tryby,

a wasza kobieta wyjęła z dwojaków mięso, które moja przyniosła na obiad.... Bodaj ten z piekła nie wyrzał, kto to widział.... Był taki, co widział... Ale widział... tyle widział... choć cała wieś wie, że wasza zdjęła z płota mojej przedziwo latosiego roku.... I od owego przedziwa jak w jednej wsi poszła sprzeczka, to skończyła się na strasznej bijatyce, której powaga samego wójta zapobiedz nie mogła. Tarzało się to wszystko w piasku po drodze, rwąc za włosy, bijąc, przeklinając z tak niepoohamowaną zaciekłością, że pan Karol aż uciekł pod studnię i wyciągnawszy własnymi rękami kubeł wody, kazał lać na ową gromadę walczących.

Ze sporami granicznymi w polu jeszcze było pół biedy, ale jak przyszło koszenie łąk, to nie było dnia, aby nie musiał jechać i godzić. — Na łąkach nie ma żadnych znaków granicznych, wieś nie posiadała mapy, tylko każdy szlachcie rozmiar swej łąki miał w szerokości pokosów, czyli w zamachu kosy na prawo i na lewo. Wąsik ma trzy kosiska w tem miejscu, Grobla dwa, ten cztery, ten jedno, a wielu tylko po pół. Początek tych kosisk był tam gdzieś od drogi na końcu wsi, więc jak pewnego pięknego poranku zachciało się któremu szlachcicowi

rozpocząć kośbę — wszyscy ruszali z kosami, aby którego działek przy zamachu sąsiadów gdzie nie zginał.

Okropność pomyśleć, co się tam pierwszego poranku koszenia działo, nim każdy trafił na swój pokos i nie dał sąsiadowi urwać; brzęk kos i krzyki kosynierów mieszały się jak podczas zapalczywej walki, często kończącej się bardzo smutnie. Raz bowiem przed dziesięciu laty, właśnie w tych samych Urwipołciach, jeden zapalczywy szatan, jak kijem makówkę sprzątnął kosą głowę sąsiada papieżaka i drapnął ze wsi, że go już później mimo listów gończych i wszelkich poszukiwań oko ludzkie nie widziało.

Trzeba wszakże tu przyznać, że ta sama drobna szlachta, kłótniwa, awanturnicza, niesforna i cheiwa, gdy szło o sprawę publiczną, dotyczącą całej wsi lub stanu szlacheckiego, zapominała o wszelkich osobistych sporach, a szła jak jeden mąż solidarnie i wytrwale.

Z powyższej charakterystyki gminy pana Karola, czytelnicy łatwo mogą sobie wyobrazić tysiące utrapień i zgryzot, których doświadczał, podejmując się wójtostwa dla dobra publicznego. Ot naprzykład w wigilię

dnia, od którego się opowiadanie nasze zaczyna, szanowny wójt jeszcze leżał w łóżku, gdy budzą go jakieś głosy i dreptania, odzywające się tuż pod oknem. Okiennice były zamknięte, woła więc chłopca.

— Jasiu, co tam za harmider?

— A to, proszę jaśnie pana, zabili kobietę w Urwipołciach.

— Co, zabili?

— A tak gadają i podobno ją tutaj wiozą.... szlachty się tyle zwaliło przed kancelaryą....

Masz tobie — pomyślał Karol — nowy ptaszek.... Panie Boże dopomóż mi skończyć jak najprędzej te trzy lata szlacheckiego urzędu.... Żeby mię piekli, smarzyli w smole i samę niebo dawali, dłużej nie będę.

I zerwał się z łóżka, ubierając czemprędzej, gdy żona z drugiego pokoju dopytuje się o wypadek.

— No, zabili tam jakąś babę.... nowy kłopot....

— Okropność, co ci ludzie robią!... I cóż ty myślisz?

— Ano, trzeba wstać i zobaczyć.... zbójców aresztować.

— Karolku, ja ci wychodzić do nich nie pozwolę....

— Ależ moja droga.... muszę....

— Nie pozwolę.... oni gotowi i tobie co zrobić....

— Dzieciństwo.... cóż to jestem ze słomy.... ot, masz przyjemność twoich obowiązków społecznych.... Bodaj je!...

Żona się jeszcze upierała, żeby nie szedł, ale ją uspokoił i zapewnił, że weźmie rewolwer do kieszeni....

— Ach, jeszcze gorzej Karolku..., może strzelić przypadkiem, w imię Boże idź kiedy trzeba, ale już nie bierz rowolweru.

Wychodzi tedy do kancelaryi, która była na drugim końcu domowstwa, a tu już pełno ludzi i stary szatan jako sołtys z Urwi-
połciów z urzędową blachą przypiętą na pier-
siach u kapoty....

— Znowu awantura....

— Nieszczęście, wielmożny wójcie — mówi, wzdychając.

— I kogoż to zabili?

— Jagusię, moją bratanicę po nieboszczyku Walentym.

— Któż ją zabił?

— A któżby, jak nie papieżak, Wojtek z nad sadzawki. Dziewka pasła indyki, bo

wiadomo, że z matką wdową tę gadzinę utrzymują.

— I tak zabił od razu?

— Od razu to nie, ale jej się nie wiele należy.... Otóż i fura....

Na skrzypiącym wozie, zaprzęgniętym dwoma wołami, w gnojnikach wysłanych słomą wysoko, leżała postać ludzka, pokryta całą grubą szlachecką kapotą. Koło wozu idzie kilka osób; wybiegli także przed ganek czekający w kancelaryi na świadków sprowadzeni, a za wozem stąpa wolno i gorzkie wywodzi żale matka pobitej, szlachcianka już siwa, ale jeszcze żwawa o silnym organie głosu.

Z wielkimi ostrożnościami i ceremoniami czterech mężczyzn wzięło Jagusię na ręce i wniosło do kancelaryi, ułożywszy tak samo z całą delikatnością na ławie. Pan Karol spojrzał; rzeczywiście cała twarz skrzepłą już krwią pokryta, od której włosy w duże plastry są pozlepiane. Raniona ma oczy zamknięte i zdaje się bez żadnej przytomności, bo ani drgnie, prawie że nie oddycha i leży jak martwa.

— Pocóżeście ją tu przywieźli? — odzywa się Karol, ze wstrętem odwracając oczy — lepiej było zawieźć do miasta do

lekarza, możeby jej co poradził i rany opatrzył, a w końcu dałby świadectwo.... Ja widzę, że to jest ciężkie pobicie i sprawę trzeba oddać do sądu.... Jasiek — zwraca się do służącego — zawołaj mi pisarza.

— Już oni tam rajeuja przed karczmą z Jakóbem papieżem i całą gromadą tych rozbójników — rzeczy wzruszając ramionami stary szatan. — Ten, na to mówiący pisarz, to ich koligat....

— Sprowadzić wszystkich.... No jakże to było?...

— Wczoraj wieczorem....

— Jakto, jeszcze wczoraj to się stało? — przerywa wójt.

— Wczoraj, kiedy słońko się już chowało....

— I czy mieliście sumienie, tak ciężko pokaleczoną kobietę, trzymać całą noc w domu bez ratunku.

— A zkadże to biednemu wziąć na doktora i na furmankę.

— Oj, córko ty moja nieszczęśliwa! — zawodzi płacząc matka. — Na co ci to zeszło, na co, że cię ten zbójca świętokrzyski tak poczęstował!

Za narzekaniami matki dopiero poczęły się rozwiązywać języki innych — poważny

i uroczysty smutek ustąpił miejsca odgrózkom i wymyślaniom. Wszyscy mówili, naraz opowiadając jak to się stało, z czego pan Karol tyle tylko mógł zrozumieć, że indyki Walentowej, która się trudni hodowlą tych ptaków, weszły do ogródka sąsiada Wojciecha. Dziewucha chciała je wypędzić, ale on nie dał, jedną indyczkę zabił, a dziewczynę jak zdzielił kołkiem z płota, tak zaraz padła i krew ją zalała.

Nadeiagnęła z pod karczmy gromada papieżaków z winowajcą i z pisarzem, a na końcu tej kalwakaty szedł miejscowy arendarz widocznie skaptowany już dla tej strony, bo idąc z całą energią żydom właściwą, dysputował ze starym papieżem Urwipoleckim, który go raz po raz częstował tabaką.

Pan Karol z wielkiem oburzeniem i niebywałą surowością wystąpił przeciw winowajcy i rozkazał go aresztować. Dwóch szataników z ogromnemi pałkami stanęło też obok niego na straży.

— To nie jest pobicie zwykłe — rze-
cze wójt do pisarza — siadaj pan, spisać
protokół, sprawę z obwinionym odesłać do
sądu, a jednocześnie wysłać konie po lekarza,
jeżeli się on na co tu przyda.

— Wielmożny wójcie — odzywa się na to z całą flagmą przysadkowaty pan Jakób papież — to bagatela!

Jakób Urwipołęcki jest małowownym i ma przysłowie bagatela, ztąd często we wsi obok przydomku papież nazywają go bagatelą.

— Co wasan gadasz mi tu o bagateli! — krzyknie rozniewany pan Karol — kobieta ledwie dyszy....

— Wielmożny wójcie bagatela! — mówi swoje pan Jakób — ja to dzięki Bogu znającą, umyć ją i bagatela.

Pan Karol nie nie odpowiada, lecz z pewnem rozgorączkowaniem chodzi szybkimi krokami po kancelaryi i dyktuje pisarzowi protokół. Stała się cisza niezwykła: na twarzach partyi szataniaków widać uśmiechy tryumfu, pióro pana pisarza skrzypi, jakby orał po papierze a nie pisał, a z ławy jakby dla dodania większej zgrozy całemu położeniu, wydobywa się kiedyniekiedy głębokie westchnienie, połączone z jękiem.

Na twarzy papieżaków widać obawę, delikwent z płaczliwą miną ogląda się na swoich, aby mu z jakąś pomocą przyszli, a stary Jakób znów patrzy na arendarza, głową mu kiwa i podaje tabakierkę z tabaką.

— Z przeproszeniem jasnego pana — odzywa się żyd najśłodszy jak umie głosem — możeby się oni pogodzili.

— Co? — krzyknie Karol — chcesz, żebym zbrodnie ukrywał!

— Broń Boże! ale mnie się zdaje, co tu nie ma żadnej zbrodni, a sąsiedzi to powinni się pogodzić.... Ludzka rzecz, że się ludzie pobijają, a ludzka; co oni się przepraszają.

Stronnictwo szataniaków zrobiło oburzoną minę, nastąpił gwar, papieżaki zbliżyli się ku przeciwnikom, matka pobitej krzyczała, że nie ma zgody, niech idzie do kryminału ten zbójca świętokrzyski, a stary Jakób, gdzie tylko może wsadza już tylko swoją bagatelę, bo do słowa przyjść mu nie dadzą.

— Niech wielmożny wójt wstrzyma pisanie — zawoła obwiniony.

Pisarz zaś szepnął panu Karolowi.

— Prawda, lepiej odesłać ją do lekarza — odzywa się wójt — niech zrobi *visum repertum*.... Nakazać podwodę do Kałuszyna, napisać odezwę do lekarza.

Zgodzono się, że pojedzie pobita na tej samej furmance, ma się rozumieć na koszt winowajcy; wezwanie do lekarza pan wójt

podpisał, Wojciecha zostawiono pod strażą, a szlachta znów z takimi samymi ostrożnościami i ceremoniami wyniosła Jagusię i ułożyła pompatycznie na wozie.

Pan Karol był ciągle rozdrażniony wyrzekał na czem świat stoi na okrucieństwo i dzieciznę tej niby to szlachty, a gdy go zawołano na obiad, nie jeść nie mógł.

Podczas obiadu pokazuje się u drzwi arendarz.

— No co? — pyta żywo — może umarła?

— Po co ma umierać? — odpowiada żyd z uśmiechem — już jest zgoda....

— Tu nie ma żadnej zgody!

— Ny, kiedy jest, i wona odstępuje od skargi.... Wojciech jej dał pięć rubli i garniec wódki....

— I przystała?...

— Co nie miała przystać! Napila się kieliszek esencyi, i taka zdrowa, co nie daj Boże.... Jaśnie panu ja nieraz mówił, co ze szlachtą nie trzeba gorąco brać sprawy, oni się wybijają, potem wypiją i jest zgoda.

Rzeczywiście, dziewczka owa wstała, a gdy jej twarz obmyto wodą, pokazało się, że krew, którą była posmarowana, pochodziła tylko z nosa, bo prócz małego sińca na

ramionach, nie było żadnego większego obrażenia. Cała komedia miała za cel wytargowanie wyższego wynagrodzenia, i dla tego papieżaki długo mieli urazę do pana wójta, że ich protokołem nastraszył, i przez to wyciągnął aż na pięć rubli straty.

Pominąwszy wszystkie tego rodzaju utrapienia pana Karola z Urwipołciami i niesforą w nich szlachtą, miał on tam jedną głębszą i ciągle jęczącą się ranę w postaci folwarku, a właściwie dużej części szlacheckiej, leżącej w terytorjum Urwipołciów.

Folwarczek ten, obejmujący około dwieście morgów, z dworem nibyto obywatelskim i obszernemi zabudowaniami, należał do jednego zamożnego pana, mieszkającego w innych stronach i wypuszczony był w wieczystą dzierżawę z dość wysokim czynszem. Tytuł własności zapisany jest na dzierżawcę; a były właściciel ma zahipotekowaną rentę ze stosownemi obostrzeniami. Pozorny dziedzic emfiteutyczny zbywając ten folwark drugiemu, właściwie tylko odstępował zabudowania i zasiewy, bo ziemia w obec płacenia podatków i czynszu nie miała żadnej wartości.

Otóż takie to niby dziedzictwo za tanie pieniądze, stanowiło lep dla różnego rodzaju

aspirantów do stanu obywatelstwa ziemskiego, a głównie wabiło młodych z małemi funduszami świeżo wypuszczonych ze szkoły agronomów, pragnących z tytułu tego dziedzictwa dobrze się ożenić. Lecz jakież tego rezultat? Taki, że jeden i drugi podobny fryc, wpakowawszy co miał funduszu na uporzędowanie domu, ładne koniki, ekwipaż kawalerski, a trochę na inwentarze i tym podobne akcesorya do ożenienia, gdy to nie dopisało, w rok albo dwa umykał z Urwi-
połciów z resztkami, lub szukał w Warszawie podobnego sobie amatora.

Ale niechby się wynosił — Bóg z nim, gdyby tylko podczas władania, nie prowadził z bracią sąsiadami zawziętych wojen o naruszenie granic, o szkody, kradzieże i inne dokuczliwości, co wszystko ostatecznie koncentrowało się w kancelaryi gminnej. Niechby uciekał, ale przynajmniej popłacił należące podatki skarbowe i gminne! A właśnie, że zawsze bywało inaczej. Na przykład w tym czasie, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, jeden z takich dziedziców, były właściciel sklepiku z wiktuałami w Warszawie, który za uciulanę kilkanaście tysięcy złotych polskich zapragnął używać rozkoszy obywatelskiego życia — czmychnął, zostawiając

cztery kąty i piec piąty na satysfakcyę nie-tylko czynszu, ale i grubej kwoty zalegających podatków. Pięć excytacyj. każda groźniejsza, przyszły już z powiatu o owe zaległości z Urwipolciów, a tu nie wiadomo, co na gruncie zabierać. W sub-dzierżawę gruntów szlachta brać nie chce, bo na co im płacić, gdy i tak mogą sobie hulać na nich jak się podoba; budynków samych sprzedawać nie wolno. zasiewy oziminy jeszcze nie wiadomo jak się pokażą, a tu naczelnik powiatu piecze i powiada: zapłacisz panie wójcie, skoro dopuścilesz, że dłużnik rucho-omości usunął i sam drapnął.

Biedny pan Karol aż zmizerniał i żółkł, gryząc się tą sprawą. bo to nie bagatela administrować pustką i zapłacić Bóg wie za co około półtora tysięcy złotych polskich. Właśnie otrzymał już szósty nakaz i siedzi nad nim w kancelaryi odczytując kilka razy, gdy otwierają się drzwi i wchodzi młody jeszcze, bardzo porządnie ubrany mężczyzna, brunet, wysoki, z czarnemi wąsikami i pięknie ułożoną hiszpańską bródką. Pan Karol powstał z krzesła, a nowo przybyły stanawszy przed nim, zaczyna mu się dość natarczywie i z uśmiechem na ustach przypa-trywać.

— Z kimże mam honor? — przebąkuje pan wójt nieco zażenowany.

— Jakto? nie poznajesz mię Karolu?

— To jest... — odpowiada — właściwie... tego... nie mogę sobie przypomnieć.

— A pamiętasz Jakubowskiego u którego stałeś na stancyi w Kielcach? Pamiętasz pannę Marcelinę dla której kupowałeś cukierki?

— Hm... to jest — mówi coraz bardziej zakłopotany, oglądając się na drzwi sąsiednie z których mogłaby ich słyszeć żona — pamiętam....

— A Deręgowskiego, a Faję, a Palucha... no, przypomnij sobie.

— Wszystkich pamiętam dalibóg, ale pana dobrodzieja ...

— Cóż u kaduka, żeby zapomnieć kolegę z jednej klasy? Czy się tak bardzo zmieniłem?... No, jakże Ildefons Krzykiewicz... Niechże cię uściskam Karolu! — woła wyciągając ręce i wpół go obejmując.

Nasz wójt, jakkolwiek jeszcze nie może sobie żadnego Krzykiewicza przypomnieć, jednak w obec tak oczywistych dowodów koleżeństwa i z uwagi, że to dwadzieścia lat od tego czasu minęło, daje się po kilkakroć

ucalaować i sam za te uściski wzajemnością odpłaca.

— Bądź że łaskaw, siadaj! — mówi wskazując mu fotel — dziwna rzecz, że ja też mogłem zapomnieć.

— A jabym ciebie wśród nocy poznał... Choć się zmieniłeś i zmężniałeś, ale przed oczyma mojemu mam jeszcze tego samego rumianego, puciołowatego Karolka z wydumą jasnych włosów nad czołom. A co, widzisz, jeszcze ta sama wydma jest... — mówi prędko Ildefons przypatrując się z niekłamana radością koledze. — Tak to tak, góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze.... Dziwisz się zapewne co tu robię na odludnem Podlasiu, dla tego mam honor ci powiedzieć, że od kilka dni zostałem twoim sąsiadem....

— No, gdzie i jak?

— Kupiłem Urwipołcie....

— Kto, ty?

— No ja, jak mię tu widzisz i oto masz wyciąg hipoteczny kontraktu kupna.

— Chwałaż ci panie Boże! — rzecze naprawdę ucieszony tym faktem pan Karol myśląc, że skończyła się jego bieda wójtowska i podatki będą zapłacone. Przy tych słowach uściskał jeszcze raz kolegę, co on

wziął za dowód serdeczny jego radości z przyszłego sąsiadowania.

Nowy dziedzic Urwipołciów jest bardzo ruchliwą i energiczną osobą, mówi prędko, gestykuluje dosadnie a z taką pewnością, że potulnemu Karolowi tem wszystkiem imponuje.

— Gałganństwo to podobno, ale mię to mało obchodzi. Adwokat mój powiedział: daj pan czterdzieści tysięcy i dałem.

— Zmiłuj się czterdzieści tysięcy, tak na niewidziane, ależ to przepłacone!...

— Mnie się zdaje, że nie — odpowiada ze znaczącym uśmiechem — wszak coś siedm włók ziemi, dwór, budynki, zasiewy, zresztą jest tu rzecz inna.

— Ależ płaci się czynsz po pięć złotych z morga....

— Mała rzecz, u mnie w Lubelskiem płacą po 10 zł., a tu, niedaleko Warszawy.... Być może, i to nie będzie, ale — tu przysunął się bliżej do Karola, i szepcząc, kładł mu do ucha: — Na jesieni pójdzie tędy kolej, stacya stanie na moim gruncie, ale o tem na miłość Boską sza.... Telegrafem dano mi znać z ministerstwa. i o tem, prócz nas dwóch, nikt jeszcze nie wie. Skoro tylko dostanę bliższe szczegóły kierunku, mam

zamiar wykupić wszystkie grunta szlacheckie, a wtedy będzie interes.... Głupstwo, gospodarować tu nie myślę, a pomieszkam, dopóki się interes nie skończy, ot po prostu, dla przyjemności sąsiadowania z tobą, mój drogi, kochany Karolu.... Bodaj to szkolne czasy! Człowiek do nich wraca się zawsze z najwyższą rozkoszą.... Ach! jakże się cieszę że cię znalazł po tylu latach.... Słyszałem, powodzi ci się dobrze, żonę masz anioła.... jak dotąd jeszcze baraszkuję nie żonaty.... Dzięki Bogu, rzuciłem się na interesa, i jakoś idzie.... Na tych Urwipołciach spodziewam się zarobić sto na sto....

— Daj ci Boże.... ale jakoś....

— Eh, bo wy szlachta na wsi, siedzicie tu jak ślimaki w skorupie! Co w tej roli wyrobisz? Maciek zrobił, Maciek zjadł.... wiem ja to wiem; próbowałem przez sześć lat, i niech kaci porwą owe codzienne ujadania się z Maćkami, Bartkami, Herszkami... Odwagę tylko mieć, a rzeczy inaczej pójdą....

Feniga nie dałbym za to, że całą tę rozmowę męża z nowo odkrytym kolegą słyszała siedząca w sąsiednim pokoju, szanowna małżonka pana Karola, i w pamięci jej musiało utkwieć owo anielstwo, którem ją Krzykiewicz poczęstował. Kobiety w ogóle są

ciekawe, a pani Karolowa należała właśnie do najciekawszych, dla tego też nie mogąc dłużej wytrzymać, uchyliła nieco drzwi do kancelaryi męża, i rzekła cieniutkim głosem:

— Karolu, proszę cię na momencik.

Mąż pospieszył na wezwanie, i¹ gdy drzwi szerzej otworzył, pani miała sposobność obejrzenia dokładnie nowego dziedzica Urwipołciów.

— Kto to?

— Nabywca folwarku w Urwipołciach, nazywa się.... bodajże cię, zapomniałem.... Krzywkowski.... czy coś podobnego.... powiada, że mój kolega szkolny, ale ja sobie nie mogę przypomnieć.

— Porządny jakiś człowiek i przystojny....

— Zdaje się....

— Może go zaprosisz na śniadanie? wypadaloby i na obiad zatrzymać....

— Eh.... przyjechał z interesem.

— Zlituj się, jakże ty jesteś niegościnny.... kolega, sąsiad.

— No dobrze, zresztą jak chcesz....

Pan Karol już zabierał się wracać do gościa, gdy pani go znów zatrzymuje.

— Jak ci się zdaje, czy można omlet podać na legominę....

— Podaj co chcesz....

— Do śniadania nie wyjdziemy z Aurelką, dobrze?

— Dobrze.

W kwandrans potem Szymek, ubrany w nowy surdut liberyjny, po swoim znacznie roślejszym poprzedniku pozostały, zaprosił panów na śniadanie, przy którym, wbrew umowie z mężem, pokazała się sama pani z kuzynką Aurelią. Nastąpiły przedstawienia, przy których nowy sąsiad bardzo się dobrze umiał zachować, a że na śmiałości mu nie zbywało, więc tak omdlewająco-czułe wodził spojrzenia za ową Aurelką, już nie pierwszej młodości panienką, tak często uciekał się do całowania rączek gospodyni, że to nawet zaczęło razić samego Karola.

Ildefons kompletnie nadał się do naszych kobiet i to tak, że w dwie godziny byli z sobą jakby się nie wiem od wielu lat znali. Panie lubią dużo mówić, i jemu też język nie chodzi w pantoflach, pogadanka tedy idzie gwarno i żywo do samego obiadu. — Po obiedzie nowy sąsiad zasiadł do fortepianu, a choć nie jest mistrzem w tej sztuce, jednakże gra z uczuciem i śpiewa, tęsknie o czarnych oczach, które go wszędzie ścigają i mącą błogi spokój duszy....

Przed wieczorem pani Karolowa, wia-
wszy męża na stronę, szepnęła kilka słów
do ucha, na mocy których wystąpił on z for-
malnem zaproszeniem kolegi, aby do czasu,
dopóki się nie urządzi w Urwipołciach, ze-
chciał ich dom przyjąć za stałą siedzibę.

— Ztąd małe pół milki, więc możesz
codziennie dojeżdżać i zarządzić, co potrzeba,
a potem do nas na obiad i na noc....

Do prośb męża przyłączyła i pani swoje,
tak, że mimo uporczywego zrazu odmawia-
nia, musiał Ildefons przyjąć ofiarowaną mu
sąsiedzką gościnę.

Około dziesiątej, gdy już zaprowadzono
Ildefonsa na noc do jego pokoju, rozpoczęła
się gawędka o nim.

— Bardzo przyjemny człowiek — mó-
wi Karolowa — znać zaraz, że coś lepszego.

— Miłe będziemy mieli z niego są-
siedztwo — dodaje Aurelia. — I wzięcie się
i sposób prowadzenia rozmowy i ta natu-
ralność dystyngowana.... bardzo, a bardzo
przyzwoity, wykształcony, postępowy....

— Przytem pogład na rzeczy zdro-
wy.... Cóż ty się uśmiechasz Karolu? — py-
ta żona.

— Ja wam powiem prawdę, że wygląda
na blagiera....

Zakrzyczały go obie: „A co też ty mówisz, jakżeż można.... U ciebie tylko Dyrdaśński porządny, dla tego, że ma kilkanaście tysięcy gotówki, i że mówi impertynencye pod pozorem prawdy. Wstydźże się Karolku... o koledze szkolnym tak się odzywać.

— Otóż to z tem koleżeństwem, nie mogę sobie przypomnieć.... Coś, coś jest; wszystkich zna z owych czasów, mnóstwo okoliczności drobnych pamięta, i fizyognomia jego coś mi znana; ale to imię, szczególnie nazwisko Krzykiewicza, zupełnie obce.... Przecieżbym sobie przypomniawszy....

— Mój Karolku, pocóżby i na co chciał cię mistyfikować! Taki człowiek porządny; dość spojrzeć na jego szyk i zachowanie się.... Zapomniałeś, jak wielu rzeczy się w zajęciu zapomina.

— Ale i to kupno Urwipołciów wydaje mi się dziwnem. Pokazywał mi kontrakt....

— No, cóż więcej chcesz?

— Dał czterdzieści tysięcy złotych....

— No widzisz, widzisz, że musiał mieć, skoro dał....

— Właśnie, że to i dwudziestu nie warte. Wprawdzie szeptał mi pod sekretem, że tedy z pewnością pójdzie kolej na wiosnę, że tam z ministerstwa ktoś go zawi-

domił, jako w Urwipołciach na jego gruncie ma być stacya....

— Bardzo być może — wtrąca Aurelia — z jego rozmowy widać, że ma znajomości liczne i stosunki w sferach wyższych.

— Dobrze, ale na cóż płacił 40 kiedy mógł kupić za połowę.... Albo głupiec, albo coś w tem jest....

Długo jeszcze rozmawiano na ten temat, i w końcu tyle dokazały panie, że Karol dał się przekonać, a nawet zaczął sobie czynić wyrzuty, dlaczego tak lekkomyślnie śmiał podejrzewać szkolnego kolegę. — Z swej strony obie przyjaciółki unosiły się nad Ildefonsem, snując różne projekta na przyszłość, naprzykład w tym sensie, jakby to było dobrze, gdyby Aurelia mogła zostać sąsiadką pani Karolowej, o czem pierwsza stanowczo wątpiła a druga również stanowczo nie wątpiła....

— Aurelciu, wierz mi, ja mieszam bardzo szczęśliwe przecucia.

— Nie dla mnie to wszystko — odrzekła ciężko wzdychając kuzynka. — Mam swoje takie szczęście, że kto mi się podoba, to ja mu się nie podobam, a przeciwnie znowu każdy starający się dotąd wstręt wzbudzał we mnie....

— Teraz będzie co innego... i pamiętaj, co ci przepowiadam....

— Zresztą za mało go znamy. Podobą mi się, ale do takich przypuszczeń daleko....

Co myślał Ildefons, wylegając się na puchach pod atłasową kołdrą, tego nie wiem, lecz wiem, że Szymek niedawno pasowany na lokaja ogromnie się dziwił, jak ten pan przyjechał tutaj, kiedy ani furmanki nie było, ani żadnego tłumoka z rzeczami.

Nazajutrz bardzo rano, w tym samym stroju salonowym, wyjechał nowy dziedzic na obejrzenie swego dziedzictwa. Po drodze zaraz porobił mnóstwo znajomości, to z szynkarzem w wiosce pana Karola, to z pisarzem gminnym, to z gajowym, którego spotkał w lesie, a wjeżdżając w granicę swej posiadłości, naprzód zatrzymał się przed arendarzem.

— Słuchajno, potrzebuję porządnego ekonoma i nie złodzieja. Zapłacę dobrze, ordynaryę sutą dam, ale musi być człowiek pewny, z kaucyą. Ja tu nie myślę na takim maleństwie stale zamieszkiwać, wszystko oddaję w ręce, więc zabezpieczenia potrzebuję... Dalej wyszukać mi także stangreta, tylko uważasz z miną, żeby nie siedział na koźle

schylony jak grzyb i nie drzemał.... Służba, to służba — płacę, ale wymagam.... Urwipołcie dla mnie to na śniadanie....

Jadąc już przez wieś, kazał sobie zawołać sołtysa:

— Wasan sołtys?

— Tak.

— Otóż, panie sołtysie, proszę powiedzieć sąsiadom, że ja kupiłem Urwipołcie — nie na to, żeby tu siedzieć i kłócić się z bracią szlachtą, ale żyć w zgodzie i dobrej komitywie.... Grunta dla mnie bagatela, mogę powypuszczać szlacheie, proszę więc nich się głosi, kto potrzebuje....

Ildefons miał klucze od pustego dworu, pootwierano tedy okienice, arendarz dostarczył kilku krzeseł i stolika, na którym rozłożywszy mapę, dowiedział się, gdzie co jest zasiane oziminą, gdzie konieczyna, a gdzie wypada pole pod jarzyny.

Wieść o przyjeździe nowego dziedzica rozbiegła się prędko po wsi i zaraz na wezwanie sołtysa stawiło się kilkunastu szlachty z tem uprzedzeniem, że to jakiś bogaty pan z Warszawy, a naturalnie fryc gospodarski, z którego można pociągnąć. Częstując panów braci wódką, prowadzono targi o wysokość czynszu wynająć się mających gruntów

na obsiew letni. Szlachta zmiarkowawszy, iż pan Ildefons nie zna się na tem, zaczęła ganić, że to wyjałowione ziemie, że i wilgotne i brat brata ledwo urodzi, zatem ugodzono się bardzo tanio.

Jak raz w sąsiedniej wsi mieszkał na bruku pochodzący z drobnej szlachty ekonom, którego arendarz sprowadził. Jest to niemłody już wyjadacz ekonomski, służbista na oko, wygadany, chwalcący się, lecz tak dalece znany ze swego hultajstwa w całej okolicy, że od roku nie może znaleźć nigdzie miejsca. — Panu Ildefonsowi podobał się jednak, chociaż nie miał więcej jak dwieście złotych gotówki na kaucyę, a za to cztery krowy i parę koni do postawienia na pańskiej oborze.

Trzeba mieć tak osobliwszy dar prędkiego kaptowania sobie ludzi i taką bystrość w obejmowaniu interesów, żeby do południa pozalać tyle spraw ważnych, ile ich nowy dziedzic załatwił. I umowy o grunta spisał i kontrakt o kupno zboża na siew wiosenny zrobił z arendarzem i wynajął oraczy, ugodził stangreta mającego wasy na pół łokcia, a w końcu w towarzystwie nowego sztabu obejrzał cały dom, zadysponował potrzebne raperacye, kupno drzewa na

opał i naprawę ogrodzeń. Arendarz, widząc że mu tak wszystko łatwo i tanio idzie, oświadczył się jeszcze z chęcią wydzierżawienia sadu, kupił siano z jednej łąki i pokazał się na tyle delikatnym że płacąc za to wszystko nie potrafił nawet za wódkę, dostarczoną dla poczęstowania sąsiadów.

— Za tydzień — mówi żegnając nowych znajomych — przyjdą tu meble z kolei, po które trzeba posłać sześć furmanek. Panie Otrębiński, zostawiam ci klucze, proszę cię, rządz, siej i gospodaruj, jakby dla siebie.... Gdybym nie przyjechał za tydzień, bo jeszcze muszę być w tamtych dobrach w Lubelskiem, niech wszystko idzie swoim porządkiem.... A rachunki prowadzić skrupulatnie, dopilnować, żeby zboże do zasiewu było czyste i zdrowe — ja płacę, jak się należy i wymagam, żebyśmy miał każdą rzecz jak się należy.

Pan arendarz chciał coś wspomnieć o zadatku, ale pan Ildefons już siedział na bryczce pana Karola i kazał jechać, bo tam z obiadem na niego czekają.

Pomimo uprzejmych zapraszań, żeby pozostał dłużej p. Ildefons, zaraz po obiedzie wyjechał do Warszawy, wymawiając się bardzo ważnemi interesami. Tymczasem w całej

okolicy gotowało się jak w garnku na wiadomość o nowym dziedzicu Urwipołciów. Pani Karolowa z Aurelią tryumfowały, rozpowiadając wszystkim, jaki to miły i wykształcony człowiek, jaki bogaty, jaki dobroczynny i jak sobie upodobał dom państwa Karolów, zapewniając, że nigdzie więcej bywać nie będzie.

W tych stronach, obywatelskich kawalerów jest nie wielu, a panien na wydaniu za wiele; można sobie zatem wyobrazić, ile zajmowano się osobą nowego sąsiada, ile tworzono projektów, pokładano nadziei.

Upłynął tydzień, furmanki wyprawiono do kolei po meble — a tu mebli nie ma. Upłynął drugi tydzień, o nowym dziedzicu ani słyhać. Pan Karol niepokoi się o podatki, pisze list za listem do niego — i pieniędzy nie ma i odpowiedzi nie ma.

— Załóż za niego — mówi żona — musiał albo gdzieś nagle wyjechać, albo jakiś wypadek mu się przytrafił....

— Oj, coś mi się to nie podoba....

— Fe, Karolku! jak można coś podobnego przypuszczać o tak porządnym człowieku i koledze.... No przecież kupił Urwipołcie i zapłacił, czytałeś akt, cóż tu jest

ryzykownego; przyjedzie, to ci wróci z podziękowaniem.

Karol usłuchał żony i sprawę podatków jak było można załatwił, przyjawszy niejako moralny nadzór nad Urwipołciami.

Nowo przyjęta służba z początku radziła sobie jak mogła, lecz gdy upłynął miesiąc, a dziedzica nie ma, każdy zwracał się do pana wójta po radę, jako do przyjaciela jego i kolegi. Tu trzeba na robotnika, tu nowy ekonom i stangret jeść co nie mają, żyd mało się nie skreśli o swoje pieniądze, które zaliczył na zboże, a Karol uspokaja, obiecuje i nawet drobnemi kwotami wspomaga, bo panie znów powiadają, że nie wypada dopuścić, aby gospodarstwo szło na marne.

Nakoniec we dwa miesiące, gdy już nadchodziły żniwa, zjawia się, nie wiadomo jak i z kąd, nasz Krzykiewicz. Cały obszyty białemi tasiemkami, jakby karawaniarz jaki, blady, zmizerowany i przygnębiony, uwiadamia ledwo słyszonym głosem, że stracił najukochańszą matkę, która po długich cierpieniach skonała za granicą na jego rękę: obie panie z twarzami smutnie nastrojonemi pocieszały jak mogły sąsiada, który jednakże nie dał się niczem ukoić, a opowiadając

wszystkie najdrobniejsze okoliczności tej strasznej katastrofy, okazywał prawie niemiłą rozpacz.

Naturalnie, że w obec takiego stanu umysłu pana Ildefonsa, nie trzeba mieć serca i jakiegobądź pocucia prostej litości, by mówić mu o interesach. Przygnębiony i prawie znieczulony na wszystko, pojechał on do swego majątku, z nikim nie chciał mówić, z nikim widzieć się, lecz zamknąwszy się w swojej stancyjce, do której trochę mebli przysłano mu z dworu pana Karola, siedział parę dni i nocy samotny, modląc się i płacząc przy wielkiej stearynowej świecy, którą na pamiątkę z pogrzebu nieboszczki matki przywiózł z sobą.

I tutaj pan Karol jako prawdziwy przyjaciel i kolega — otoczył go swoją opieką. Przyszły żniwa, a choć tego zboża nie było wiele do zbioru, to zwołał szlachtę, przemówił do nich, prosząc, aby pomogli nieszczęśliwemu i zajęli się żniwami, za co on ręczy, że otrzymają stosowną zapłatę... Tymczasem, gdy już oziminę żęto i złożono w półkopki, zjawił się przyjaciel, czy krewny pana Ildefonsa, i po naradzie z panem Karolem, objął chwilowo zarząd. Jegomość ten, już nie pierwszej młodości, wychowany na

Węgrzech, dla prędszego przygotowania zboża do siewu, kazał kłósować snopki na polu, a resztę zwoził do stodół.

Wprawdzie miejscowemu arendarzowi nie bardzo podobała się taka manipulacja, zwłaszcza gdy zboże wymłócone wyprowadzono do miasteczka na zamianę za lepsze gatunki do siewu; lecz cóż miał robić, gdy z panem Ildefonsem niepodobna było przyjść do ładu. — Nagabywany, zdawał się nie pojmować, o co rzecz idzie i odpowiadał w tak oryginalny sposób, że i on i ten nowy przyjaciel zaczęli się obawiać o stan jego umysłu. Teraz już się nie modlił, tylko nocami chodził po polach i pisał coś w wielkiej księdze, którą przywiózł z sobą z Warszawy.

Nareszcie sprzątnięto wszystko i robotników zapłacono, a w stodołach rozpoczęła się młocka jarego zboża. Pan Ildefons, zawsze milczący i ponury, ani razu nie zajrzał do pana Karola, lecz siedział w stodole, słuchając monotonnego uderzenia cepów, które jak utrzymywał sprawiają mu pewną dystrakcję i nieco uspakajają.... Wymłócony groch, którego było kilkanaście korcy, oddano arendarzowi na rachunek jego należitości, o którą zaczął się już energicznie do-

pominać, a że panu Ildefonsowi zrobiło się gorzej, pan Karol i nowy rządca wymogli na nim, że pojedzie do miasta gubernialnego, stanowczo się poradzić doktora. Była to sobota i dzień następny wolny od zajęć gospodarskich, zatem w wygodnym powozie, z całą możebną troskliwością ruszyli na noc. — Lekarz znalazł chorobę Ildefonsa bardzo niebezpieczną i kazał zatrzymać się przez parę dni w mieście dla dalszych obserwacyj — jednym słowem, źle. Ale to już na świecie bywa, że jak na kogo zaczną się walić nieszczęścia, to walą się bez końca i miary. Tak też było z Ildefonsem; bo gdy on jęczał w hotelu, dręczony szalonymi nerwalgicznymi bólami, jakaś zła ręka podłożyła ogień w zabudowaniach gospodarskich w Urwipołciach. Była godzina jedenasta w nocy, kiedy znać dano panu Karolowi; ale wiadomo jest, co to na wsi mówić o ratunku. Spłonęła stodoła ze zbożem, obory, spichlerz, a nawet bryczka i parę koni ekonomicznych.

— To już prawdziwie nieszczęśliwy człowiek — mówiła pani do męża, gdy wrócił nad ranem do domu.

— Widocznie ktoś podpalił, bo pierwszy ogień pokazał się ze środka. Trudno, żał mi

go, ale co będzie z podatkami. Myślałem, że z nowego odbiorą, a tu wszystko z dymem poszło.

— Czy nie był ubezpieczony?

— Otóż tego nie wiem. Budynki były, bo to jest obowiązkowe, ale ruchomości pewnie nie....

Nazajutrz tedy pierwszą rzeczą było zapytać się pisarza gminnego, czy nie wie co o ubezpieczeniu krestencyi.

— A jakże proszę wielmożnego pana, było ubezpieczone wszystko i polica dawno nadesłana.

— Wysoko?

— Coś piętnaście czy dwadzieścia tysięcy złotych.

— Pan kpisz, czy o drogę pytasz! — zawoła zdziwiony Karol — całe Urwipołcie tyle nie warte....

— Podobno mieli ładne zbiory — ciągnie swoje pisarz, ze skromnym wzrokiem zwróconym na podłogę. Żyta coś trzysta kóp, pszenicy coś.... ale jarzyny, to coś dużo....

Okoliczność ta jakoś dała wiele do myślenia panu Karolowi. Wysokie ubezpieczenie, pomimo choroby i apatyi Ildefonsa, tu jak raz pożar, tu wyjazd, i ogień podłożony.... coś, coś zaczęło mu się to niepodobać, ale

milczał, bo za najnniejszą wzmianką o tym przedmiocie, obie kobiety chórem występowały z obroną nieszczęśliwego i wyrzucały mu nieuczciwe posądzenia kolegi i od losu prześladowanego człowieka.

W parę dni po tym wypadku, przyjechała komisya śledcza z powiatu, której asystował ów rządcą, przyjaciel Ildefonsa. On sam dowiedziawszy się o nieszczęściu, nie miał odwagi spojrzeć na swoją ruinę, a jako ciągle rozdrażniony pojechał wprost do Warszawy.

Naturalnie, że śledztwo znalazło wsszystko w porządku. Pożar z niewiadomej przyczyny w czasie nieobecności właściciela i rzecz skończona. Skonstatowano z regestrow, bardzo skrupulatnie własną ręką Ildefonsa prowadzonych, że tyle a tyle było kóp, tyle a tyle gotowego ziarna, obliczono wartość paszy i uformowano cyfrę strat, w obec której pan Karol aż wziął się za głowę, lecz milczał. Za trzynaście tysięcy złotych miało tam być zboża. Jak Urwipółcie Urwipółciami, połowy tego nigdy nie było.... Po wsi chodziły pogłoski o owej świecy z pogrzebu matki pana Ildefonsa, która gdzieś zniknęła, a która mogła się palić dwa dni i dwie noce; ale przyjaciel pana Ildefonsa pod sło-

wem honoru zapewniał, że wzięli ją z sobą wyjeżdżając, bo biedny chory jako pamiątkę po matce, postanowił nigdy się z nią nie rozstawać.

Znowu w parę dni zgłosił się pan rządcą do Karola z rozpaczliwym listem z Warszawy, że Ildefons umiera i że on musi sam jechać natychmiast. Koni nie było w Urwipołciach, więc prosił pana wójta, aby posłał po kogoś na wieś w celu najęcia furmanki do stacyi kolejowej. Jakoż niedługo wynaleziono takową i on spiesząc się do przyjaciela, natychmiast udał się w drogę.

W kwadrans może po jego oddaleniu się, zajeżdża bryczka pocztowa przed kancelaryę gminną i jakiś otyły jegomość, cały spocony i zaaferowany wpada do pokoju.

— Gdzie pan wójt?... gdzie wójt?... potrzebuję natychmiast z nim się widzieć!

— Ja jestem — mówi Karol, również zniecierpliwiony.

— Dobrodzieju! ojciec — woła, składając ręce — ratuj biednego człowieka.... Dzieci sześcioro, jak Boga kocham, drobiazg ot tyle, tyle.... Ja się chyba powieszę, jestem zgubiony, okradziony, oszukany, zwałtrowany!

Długi czas upłynął, nim rozżalony i zdesperowany przybysz, mógł przyjsć do jakiegoś ładu ze swojemi myślami i słowami. Pan Karol nie rozumiejąc, co on chce od niego i nad czem tak rozpacza, wprowadził go do prywatnego mieszkania.

— Przepraszam, któż pan jesteś?

— Za pozwoleniem, ja sobie prosty szewc. Ot, niech pan dobrodziej patrzy na moje ręce, jak wychlastane od dratew.... Bóg świadkiem, pracowałem ciężko, a te łotry wzięli mi dziesięć tysięcy złotych ciężkiej pracy.

— Kto panu wziął?

— A ten cukiernik, jak go tam, Krzykiewicz, ten co tu ma dobra u pana dobrodzieja, Urwipołcie.

— Jeżeli mowa o panu Ildefonsie Krzykiewiczu, to pan się mylisz. Ja go znam od dawna, jeszcze ze szkół. Jest synem obywatelskim, człowiekiem porządnym choć nie-szczęśliwym....

— Fałsz, panie dobrodzieju! on i pana oszukał. Dziś już wiem wszystko: był chłopcem w cukierni w Kielcach i wypędzili, był w handlu zboża — wypędzili, był Bóg wie czem, aż w końcu w jakimś kantorze

sług na Podwalu i z tego mnie oporządził razem z przyjaciółmi swojemi.

Pan Karol uderzył się w czoło. W tej chwili bowiem przypomniał sobie, że widział rzeczywiście chłopcem Ildefonsa w cukierni gdy chodził do szkół i mieszkał w tym samym domu, w którym mieściła się owa cukiernia. Odkryła się tedy zagadka, z kąd on mógł znać jego i różne szczegóły ówczesnych stosunków szkolnych w Kielcach.

— Zebrałem dziesięć tysięcy złotych oszczędności. Namówili mię, oddaj na hypotekę, dadzą ci ósmy procent, szkoda dusić taki kapitał w domu. Zdurzyli moją kobietę i córkę, że na majątku Urwipołciach, za które dano 40.000 złp. jest do nabycia suma w pierwszym miejscu zabezpieczona 20.000 złp. Nakłamali, że ten, którego jest wiarytelność, potrzebuje gwałtem pieniędzy i że można ją nabyć za połowę. Radziłem się jednego znajomego pana, on powiada: dobry interes, kupuj i ja nieszczęśliwy kupiłem.... Niedługo panie zaczynają mię dochodzić wieści, że wszyscy ci faktorowie, to ludzie złej wiary, że tylko u nich codzien hulanki i pijatyki, więc tedy pchnąłem żyda tutaj, żeby się dowiedział, co to są te Urwipołcie. Wrócił wczoraj i coś się dowiaduję?

Oto że ziemia goła i na czynszu, że wszystko wyprzedane i spalone, i że nawet dwór kupiła szlachta na rozebranie.

— Ja o tem nie wiem — mówi Karol chwytając się za głowę. — Dopiero co wyjechał ztąd jego przyjaciel i pełnomocnik.

— Taki mały, krępy?

— Ten sam.

— To jego wspólnik i łotr od szubienicy....

Co się tam działo kobietom, które przez otwarte drzwi słyszały opowiadanie przybyłego majstra, tego nie umiem czytelnikom opowiedzieć, ale muszę przyznać niestety, że prawdę mówił i łatwowierne panie, szukające w człowieku przedewszystkiem szyku i salonowej maniery, zostały haniebnie zmistyfikowane.

Co mógł i jak mógł ratować biednego oszukanego pan Karol, to zrobił. Rzeczywiście ostatni dom został sprzedany do rozbioru, coś za kilkadziesiąt złotych, i gdy przyjechali z majstrem do Urwipołciów, już nabywcy sprowadziwszy furmanki zabierali się do jego rozbierania. Wstrzymano tedy ich zapasy, położono sekwestr, a że jedyna

nadzieja odebrania swych należytości spoczywała na wynagrodzeniu za spalone ruchomości, więc natychmiast obadwaj pojechali do Warszawy. — W drodze jednak pan Karol miał tę przyjemność, że musiał jeszcze zapłacić furmankę, którą pan rządcą z jego rekomendacyi wyjechał. Spłakany i zafrasowany chłopina wracał od kolei, albowiem pan którego woził, wysiadłszy z wozu gdzieś mu zginął na dworcu i nie zapłacił kilku złotych.

W Warszawie pokazało się, że sprytni filuci i w Dyrekcyi ubezpieczeń uwinęli się gładko. Cała przyznana należytość i to przyznana nie bez pewnej protekcyi, obłożoną była aresztami różnych podstawionych wierzycieli Ildefonsa, w sumie przewyższającej dziesięćkroć jej wysokość. Szkoda była kosztów i zachodu, żeby przyłączać się ze swojemi pretensyami, których bardzo małą cząstkę po długoletnich procesach możnaby z trudem odebrać.

— Nie ma co — mówi Karol do pana majstra — tylko plunąć na wszystko.... Jednakże przed wyjazdem muszę sobie zrobić tę satysfakcyę, że tego łotra odszukam i napiętnuję.

Łatwiej to było powiedzieć niż wykonać, a mianowicie odszukać miłego sąsiada, o którym nawet biuro policyi nie mogło dać pewnej wiadomości. Jednakże uporczywy szlachcie postawił na swoim. Śledząc od nitki do kłębka, w kilka dni, w niedzielę, schwytał go na przyjacielskim baliku tańczącego w najlepsze z kucharkami, które na takie zabawy uczęszczają.

— Pocieszyłeś się po stracie matki! — zapytuje Karol, kładąc rękę na jego ramieniu....

— Ach Karolek, koleżka! — zawoła niezrażony pogardliwem spojrzeniem przybyłego.... Panowie, to mój najserdeczniejszy przyjaciel.... kto mnie kocha, wypije zdrowie Karola.... Hej szampana! — krzynie na całe gardło, biegnąc do bufetu....

Jak wpadł niby to po szampana, tak go już oko ludzkie więcej nie widziało i pan Karol, chcąc nie chcąc, musiał wyjechać do domu, nie mając nawet satysfakcyę za swoją wierzytelność napiętnowania publicznie hultaja.... A panie co?

Pochowały się ze wstydu i zgryzoty, usunęły z sąsiedztwa, a po roku tyle wymogły na Karolu, iż wioskę sprzedał i wyniósł się w inne strony. Pomimo to, pamięć

o nich i sławnym dziedzicu Urwipołciów dotąd w tej okolicy pozostała, bo gdy rzecz idzie o jakiś brud między współobywatelami, w sąsiedztwie, to o osobie takiej mówi się zwykle: „miły sąsiad jak Ildefonsik“.

K O N I E C.



WYDAWNIE
GUBRYNOWE

W E

106375

21. 01.

- PRZEWODNIK DLA LEŚNICZYCH. Zbiór wiadomości z gospodarstwa lasowego i odnosnych nauk pomocniczych dla użytku lasów i poświęcających się zawodowi leśnemu. Tom I. Meteorologia. Klimatologia p. Dr. T. Staneckiego. Botanika p. W. Tynieckiego. Zoologia leśna p. P. Romera. Arytmetyka. Geometria p. T. Staneckiego. — Z rycinami w tekście i tablicami z nauki owadów Tom II. Gospodarstwo lasowe z rycinami w tekście i tablicami p. H. Strzeleckiego. Cena 6 40
- Dr. BARAŃSKI ANTONI. Chów koni. Poprzedzony wykładem ogólnych zasad hodowli zwierząt gospodarskich, z 21 rycinami najcenniejszych ras koni, mianowicie krajowych, Juliusza Kossaka 6 80
- BILIŃSKI LEON Dr. System ekonomii społecznej, 2 tomy 10 —
— Studya nad podatkiem dochodowym, 2 tomy 6 —
- KRETOWICZ PAWEŁ Kucie koni. Opracował lekarz weterynaryi i nauczyciel kucia koni. Z rycinami . . . 1 50
- RYLSKI T. Mechanika rolnicza dla gospodarzy. Wybór i użycie narzędzi rolniczych, ze 130 rycinami w tekście 8 —
- SCHMIDT ANTONI Katechizm hodowania drzew owocowych jakoteż rozpoznawania owoców i robienia jabłeczniku — 80
- STRZELECKI H. Las w stanie natury 1 80
— Cięcie lasu 2 80
- TYŃECKI WŁADYSŁAW Zgnilizna kartofli — 50
- WODZICKI KAZ. Hr. Zapiski ornitol. VIII. Skowronek — 80
— Zapiski ornitol. IX. Orzeł polski 2 40
- PATZIG G. C. Praktyczny rzadca ekonomiczny według wymagań tegoczesnych. Podręcznik praktycznie pouczający dla właścicieli dóbr, dzierżawców, rzadców, początkujących gospodarzy. Podług 9-go niemieckiego wydania, z zastosowaniem do potrzeb krajowych. Przełożył Hip. Turczyński, 2 tomy 4 20
- USTAWA LASOWA. Ustawy łowieckie. Ochrona własności polnej 1 —
- REJESTRA GOSPODARSTWA ROLNEGO 3 50
- FRANKE J. N. Poradnik do obsługi kotłów parowych. Z rycinami — 80
- MACHTS FERD. Nauka o szacowaniu majątków ziemskich 1 20
- ROCZNIKI wyższej krajowej szkoły rolniczych w Dublanach. R. I 1888 2 90
- SZELICHOWSKI. Przewodnik czyli szkółka dla maszynistów — 75
- WADY I ULEPSZENIA NASZYCH POMIESZKAŃ 1888 — 60